



CLIVE BARKER
Księga Krwi I

Każdy z nas jest krwawą księgą Gdziekolwiek się nas otworzy, jesteśmy czerwoni
Wstęp napisany przez Ramseya Campbella

"Stwór zacisnął wargi, napiął mięśnie, czuł każdy mięsień, każdą kosteczkę; usiłował na nowo poruszyć Balaclawę" Czujecie to?

Oto jeszcze jedna próbka tego, czego możecie się spodziewać od Clive'a Barkera: "Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w tej żywej wieży -- wszyscy byli ślepi. Widzieli wszystko oczyma miasta. Myśleli, jak myślało miasto, sami będąc bezmyślnymi. Wierzyli, że są nieśmiertelni dzięki swej powolnej, ale nieugiętej sile. Ogromni, szaleni i nieśmiertelni."

Widzicie teraz, że Barker jest równie marzycielski jak makabryczny. Następny cytat z kolejnego opowiadania brzmi: "Czym byłoby Zmartwychwstanie bez śmierci?"

Zacytowałem to celowo, aby ostrzec bojaźliwych. Jeżeli myślisz, że książka, którą trzymasz w ręku, jest łagodnym horrorem, wystarczająco nieprawdopodobnym, aby go nie brać poważnie i jeżeli spodziewasz się, że nocne koszmary nie będą zakłócały Ci snu, to znaczy, że trafiłeś na niewłaściwą książkę. Jeżeli z drugiej strony jesteś zmęczony tajemnicami, które Cię otaczają i zostawiasz zapalone światło na noc, będziesz miał taką jak ja satysfakcję odkrywając, że Clive Barker jest najbardziej oryginalnym twórcą horrorów, jaki pojawił się od kilkunastu lat. Jest przy tym, co bardzo ważne, pisarzem wstrząsającym najgłębiej, w odróżnieniu od wielu współczesnych autorów, którzy nie mają nic więcej do zaoferowania niż zionącą przeciętnością nudę. Bardziej wymagający czytelnik prawdopodobnie w ogóle o nich nie słyszał.

Spodziewamy się, że horror będzie wywoływał żywiołową reakcję. Oczywiście, wielu najlepszych autorów osiągnęło ten efekt, jednak napisano także mnóstwo nonsensownych książek i nie ma powodu, aby teraz pisarze tego typu powieści czerpali z tego dziedzictwa.

Kiedy wkraczamy w świat wyobraźni, jedynym naszym przewodnikiem jest instynkt. Clive'a Barkera prowadzi on nieomylnie. Twierdzenie /wypowiedane przez niektórych autorów, co wydaje się rodzajem obrony/, że fundamentem horroru jest zestawienie tego co normalne z nadnaturalnością i obcością, nie jest zbyt odległe od poglądu /notabene głoszonego przez pewnych wydawców/, iż horror po prostu musi opisywać wadliwy dzień szarego człowieka w konfrontacji z niesamowitością. Dzięki Bogu, nikt nie przekonał Poe'go do takiego poglądu. I dzięki Bogu za pisarzy tak radykalnych jak Clive Barker. Wcale zresztą nie dlatego, że jest on tak niekonwencjonalny. Po prostu tradycyjny motyw napisany przez Barkera przestaje być tradycyjny. "Seks, śmierć i światło gwiazd" jest właściwie tylko zwykłą historią o strachach w teatrze. "Resztki człowieka" są wspaniałą wariacją na temat duchowego sobowtóra pewnego człowieka. Oba te opowiadania jednak są dalsze od codzienności niż cokolwiek, co można sobie wyobrazić. Nie zmienia tego fakt, że oba zawierają sporą dozę czarnego humoru i przewrotnego optymizmu. To samo można powiedzieć o "Nowych mordercach z Rue Morque", raczej makabrycznej komedii. Tu wkroczyliśmy już w najbardziej bulwersujące fragmenty twórczości Barkera -- seksualną otwartość.

Warn pozostawiam interpretację tych i innych opowiadań. Ostrzegłem Was, że książek tych nie napisano dla słabych i bojaźliwych. Warto mieć to na uwadze, kiedy zabieracie się do opowiadania takiego jak "Nocny pociąg z mięsem", w którym wszystkie kolory widać tak wyraźnie jak w filmie w Technicolorze. "Kozły ofiarne" -- pełne grozy opowiadanie zostało sfilmowane i jest obecnie dostępne na wideokasetach. Kolejne opowiadanie, "Syn Plastik",

podąża ku najbardziej chronionym tabu z nieomylnością godną twórczości Davida Cronenberga. Warto jednak zauważyć, że prawdziwą wartością tego opowiadania jest przede wszystkim ogromna inwencja autora. Podobnie jest z opowiadaniem "W górach, miastach" /daje ono fałszywe wyobrażenie, iż nie jest w rzeczywistości horrorem/ i opowiadaniem "Skóry ojców". Fantazja i pomysłowość z jaką zostały napisane, przypominają najwspanialsze dzieła malarzy fantastycznych. Naprawdę nie potrafię wskazać współczesnego autora horrorów poza Clivem Barkerem, którego dzieła można by porównać do prac tych malarzy. "Blues świńskiej krwi" czy "Strach" to utwory balansujące na granicy pomiędzy pornografią a sadystycznymi zboczeniami.

Myślę jednak, że czas najwyższy zakończyć me wywody i pozwolić Wam czytać.

Oto przed Wami ćwierć miliona słów napisanych przez Clive'a /mam nadzieję, że kupicie cały cykl -- planował go jako całość/. Jest to jego wybór najbardziej zasługujących na publikację opowiadań. Pisał je przez osiemnaście miesięcy. Siadał wieczorami, ponieważ dni wypełniało mu pisanie sztuk teatralnych /cieszących się, nawiasem mówiąc, dużym powodzeniem/. Moim zdaniem, opowiadania Clive'a dostarczają wielu zdumiewających doznań. Jest to, bez wątpienia, najbardziej ekscytujący debiut w literaturze horroru przez ostatnie kilkanaście lat.

KRWAWA KSIĘGA

Umarli mają swoje drogi. Podróżują, używając swych pociągów pełnych duchów, swych wagonów-widm, poprzez pustynny kraj, jaki istnieje poza naszym życiem. Kraj, pełen dusz ludzi, którzy odeszli. Odgłosy ich ruchu mogą być usłyszane poprzez dziury w naszym świecie. Dziury, które zostały zrobione przez tych, którzy dopuszczają się okrucieństw, przemocy i deprawacji. Tę wędrującą śmierć można dostrzec w przelocie, gdy serce już prawie pęka, a rzeczy, które powinny być ukryte, ukazują się nagle jasno. Te drogi mają swoje znaki, mosty i pobocza. Mają swoje ronda i skrzyżowania.

Najczęściej właśnie na skrzyżowaniach, gdzie tłum umarłych się miesza, zdarza się, że dostają się oni do naszego świata i rozlażą się po nim. Ruch jest tu bardzo wielki, a głosy umarłych najbardziej przenikliwe. Tutaj bariera oddzielająca rzeczywistość od świata umarłych jest najcieńsza, gdyż została starta przez stopy niezliczonych, którzy ją przekroczyli.

Takie właśnie skrzyżowanie na drodze umarłych znajdowało się przy Tollington Place, pod numerem 65. Zwykły, ceglany, podrobiony na styl gregoriański dom stał osobno. Nie wyróżniał się niczym. Stary, zapomniany, odarty ze swej wspaniałości, którą niegdyś się cieszył. Był pusty od dziesięciu, może nawet dwudziestu lat. To nie wilgoć, która panowała w tym domu, wypłoszyła z niego mieszkańców. Nie było także przyczyną gnicie sufitów czy pęknięcia przedniej ściany domu, ciągnące się od ganku po dach. Prawdziwą przyczyną porzucenia domu był słyszalny w nim odgłos przechodzenia bariery. Na wyższych piętrach odgłos tego ruchu nigdy nie ustawał. Nieustający hałas odłupał tynk ze ścian i spowodował wypaczenie belek stropowych. Sprawiał, że dzwoniły szyby. Sprawiał, że drżał mózg. Dom nr 65 przy Tollington Place był nawiedzony. Nikt nie był w stanie być jego właścicielem i mieszkać w nim dłużej bez popadnięcia w obłąd.

Horror wkroczył do tego domu dawno, ale nikt nie wie, kiedy. Jednak nawet niewprawny obserwator nie może się pomylić co do rodzaju zjawisk zachodzących w domu. W jego powietrzu czuje się tchnienie wieczności i krew. Szczególnie mocno odczuwa się tę atmosferę na najwyższym piętrze. Wyczuwalny tam zapach potrafił przyprawić o mdłości nawet najodporniejszego. Budynek został opuszczony przez robactwo i ptaki, nawet przez muchy. Żaden kornik nie drażył desek kuchennej podłogi, żaden ptak nie złożył gniazd na strychu.

Nieistotne, jaki gwałt miał miejsce w tym domu. Ważne jest, że rozpruł barierę pomiędzy dworna światami tak skutecznie, jak nóż rozpruwa brzuch ryby. Przez tę ranę w granicy dzielącej rzeczywistość od świata dusz, umarli mogli przejść.

Tak w każdym razie głosiła plotka...

Mijał trzeci tydzień badań w domu pod numerem 65 przy Tollington Place. Trzeci tydzień bezprecedensowych sukcesów w paranormalnym królestwie. Medium był 20-letni Simon McNeal. Był nowicjuszem w branży, ale korzystający z jego usług Instytut Parapsychologii Uniwersytetu w Essex stwierdził bezspornie istnienie życia po śmierci.

Eksperymenty z McNealem dokonywane były w najwyższym położonym pokoju, a właściwie w prowadzącym do niego korytarzu. Korytarz budził klaustrofobiczny lęk nawet u najodporniejszych. Chłopak zwołał coś w rodzaju zebrania umarłych. Na jego prośbę zostawiali oni wiele znaków potwierdzających ich wizytę. Były to setki napisów na ścianach koloru bladej orchy. Pisali wszystko, co tylko wpadło im do głowy: imiona, daty urodzenia i śmierci, fragmenty wspomnień i życzenia powodzenia dla ich żyjących potomków. Niektórzy zostawiali

również dziwne, niezrozumiałe wiersze, opisujące ich obecne cierpienie i wyrażające żal za utraconymi radościami życia. Niektóre z piszących rąk były kwadratowe i brzydkie, inne natomiast -- delikatne, wyraźnie kobiece. Między wersetami romantycznych wierszy można było dostrzec nieprzyzwoite rysunki albo nie dokończone dowcipy: kiepsko narysowana róża, gra w kółko i krzyżyk, lista zakupów...

Przy tej ścianie płaczu pojawiały się także ręce sław tego świata. Był tam Mussolini, Lennon i Janis Joplin -- podpisywali się obok szarych ludzi. Było to coś w rodzaju apelu umarłych. Z dnia na dzień ściana zapelniała się coraz bardziej. Wydawało się, że wszystko czego nie powiedzieli za życia, chcą teraz napisać w pokoju na ścianie.

Doktor Florescu całe życie zajmowała się problemami psychiki. Zdążyła już przyzwycząić się do niepowodzeń. Była to nawet swego rodzaju wygoda, wiedzieć, że nigdy nie uzyska się niezbitego dowodu na istnienie świata paranormalnego. Teraz, gdy nagle osiągnęła niespodziewany sukces, poczuła jednocześnie dumę, podniecenie, ale i zmieszanie.

Była, tak jak zwykle w ciągu ostatnich trzech tygodni, w dużym pokoju na pierwszym piętrze. Piętro wyżej był pokój, w którym pojawiały się napisy na ścianie. Z rodzajem trwogi słuchała wrzawy dochodzącej z góry, dziwiąc się sobie, że miała dość odwagi, aby uczestniczyć w tym niesamowitym zjawisku. Wprawdzie już wcześniej zdarzały się różnego rodzaju sygnały dochodzące ze świata umarłych, ale nigdy nie było to tak wyraźne i namacalne.

Głosy na górze umilkły.

Mary spojrzała na zegarek: była 18.17.

Dla jakichś sobie tylko znanych powodów, umarli nigdy nie kontaktowali się po 18.30. Postanowiła poczekać więc do 18.30, potem pójść na górę. Co dziś tam zobaczy? Kto pojawił się dziś w tym małym, obskurnym pokoju? Kto zostawił swój znak?

--Czy mam wyregulować kamery? -- zapytał jej asystent, Reg Fuller.

--Proszę -- mruknęła, wyrwana z zamyślenia.

--Damy im jeszcze dziesięć minut.

--Jasne.

Piętro wyżej McNeal siedzący w rogu pokoju patrzył na październikowe słońce. Czuł się osaczony w tym przeklętym miejscu. Uśmiechnął się do siebie bladym uśmiechem, który rozbrajał każdego. Doktor Florescu także uległa magii jego śmiechu, jego oczom i jego nieobecnemu spojrzeniu. To wszystko wydawało się być fajną zabawą.

Faktycznie, na początku była to tylko zabawa, jednak teraz Simon zdawał sobie sprawę, że gra toczy się o większą stawkę. Zaczęło się to zupełnie niepoważnie, ale teraz stało się prawdziwą walką: McNeal przeciwko Prawdzie. Prawda była oczywista: jest oszustem. Sam nabazgrał wszystkie te napisy na ścianach. Zrobił to kawałkiem grafitu, który ukrył pod językiem. Walił, łomotał, krzyczał dla zwykłej zgrywy. Te wszystkie nazwiska, które napisał na ścianach, brał z książki telefonicznej. Chciało mu się śmiać, gdy o tym pomyślał.

Tak, zabawa rzeczywiście świetna.

Obiecała mu bardzo wiele, kusila go sławą, powodując, że wymyślał coraz to nowe wyglupy. Przynęcała mu bogactwo, wywiady w telewizji, aplauz i pochlebstwa jakich dotąd nie znał. Jednak musiał stworzyć duchy, aby to wszystko osiągnąć.

Jeszcze raz się uśmiechnął. Nazywała go Posłańcem! Był według niej prostodusznym dostarczycielem wiadomości. Wiedział, że pani doktor wkrótce się pojawi na górze. Popatrzy

na niego i patetycznym, płaczącym głosem będzie się zachwycać kolejnymi nagryzmołonymi na ścianie bzdurami.

Lubił, jak patrzyła na jego nagość. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie był zupełnie nagi. Podczas wszystkich sesji był ubrany wyłącznie w slipki, aby wykluczyć ukrycie czegokolwiek. Zabawna ostrożność. Wszystko, czego potrzebował, to kawałek grafitu ukrytego pod językiem i dosyć energii, aby miotać się i wrzeszczeć przez mniej więcej pół godziny.

Był spocony, cała klatka piersiowa była mokra, włosy lepiły się do czoła. Dzisiaj ciężko się napracował. Chciał wyjść z pokoju i zaznać choć trochę podziwu. Posłaniec położył rękę na slipkach i przez chwilę leniwie bawił się ze sobą. Gdzieś w pokoju brzęczała mucha, może kilka much schwytanych w pułapkę. Pora roku była już dosyć późna jak dla much, ale słyszał ich kilka. Brzęczały niespokojnie w okolicy okna i żarówki. Słyszał cienkie, wątle musze głosy. Nie zwracał jednak na to uwagi. Był zbyt zaabsorbowany myślami o zgrywie i zadowoleniem z zabawy ze sobą. Jak one brzęczały -- te nieszkodliwe insekty, jak brzęczały, śpiewały i skarżyły się! Jak one się skarżyły!

Mary Florescu zabębniła palcami w stół. Obrączka ślubna była dzisiaj jakaś luźna, czuła, jak przesuwa się na palcu, Czasami była ciasna, a czasami luźna. Była to jedna z tych małych, nieistotnych tajemnic, których nigdy nie starała się wyjaśnić. Po prostu je akceptowała. Dzisiaj obrączka była bardzo luźna, prawie spadała. Wyobraziła sobie twarz Alana. Kochaną twarz Alana. Czy śmierć wygląda jak tunel? Czy jest się po prostu wciągany w ten mroczny tunel coraz głębiej i głębiej?

Końcem palca była w stanie wyczuć kwaśny smak metalu, obrączki. Ciekawe odczucie, rodzaj iluzji?

Aby usunąć gorycz, pomyślała o Simonie. Bardzo łatwo mogła sobie wyobrazić jego twarz. Pojawiał się przed jej oczyma, uśmiechając się w charakterystyczny dla niego sposób. Był jeszcze tak bardzo chłopięcy -- z jego gładką skórą i niewinnością w oczach wyglądał prawie jak dziewczyna.

Palce wciąż dotykały obrączki, a kwaśny smak w ustach spotęgował się. Podniosła wzrok. Fuller przygotował sprzęt. Wokół jego lysiej głowy migotała i falowała bladozielona aureola.

Oszłomiło ją to, co zobaczyła.

Fuller nic nie widział i nie czuł. Był zbyt zaabsorbowany pracą, aby cokolwiek zauważyć. Mary wpatrywała się w niego. Ciągłe widziała nad nim to kółko. Poczula coś dziwnego, coś w niej jakby ożyło. Cząsteczki tlenu, wodoru i azotu nacierały na nią, poufale ją obejmując. Aureola nad głową Fullera zaczęła się rozszerzać, przenosząc swój blask na wszystkie przedmioty w pokoju. Dziwaczne uczucie w koniuszku palca także jakby się wzmogło. Powietrze, które wydychała, nie było przezroczyste, a różowo-pomarańczowe, słyszała całkiem dobrze głos biurka, na którym siedziała; był to skowyt wyrażający żal, że jest stałe, nieruchome i masywne.

Świat odkrywał swe tajemnice. Doprowadziło to jej zmysły do ekstazy, powodowało, że normalne ich funkcje mieszały się. Nagle dostrzegła świat jako układ nie polityczny czy religijny, ale jako układ zmysłów. Układ rozciągający się od istot żywych do martwego drzewa, z którego wykonano biurko, do starego złota, z jakiego zrobiono jej obrączkę. I jeszcze dalej. Poza drzewo, poza złoto. Szczelina, która powstała, prowadziła do drogi umarłych. Słyszała

głosy dochodzące z ust, które nie żyły.

Podniosła wzrok, jakaś siła zmusiła ją do spojrzenia na sufit. Pokryty był robactwem. Nie, to bzdura! Choć wydawał się być żywy, cały tańczył i pulsował. Widziała poprzez sufit chłopaka znajdującego się piętro wyżej. Siedział na podłodze z głową zadartą do góry i trzymał w ręku sterczący członek. Jego ekstaza była tak głęboka jak jej. Jej nowy zmysł pozwolił jej dostrzec przez sufit pulsujące światło otaczające jego ciało, widziała rozsadzającą go namiętność.

Zobaczyła także co innego. Ujrzała wypełniające go kłamstwo, nie znalazła w nim żadnej mocy! Widziała teraz jasno, że nigdy nie miał żadnego daru umożliwiającego mu porozumiewanie się z duchami. Był zwykłym, małym łgarzem, słodkim, białym łgarzem. Nie miał nawet pojęcia, że odważył się na zbyt wiele.

Teraz jednak nadszedł czas. Kłamstwo ujawniono, sztuczki zostały pokazane. Umarli wędrujący po swej drodze zdecydowali, że czas położyć kres drwinom. Domagali się zadośćuczynienia.

To ona spowodowała powstanie szczeliny. Nieświadomie, stopniowo otwierała to przejście. Pożądała chłopca i to było bezpośrednią przyczyną. Myślała o nim bez przerwy, jej żar spowodował, że szczelina otwierała się coraz szerzej. Miłość, jej towarzyszka, namiętność i ich towarzyszka -- strata, były głównymi sprawczyniami otwarcia szczeliny. Mary ucieleśniała te trzy siły. Jej uczucie do posłańca powoli zamierało. Wyparła się go, ale teraz było już za późno.

To nieprawda! Nieprawda! Pragnęła go, pragnęła go teraz z głębi serca. Jednak teraz było już za późno. Ruch umarłych nie mógł być dłużej powstrzymywany. Domagali się przystępu do tego małego oszusta.

Nie mogła nic zrobić. Mogła tylko obserwować drogę i skrzyżowanie ze światem umarłych, na którym stała. Fuller wreszcie coś usłyszał.

--Pani doktor? -- Oderwał się od swego zajęcia. Mary kątem oka widziała jego zalaną błękitnym światłem twarz, która wyrażała zainteresowanie.

--Czy pani coś powiedziała? -- zapytał.

Pomyślała, czując mdłości, że zaczyna zbliżać się do końca.

Eteryczne twarze umarłych były tuż przed nią. Widziała ich głębokie cierpienie. Zrozumiała ich bolesne dążenie do tego, aby ich usłyszano.

Jasno widziała, że skrzyżowanie dróg umarłych przy Tollington Place nie jest zwykłym skrzyżowaniem. Nie był to zwykły i leniwy ruch umarłych. Dom otworzył się na szlak, po którym wędrowały ofiary i sprawcy gwałtów i przemocy. Mężczyźni, kobiety i dzieci cierpieli męki trudne do wyobrażenia. Ich myśli określone były przez śmierć, jaką ponieśli. Ich oczy mówiły o agonii; ciała, które były już tylko wyobrażeniami prawdziwych ciał, wciąż nosiły rany, które im zadano. Widziała także pośród tych wszystkich niewinnych ich oprawców i dręczycieli. Te oszalałe potwory o zdegenerowanych mózgach zaglądały przez szczelinę do jej świata. Straszliwe niemowy, wstrętne wytwór naszego gatunku, ryczały i wyły przeraźliwie.

Chłopak będący piętro wyżej nagle coś wyczuł. Zauważyła, że lekko się poruszył. Głosy, które słyszał, nie były brzęczeniem much, to nie owady się skarżyły. Uświadomił sobie, że żył w kącie świata, że są Trzecie, Czwarte i Piąte Światy. Światy te atakowały go, jego -- kłamcę. Mary wyczuła jego panikę jako specyficzny zapach i smak. Nie było to jednak nic, co przypominałoby pocałunek. Był to po prostu smak jego paniki. To dopełniło zjednoczenia między nią a Simonem. Jego przerażone spojrzenie stało się jej przerażonym spojrzeniem. Z

wyschniętych gardel wydobywał się ten sam szept:

--Proszę...

To miało ubłagać dzieci-duchy.

--Proszę...

To zapewniało opiekę i troskę.

--Proszę...

Nawet umarli powinni wysłuchać tych próśb.

--Proszę...

Mary nagle zrozumiała, że nie będzie litości. Duchy cierpiały krzywdę przez wieki, znosiły rany, od których umarli, i szaleńców, którzy je zabili. Musiały teraz znosić lekkomyślność i zuchwalstwo McNeala. Uczynił zabawę z tego, co było ciężką próbą. Teraz chciały prawdy.

Fuller spojrział na nią. Jego twarz zalana była pulsującym, pomarańczowym światłem. Poczula jego ręce. Smakowały jak ocet.

--Dobrze się pani czuje? -- zapytał. Jego oddech był jak żelazo. Potrząsnęła głową.

Nie czuła się dobrze, nic nie było dobrze.

Szpara poszerzała się z każdą sekundą. Widziała przez nią niebo świata umarłych. Ciemnoszare niebo chmurzące się nad drogą, niebo, które rzucało cień na zwyczajność domu, w którym byli.

--Proszę... -- jęknęła. Patrzyła na blednący materiał sufitu.

Szerzej. Szerzej...

Kruchy świat, w którym żyła, napinał się coraz bardziej. Nagle pękł niczym tama pod naporem wody. Czarna woda przelała się i wypełniła pokój.

Fuller czuł, że coś jest nie w porządku. Dostrzegł wreszcie dziwną światłość, która go otaczała. Nie rozumiał jednak, co się dzieje. Mary widziała, jak napina grzbiet, czuła, jak kręci mu się w głowie.

--Co się dzieje? -- zapytał. Bezsensowność pytania rozśmieszyła ją.

Piętro wyżej woda potłukła dzbanek, niszczyła wszystko.

Fuller podszedł do drzwi. Trzęsły się i drżały, jakby walili w nie wszyscy mieszkańcy piekieł. Gałka w drzwiach obróciła się. I jeszcze raz. I jeszcze. Farba pokrywająca drzwi wybrzuszyła się pęcherzykami. Klucz tkwiący w zamku rozjarzył się do czerwoności.

Fuller popatrzył na Mary. Ciągle stała w tej dziwnej pozycji, w której ją zostawił: głowa zadarta do góry, nieobecny wzrok.

Sięgnął do klamki, ale drzwi otworzyły się, zanim ich dotknął. Korytarz, który był za drzwiami, zniknął. Swojskie wnętrze domu zostało zastąpione drogą niknącą na linii horyzontu. Ten widok zabił Fullera w jednej chwili. Jego umysł nie mógł tego znieść. Jego nerwy nie wytrzymały. Serce stanęło. To, co znalazł za drzwiami, nie mogło pomieścić mu się w głowie. Zawiódł jego pęcherz i jelita, nogi się pod nim załamały. Kiedy padał na podłogę, jego twarz pokryła się bąblami jak wcześniej drzwi. Ciało trzęsło się. Był już tylko bezwładnym ciałem, tak samo bezwładnym jak drzewo czy stal. Gdzieś na wschodzie jego dusza dołączyła do korowodu okaleczonych na drodze. Korowodu zmierzającego do skrzyżowania, na którym przed chwilą zmarł.

Mary Florescu zrozumiała, że została sama. Piętro wyżej jej cudowny chłopak, ten piękny, kłamiwy dzieciak wił się, skrzeczał, gdy umarli dotykali go mściwymi rękoma. Wiedziała, czego

chcą. Wyczytała to z ich oczu. Nie było w tym nic nowego; historia ma w sobie szczególne okrucieństwo i lubi się powtarzać. Zamierzali użyć go do zapisania swych testamentów, miał być ich stronicą, księgą, w której zapiszą swe życiorysy. Krwawą księgą. Księgą, w której strony będą pełne krwi. Księgą napisaną krwią. Widząc skórę umarłych, mogąc jej dotknąć, myślała o okrucieństwie, z jakim się nad nimi znęcano. Myślała o śladach przemocy, jakie widziała na ich ciałach. Widziała ich bardzo wiele. Plecy niektórych z wędrujących umarłych były pocięte.

Takie pisanie krwawych ksiąg nie było niczym nowym, ale pisanie na tej delikatnej skórze było jednak zbrodnią. Chłopak krzyczał, gdy szklane igły z potłuczonego dzbanka wbijały się i orały jego ciało. Odbierała jego męczarnie tak, jakby to ją torturowano, nie było to jednak takie okropne, jak się spodziewała.

Jeszcze krzyczał. I walczył z tymi, którzy go atakowali. Nie zwracali na to uwagi. Tłoczyli się dookoła, nie reagowali ani na obronę, ani na modlitwy. Pisali na nim z entuzjazmem właściwym tym, których zmuszano do milczenia zbyt długo. Mary słyszała, jak jego pełen skargi głos cichnie. Walczyła ze słabością, która i ją ogarniała. Jakimś dziwnym sposobem zrozumiała, że musi dostać się do pokoju na górze. Nieważne, co znajdzie za drzwiami czy na schodach. Wystarczyło, że Simon jej potrzebował.

Widziała, że jej włosy poruszają się, wijąc się jak węże na głowie Gorgony. Cały świat jakby pływał; ledwo mogła dostrzec podłogę, na której stała. Deski, z których zbudowany był dom, stały się deskami- duchami. Za nimi szczyrzyła się na nią szalona ciemność. Popatrzyła na drzwi. Cały czas była w letargu, którego nie mogła przezwyciężyć.

Oczywiście umarli nie chcieli, aby dostała się do pokoju na górze. Możliwe nawet, że trochę się jej obawiali. Kiedy o tym pomyślała, zrobiło się jej raźniej. Gdyby się jej nie bali, po cóż staraliby się ją przestraszyć? Niewykluczone, że Mary, która miała dosyć siły, aby otworzyć przejście między dwoma światami, była teraz dla nich groźna, sama o tym nie wiedząc.

Oblążące z farby drzwi były otwarte. Za nimi panował chaos właściwy drodze umarłych. Przeszła próg, starając się stopą wyczuć podłogę. Nie potrafiła jej dostrzec, ponieważ cały czas widziała drogę umarłych. Niebo nad nią miało kolor pruskiego błękitu, droga była szeroka i wietrzna, umarli nadchodzili ze wszystkich stron. Przepychała się między nimi jak w normalnym tłumie żywych ludzi. Spoglądali na nią bezmyślnie. Ich głupie twarze zwracały się ku niej z grymasem niezadowolenia, że śmiała tu się wdrzeć.

Przestała jęczeć: "Proszę...". Nic nie mówiła, po prostu zacisnęła zęby i przymknęła oczy. Posuwała się do przodu, szukając stopni schodów, o których wiedziała, że są, wbrew temu, co mówił jej wzrok. Odnalazła je i potknęła się. Ryk tłumu stał się jeszcze głośniejszy. Nie mogła się zorientować, czy śmieją się z jej niezdarności, czy ostrzegają, że zaszła za daleko.

Pierwszy stopień. Drugi stopień. Trzeci stopień,

Mimo, że tłum szarpał ją, wygrywała z nim. Widziała już drzwi do pokoju, w którym leżał ten mały oszust, otoczony ze wszystkich stron przez tych, którzy go atakowali. Slipki opadły mu do kostek. Wyglądało to wszystko jak rodzaj gwałtu. Już nie krzyczał, ale oczy miał pełne strachu i bólu. Wciąż jednak żył. Nawet jego młody i elastyczny mózg nie mógł objąć tego, co się wokół niego działo.

Nagle poderwał głowę i spojrział na nią przez drzwi. W tej ekstremalnej sytuacji znalazł w sobie prawdziwą zdolność, która była tylko ułamkiem możliwości Mary. Wystarczyła jednak,

aby nawiązać z nią kontakt Ich oczy spotkały się. W morzu atramentowej ciemności, otoczeni przez coś, czego nigdy nie znali i nie rozumieli, potrafili się odnaleźć. Ich serca spotkały się i połączyły.

--Przepraszam -- powiedział cicho. Był w tym zdaniu bezmierny żal. -- Przepraszam. Przepraszam. -- Odwrócił wzrok, jego spojrzenie powędrowało gdzie indziej.

Była pewna, że jest prawie na szczycie schodów. Wzrok mówił jej, że stąpa w powietrzu, a twarze podróżujących umarłych były wszędzie dookoła niej. Widziała już jednak, wprawdzie bardzo słabo, kontur drzwi pokoju, w którym leżał Simon. Od stóp do głowy był skąpany we krwi. Znaki, hieroglify pokrywały każdy centymetr jego ciała. Tors, twarz, kończyny. Skupiła się i przez moment widziała go w pustym pokoju, w którym słoneczny blask oświetlał potłuczony dzbanek. Nagle zawahała się na moment i jej głęboka koncentracja osłabła. Znow widziała jak piszą na ciele Simona, które zawisło teraz w powietrzu. Wyrwali włosy z jego głowy i ciała tak, jakby czyścili stronę w książce. Pisali pod pachami, pisali na powiekach, genitaliach i pośladkach, nawet na podeszwach stóp.

Krwawił ciągle, niezależnie od tego, czy widziała go okrążonego przez autorów makabrycznych napisów, czy samego.

Dotarła do drzwi. Jej drżąca ręka dotknęła twardego i rzeczywistego materiału klamki. Jednak, mimo całej koncentracji, nic nie docierało do niej wyraźnie. Mimo maksymalnego skupienia nie mogła rozstrzygnąć, czy klamka jest tylko urojeniem, czy jest prawdziwa. Ścisnęła ją, przekręciła i otworzyła drzwi do pokoju.

Był tam, naprzeciwko niej. Dzielił ich najwyżej metr niespokojnego powietrza. Ich oczy znowu się spotkały w spojrzeniu pełnym zrozumienia. Spojrzeniu, które przynależało do jednego i drugiego świata. Była w tym spojrzeniu i miłość, i litość. Fikcje odeszły, a kłamstwa rozsypały się w proch. Zamiast sprytnego uśmiechu, na twarzy chłopca pojawiła się prawdziwa słodycz. Słodycz, która znalazła odbicie w jej twarzy.

Umarli, przerażeni tym spojrzeniem, odwrócili głowy. Ich twarze się ściągnęły, tak jakby skóra naciągnęła się na czaszce. W przewidywaniu przegranej ich ciała zsiniały, głosy stały się smutne. Dotknęła Simona. Nie musiała już walczyć z hordami umarłych. Uciekali we wszystkich kierunkach, objając się o ściany, jak umierające muchy, które objają się o szyby.

Delikatnie dotknęła jego twarzy. To dotknięcie było jak błogosławieństwo. Łzy wypełniły oczy Simona i płynęły po pokaleczonych policzkach, mieszając się z krwią.

Umarli już ucichli. Zgubili się na swej drodze, ich złośliwość została zahamowana.

Plaszczyzna po plaszczyźnie, pokój się uspokajał. Podłoga stała się na powrót widoczna. Widać było każdy gwóźdź, każdą brudną deskę. Okna znowu stały się przejrzyste. Na zewnątrz zapadał zmierzch. Słyszeli wrzawę bawiących się dzieci. Droga zniknęła na dobre. Podróżujący po niej odwrócili się ku ciemności i odeszli w zapomnienie, zostawiając po sobie tylko znaki.

Na drugim piętrze domu pod nr 65 pozostało poparzone, dymiące ciało Rega Fullera. Został on przypadkowo zdeptany przez stopy podróżników, przechodzących przez skrzyżowanie. Dusza Fullera dołączyła do tłumu umarłych i spoglądała na ciało, które kiedyś zajmowała. Fullera zabił dum umarłych, którzy podążali, aby wymierzyć sprawiedliwość.

Mary uklękła obok McNeala i pogłaskała go po zakrwawionej głowie. Nie chciała wychodzić, aby wezwać pomoc -nie chciała zostawić go samego. Musiała być pewna, że ich dręczyciele nie wrócą. Było cicho. Słyszała tylko dźwięk odrzutowca lecącego przez stratosferę

na wschód. Simona nie otaczała żadna aureola. Wszystkie zmysły powróciły na swoje miejsce. Wzrok. Słuch. Dotyk.

Dotyk.

Dotknęła go jak nigdy przedtem. Zostawiła ślady swych dłoni na jego pokrytym krwią ciele. Jej palce poruszały się delikatnie po ciele Simona, jak palce ślepej czytającej Braille'a. Malarskie słowa zostały wydrapane tysiącem rąk na każdym milimetrze jego ciała. Nawet przez krew mogła wyczuć drobiazgową dokładność, z jaką wryto te słowa. Mimo przyćmionego światła mogła odczytać niektóre wyrażenia. Istnienie duchów zostało udowodnione ponad wszelką wątpliwość, choć bardzo by chciała, o Boże, jak bardzo, aby się to nigdy nie stało. W końcu, po długim czekaniu miała dowód życia poza ciałem. Dowód wypisany na ciele.

Chłopak przeżyje, to było pewne. Krew już wyschła, setki ran powoli się zamykały. Był zdrowy i silny. Nie miał poważniejszych obrażeń. Nigdy jednak nie będzie już piękny. W najlepszym przypadku będzie wzbudzał ciekawość, a w najgorszym wstręt i strach. Ale ona będzie go chroniła, a Simon nauczy się z czasem, że można jej ufać. Ich losy były połączone na zawsze.

Po pewnym czasie, gdy słowa na jego ciele staną się strupami i bliznami, przeczyta je. Z niewyczerpaną miłością i cierpliwością będzie śledziła historię, którą napisali na nim umarli.

Tajemnice napisane kursywą na brzuchu. Świadectwo wypisane ślicznym, eleganckim drukiem na jego twarzy i czole. Historie z jego pleców, nóg i rąk. Przeczyta i zrelacjonuje je wszystkie, każdą sylabę, którą wyczuje swymi delikatnie głaszczącymi palcami. Świat pozna historie, które opowiedzieli umarli.

On był Krwawą Księżą, a ona będzie jedynym tłumaczem.

Kiedy zapadła ciemność, poprowadziła go nagiego poprzez kojącą ból noc.

Oto poniżej macie historie zapisane w Krwawej Księdze. Przeczytajcie je, jeżeli chcecie i wnieście z nich naukę. Są mapą tej ciemnej drogi, która prowadzi przez życie w nieznanym kierunku. Niektórzy nią nie pójdą. Większość jednak spokojnie, z modlitwą na ustach, będzie podążała oświetlonymi ulicami, otwierającymi się poza życiem. Jednak niektórzy napotkają na swej drodze strach, który będzie chciał ich zepchnąć na drogę potępionych.

Więc czytajcie. Czytajcie i uczcie się.

Najlepiej być przygotowanym na najgorsze. Mądrze jest nauczyć się chodzić, zanim zabraknie oddechu.

NOCNY POCIĄG Z MIĘSEM

Leon Kaufman już przywykł do miasta. Kiedy był jeszcze prostodusznym chłopakiem, nazywał je Pałacem Rozkoszy. Było to jednak dawno. Mieszkał wtedy w Atlancie, a Nowy Jork był czymś w rodzaju Ziemi Obiecanej. Był miejscem, w którym wszystko jest możliwe. Mieszkał już trzy i pół miesiąca w Nowym Jorku i ten wymarzony Pałac Rozkoszy nie spełniał jego oczekiwań. Czy rzeczywiście tylko trzy miesiące upłynęły od czasu, kiedy wysiadł na Dworcu Autobusowym Port Authority? Spojrzał wtedy ciekawie wzdłuż 42. Ulicy, w kierunku jej skrzyżowania z Broadway'em. W tak krótkim czasie rozwiało się tak wiele jego marzeń. Kiedy wspominał swą naiwność, popadł w zakłopotanie. Krzywił się, kiedy sobie przypominał, że stanął wtedy i głośno powiedział:

--Nowy Jorku, kocham cię.

Był wtedy ślepy.

Teraz, po spędzonych tu trzech miesiącach, Nowy Jork stracił cały swój urok i otaczającą go aurę doskonałości.

Nowy Jork to po prostu miasto.

Widział, jak Nowy Jork budzi się, wydłubuje zabitych spomiędzy zębów i wytrząsa samobójców ze swych włosów. Widział to miasto w nocy, jego brudne zaułki, widział, jak bezwstydnie obnaża swą deprawację. Widział je podczas gorącego popołudnia, leniwe i wstrętne, obojętne na wszelkie okrucieństwa i gwałty dokonujące się w mrocznych przejściach.

To nie był Pałac Rozkoszy.

Nowy Jork -- to nie rozkosz, lecz śmierć.

Każdy, kogo spotkał, zetknął się z przemocą. Takie były realia życia w Nowym Jorku. Niemal do dobrego tonu należało znać kogoś, kto zginął gwałtowną śmiercią. To dowodziło, że mieszkasz w Nowym Jorku.

Kaufman kochał to miasto z daleka przez prawie dwadzieścia lat. Całe swe przyszłe życie wiązał z Nowym Jorkiem. Dlatego ciężko mu było odrzucić wszystkie te uczucia, tak jakby nigdy nic dla niego nie znaczyły. Ciągłe jeszcze były chwile, wczesnym rankiem lub o zmierzchu, kiedy Manhattan wydawał mu się czymś cudownym. Właśnie te chwile powodowały, że ciągle jeszcze miał cień nadziei, że ciągle jeszcze wierzył w to miasto, mimo barbarzyństwa, jakie w nim obserwował. To miasto nie miało zwyczaju przebaczenia. Przez tych kilka miesięcy Kaufman widział wiele rozlanej na jego ulicach krwi. Właściwie, to nie ulice były najgorsze. Najniebezpieczniejsze były tunele pod tymi ulicami.

"Rzeź w metrze" stała się przebojem miesiąca. W ciągu ostatniego tygodnia dokonano następnych trzech zabójstw. Ciała znaleziono w wagonie na stacji Avenue of the Americas. Były porąbane i częściowo wypatroszone, tak jakby ktoś przerwał mordercy robotę. Ta makabryczna praca była wykonana z tak sumienną fachowością, że policja sprawdzała każdego człowieka z kartoteki, który miał w przeszłości do czynienia z rzeźnictwem. Obserwowano zakłady pakujące mięso. Mimo tych starań, nikogo jednak nie aresztowano.

Trzy ciała, które znaleziono ostatnio, nie były jedynymi, jakie morderca zostawił w tym stanie. W dniu przyjazdu Kaufmana całą historię opisano w artykule w "The Times". Ciągłe jeszcze był to temat numer jeden dla sekretarek i gospodyń domowych.

"The Times" wyjaśnił, że turysta z Niemiec, zagubiwszy się w metrze, odnalazł zwłoki młodej, dobrze zbudowanej kobiety. Miała trzydzieści lat. Pozbawiono ją ubrania. Morderca

zdarł wszystko, każdy skrawek odzienia i całą biżuterię, wyjął nawet kolczyki z uszu. Najdziwniejsze było to, że całe ubranie zostało schludnie i starannie złożone. Każdą część garderoby umieszczono w osobnym worku plastikowym i położono na siedzeniu obok ciała.

Co jeszcze dziwniejsze, ciało było nie tylko rozebrane. Według doniesień, nie potwierdzonych jednak przez policję, ciało było skrupulatnie ogolone. Dokładnie usunięto każdy włos -- z głowy, pachwiny, spod pach. Ktoś wyrwał nawet brwi i rzęsy. To nie był bezmyślny rzeźnik. Musiał to być morderca o precyzyjnym mózgu, z zamiłowaniem do porządku. Na końcu morderca powiesił tak spreparowane ciało za stopy, przywiązując je do uchwytów pod dachem wagonu. Pod ciałem ustawił czarne wiadro, wyścielone również czarną plastikową folią, do którego kapiała płynąca z ran krew.

Właśnie w takim stanie znaleziono ciało. Nagie, ogolone, zawieszona i całkiem pozbawiona krwi. Ciało Loretty Dyer. Było to ohydnie staranne i kompletnie niezrozumiałe. Nie znaleziono śladów gwałtu ani tortur. Ofiara została obrobiona szybko i sprawnie, jakby była zwykłym kawałkiem mięsa. A rzeźnik był ciągle na wolności.

Ojcowie miasta, w swej mądrości, postanowili zabronić publikacji prasowych na ten temat. Podano jedynie, że człowiek, który znalazł ciało, przebywa w areszcie prewencyjnym w New Jersey. Uniemożliwiło to dziennikarzom rozmowę z nim. Jednak, mimo tych środków ostrożności, pojawił się jakiś przeciek. Pewien chciwy policjant ujawnił istotne fakty reporterowi z "The Times". Każdy w Nowym Jorku znał potworną historię zarżniętych ofiar. To był główny temat rozmowy w każdym barze i sklepie. I rzecz oczywista, w metrze.

Niestety, Loretta Dyer nie była jedyną ofiarą. Była tylko pierwszą ofiarą.

W takich samych okolicznościach znaleziono następne trzy ciała. Różnica polegała tylko na tym, że ktoś przerwał pracę mordercy i ten nie mógł jej dokończyć. Nie wszystkie ciała były ogolone, nie podejrznięto im również gardel, aby doprowadzić do wykrwawienia. Była jeszcze jedna istotna różnica. Tym razem to nie turysta, lecz reporter z "The New York Times" znalazł ciało.

Kaufman przejrzał doniesienie, które zajmowało prawie całą pierwszą stronę. Nie wzbudzało to w nim niezdrowej ciekawości; inaczej niż u siedzącego obok sąsiada. Czuł tylko obrzydzenie, które spowodowało, że odsunął talerz z gotowanymi zbyt długo jajami. To był jeszcze jeden powód dekadentckiego nastroju, jakim napawało go to miejsce. Nie potrafił czerpać zadowolenia z choroby toczącej Nowy Jork.

Mimo wszystko, nie mógł zignorować krwawych detali opisanych w artykule na pierwszej stronie. Artykuł nie był utrzymany w tonie sensacyjnym, jednak prostota i lakoniczność stylu powodowały, że był jeszcze bardziej wstrząsający. Nie mógł przestać myśleć o okrucieństwie mordercy. Czy autorem wszystkich morderstw był ten sam człowiek, czy może następne były tylko naśladowaniem pierwszego zabójstwa? Może to był dopiero początek tego koszmaru? Całkiem możliwe, że będą następne morderstwa. Może morderca będzie zabijał tak długo, aż popelni błąd, zbyt ekscytując się tym, co robi, i uda się go złapać. Do tego czasu ukochane miasto Kaufmana będzie żyło w stanie pomiędzy histerią a ekstazą.

Siedzący obok brodacz przewróci kawę Kaufmana.

--Cholera -- powiedział.

Leon odsunął swój stół, aby uniknąć kapiącej z lady kawy.

--Cholera -- znowu zaklął brodacz.

--Nic się nie stało -- rzekł Kaufman. Spojrzał na sąsiada z lekką pogardą na twarzy. Ten niezgrabny baran próbował wytrzeć kawę serwetką, która momentalnie zmieniła się w papkę. Kaufman złapał się na tym, że zastanawia się, czy ten idiota z rumianymi policzkami i zaniedbaną brodą byłby zdolny do morderstwa. Czy widać było coś w tej spasionej twarzy, jakąś nieprawidłowość w kształcie głowy, która by na to wskazywała?

--Chcesz jeszcze jedną? -- odezwał się sąsiad. Kaufman potrząsnął głową.

--Kawę. Zwykłą. Czarną -- powiedział brodacz do dziewczyny za ladą. Podniosła głowę znad rusztu, który właśnie myła.

--Co?

--Kawę. Głucha jesteś?

Facet wyszczerzył zęby do Leona.

--Głucha -- powiedział.

Kaufman zauważył, że facet nie ma trzech zębów w dolnej szczęce.

--Nieciekawie wygląda, nie? -- rzekł sąsiad.

Co wygląda nieciekawie? Kawa? Jego uzębienie?

--Trzej ludzie. Pokrojeni. Kaufman przytaknął.

--Pobudza do myślenia -- powiedział brodaty.

--Jasne.

--To znaczy, że oni wszystko zatajają. Wiedzą, kto to zrobił.

"Ta rozmowa jest śmieszna" -- doszedł do wniosku Leon. Zdjął okulary i schował je. Brodata gęba już nie będzie tak dobrze widoczna. Był to w końcu jakiś podstęp.

--Dranie -- powiedział facet. -- Pieprzone dranie, wszyscy oni. Powiem ci coś jeszcze.

--O czym?

--Mają kartotekę. Tylko nas trzymają w pieprzonej niewiedzy. Jest w niej napisane o czymś, co nie jest człowiekiem.

Kaufman zrozumiał. To była sekretna teoria tego idioty. Działało to na niego jak panaceum. Leon słyszał już takie rzeczy wiele razy.

--Kapuujesz, robili eksperymenty genetyczne i sprawa wymknęła im się z rąk. To mogą być rosnące pieprzone potwory, o których nie mamy pojęcia. Jest w tym coś, o czym nam nie powiedzą. Zatajają, powiedziałem. Nie puszczą pary.

Wałęsające się potwory, oto, co zajmowało tego barana. Sześć głów, tuzin oczu. Dlaczego nie? To usprawiedliwiał jego miasto, pozwalało mu być poza całą aferą. Ale Kaufman wiedział, że potwory, które zostaną znalezione w tunelach, będą prawdziwymi ludźmi.

Brodacz rzucił pieniądze na ladę. Jego tłuste ciało spłynęło z zaplamionego stolka.

--Pewnie jakiś pieprzony gliniarz -- rzekł na odchodnym -próbował stworzyć bohatera, a wyszedł pieprzony potwór. -- Wyszczерzył się groteskowo. -- Nie puszczą pary. -- Wciąż gadając, ociężale wytoczył się z baru.

Kaufman powoli odetchnął, nieco się odprężył. Nie cierpiał tego rodzaju rozmów. Powodowały, że zapominał języka w gębie i stawał się nieudolny. Nienawidził także ludzi tego rodzaju; upartych brutali, których Nowy Jork tak czule pielęgnował.

Była prawie szósta, kiedy Mahogany się obudził. Poranny deszcz przeszedł w wieczorną mżawkę. Powietrze miało ten sam co zawsze na Manhattanie zapach. Przeciągnął się i wstał, odrzucając brudny, wełniany koc. Musiał iść do pracy.

W łazience woda spływała na obudowę klimatyzatora, wypełniając całe mieszkanie rytmicznym odgłosem kapania. Mahogany włączył telewizor, aby zagłuszyć ten dźwięk. Sam program wcale go nie interesował. Podeszedł do okna. Położona sześć pięter niżej ulica zatłoczona była ludźmi i samochodami.

Po ciężkim dniu pracy Nowy Jork wracał do domu. Po to, aby się bawić, kochać. Ludzie wylewali się z biur i wsiadali do samochodów. Niektórzy z nich rozdrażnieni całodzienną pracą w pocie czoła, w słabo wentylowanych biurach, inni, łagodni jak baranki, powloką się do domów alejami, dołączając do rzeki idących ludzi. Jeszcze inni będą tłoczyli się w metrze, ślepi na napisy na ścianach, głusi na swą własną paplaninę i głusi na nieprzyjemne gromy rozlegające się w tunelach metra.

Mahogany'emu myślenie o tym sprawiało przyjemność. W końcu nie był jednym z nich. Nie należał do stada. Mógł na nich patrzeć z góry przez okno, wiedząc, że jest wybrańcem. Miał oczywiście, podobnie jak ci ludzie z ulicy, terminy, których musiał dotrzymać. Jednak jego praca nie była tym, czym były ich bezsensowne zajęcia. Jego praca była czymś w rodzaju uświęconego obowiązku.

Musiał żyć, spać i srać jak oni. Jednak to nie pragnienie pieniędzy nim kierowało, a zew historii. Był wielką tradycją, która sięgała dalej wstecz niż Ameryka. Był nocnym wędrowcem. Jak Kuba Rozpruwacz, jak Gilles de Rais. Był żywym wcieleniem śmierci, widmem o twarzy człowieka, nocnym koszmarem, tym, który wzbudza przerażenie. Ludzie na dole nie mogli widzieć jego twarzy, ci, którzy widzieli, nie mogli spojrzeć na nią dwa razy. Jego wzrok osaczał ich, podnosił, wybierał najlepszych, zdrowych i najmłodszych po to, aby padli od ciosu jego uświęconego noża. Czasami Mahogany miał wielką ochotę, aby ujawnić swe oblicze światu. Wiedział jednak, że polega się na nim, miał odpowiedzialne zadanie. Nie mógł oczekiwać sławy. Mógł działać tylko w tajemnicy. Wylącznie jego pycha tęskniła do sławy. Zresztą, czy befsztyk składa hold rzeźnikowi, gdy ten go oprawia? Mimo wszystko, był zadowolony. Być częścią tej wielkiej tradycji, to wystarczająca nagroda. Ostatnio wprowadzili co nieco odkryli. Oczywiście nie popełnił żadnego błędu. Nikt nie mógł go obwiniać. Po prostu miał pecha. Życie nie jest teraz takie łatwe jak dziesięć lat temu. Teraz był starszy, praca bardziej go wyczerpywała. Jego obowiązek ciążył mu coraz bardziej. Był wybrańcem. Ciężko jednak było żyć z tym przywilejem. Od jakiegoś czasu zastanawiał się, czy nie powinien wyćwiczyć kogoś młodszego, aby pełnił jego obowiązki. Musiałby skonsultować się z Ojcami. Zbrodnią byłoby zmarnować jego doświadczenie i nikomu go nie przekazać. Miał tyle ciekawych sekretów do przekazania, tyle sztuczek z jego niezwykłego zawodu: jak najlepiej się skradać, ciąć, rozbierać, upuszczać krew, jak wybierać najlepsze mięso, najprostsza metoda dzielenia na porcje. Tak wiele szczegółów, tak wiele zgromadzonej wiedzy.

Mahogany poczłapał do łazienki i odkręcił prysznic. Kiedy pod niego wchodził, spojrzął na swoje ciało: zaokrąglający się powoli brzuch, siwiejące włosy na wiotczącej piersi, blizny i piegi pokrywające bladą skórę. Starzał się. A miał dziś w nocy, zresztą jak zawsze, pracę do wykonania.

Kaufman pospiesznie wbiegł na klatkę schodową, trzymając w ręku kanapkę. Opuścił kołnierz i strząsnął krople, które osiadły na płaszczu. Zegar nad drzwiami windy pokazywał 7.16. Mógł pracować do dziesiątej, nie dłużej. Winda zawiozła go na 12. piętro do biur Pappasa. Zmęczonym krokiem posuwał się w labiryncie biurek i zakrytych maszyn do swego małego

terytorium. Ciągłe paliło się tam światło. Jedyłą osobą w pobliżu była sprzątaczką. Zdjął płaszcz, strząsnął z niego krople deszczu tak dokładnie, jak się dało i powiesił. Siadł przed stertą papierów, z którymi walczył przez ostatnie trzy dni i zaczął pracę. Jeszcze jedna noc i skończy pracę. Był tego pewien. Łatwiej mu było się skoncentrować teraz, bez tego ciągłego klekotu maszyn do pisania. Odwinął swą pszenną bułkę z szynką i majonezem i schował jako prowiant na resztę nocy.

Była dziewiąta.

Mahogany był gotowy do nocnej wyprawy. Miał na sobie jak zawsze spokojny, brązowy garnitur, schludnie zawiązany krawat, srebrne spinki do mankietów /prezent od pierwszej żony/, nieskalaną, starannie wyprasowaną koszulę. Rzadkie włosy były starannie ułożone i zwilżone żel, paznokcie starannie obcięte i wypolerowane. Twarz skropił wodą kolońską. Torba była już spakowana: ręczniki, instrumenty, fartuch ochronny. Sprawdził swój wygląd w lustrze. Ciągłe jeszcze wyglądał na 45-50 lat.

Kiedy przyglądał się własnej twarzy, myślał o obowiązku, który musi spełnić. Poza wszystkim, musi być ostrożny. Wiele oczu może go dziś obserwować, kontrolować i oceniać. Musi wyglądać zupełnie niewinnie, nie może wzbudzać podejrzeń.

"Gdyby tylko wiedzieli" -- pomyślał. Ci, przechodzący obok niego, mijający go, zderzający się z nim bez słowa przeprosin. Gdyby tylko wiedzieli ci, na których patrzył z pogardą, ci, którzy uśmiechali się, widząc jego wielką postać. Gdyby zdawali sobie sprawę, co zrobił i co niesie ze sobą, a przede wszystkim, gdyby wiedzieli kim jest.

--Uwaga -- powiedział do siebie i zgasił światło. W mieszkaniu zapadła ciemność. Podeszedł do drzwi i otworzył je. Był przyzwyczajony do poruszania się w ciemności. Był szczęśliwy w ciemności.

Chmury deszczowe całkowicie się już rozproszyły. Mahogany skierował się Amsterdamską do stacji metra na 145. Ulicy. Zamierzał wsiąść do Avenue of the Americas, jego ulubionej i najbardziej urodzajnej linii.

A więc po schodach do metra, trzymając w dłoni żeton, potem przejść przez automatyczne drzwi. Zapach tuneli metra znowu drażnił jego nozdrza. Nie był to oczywiście zapach tych głębokich tuneli, które pachniały bardzo specyficznie. Mimo, że powietrze w tunelach tej płytkiej linii było zestarzałe i raczej śmierdzące, było w tym zapachu coś kojącego. Nieświeży oddech milionów pasażerów, tłoczących się niczym mrówki, mieszał się z oddechami wszystkich wstrętnych stworzeń żyjących w tych tunelach. Kochał to. Zapach, ciemność, huk jadącego pociągu.

Stał na peronie i krytycznie obserwował współpasażerów. Dwa lub trzy ciała obejrzał dokładniej. Większość jednak -- to były śmiecie. Tylko parę było wartych polowania. Fizycznie zniszczone, otyłe, chore i zmęczone. Ciała zniszczone przez brak umiaru i niedbałości. Jako profesjonalistę bardzo go to denerwowało. Słabość zepsuła tak wiele dobrych ciał.

Stał na stacji przeszło godzinę, wałęsając się od peronu do peronu. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały, przyjeżdżały i odjeżdżały, a ludzie wraz z nimi. Przygnębiający był fakt, że tak mało wśród nich było ciał godnych uwagi. Wyglądało na to, że każdego dnia będzie musiał czekać coraz dłużej na ciało warte użycia. Było już prawie wpół do jedenastej, a on nie widział jeszcze nikogo, kto byłby naprawdę dobry do uboju. Nieważne, powiedział sobie, ciągle jeszcze był czas. Wkrótce ukażą się ludzie powracający z teatrów. Były to dobre, silne ciała. Dobrze

wykarmieni inteligenci, trzymający kurczowo resztki biletów i rozmawiający na temat rozrywek kulturalnych -- tak, tam coś będzie. Jeżeli nie /a były już noce, kiedy wydawało się, że nie znajdzie nic odpowiedniego/, pojedzie na przedmieście. Znajdzie na rogu jakąś zakochaną parę albo atletę, który dopiero co opuścił salę gimnastyczną. Sportowcy zawsze stanowili dobry materiał, czasami jednak trafiały się tak dobre egzemplarze, że atakując je, narażał się na opór. Pamiętał jak zaatakował dwóch czarnych samców. Może było to rok temu, może dawniej. Różnica wieku pomiędzy samcami wynosiła może 40 lat. Chyba byli to ojciec i syn. Bronili się, używając noży. W efekcie Mahogany trafił do szpitala na 6 tygodni. Była to ostra walka. Zaczął już nawet wątpić w swe możliwości. Gorzej, zastanawiał się, co z nim zrobią władcy, gdy odniesie poważniejsze obrażenia. Może zostanie dostarczony do swej rodziny w New Jersey i będzie miał przyzwoity, chrześcijański pogrzeb? A może rzucają jego padlinę w ciemność, jak szmatę?

Naglówek porzuconego na ławce "New York Post" zwrócił jego uwagę: "Policja wzmaga wysiłki, aby schwytać mordercę". Myśli o porażce, słabości i śmierci zniknęły. Był przecież tylko człowiekiem, mordercą i myśl, że mógłby zostać złapany była śmieszna. Zresztą jego poczynania były usankcjonowane przez najwyższe możliwe autorytety. Żaden policjant nie może go złapać, żaden sąd sądzić. Prawo i porządek, które go ścigały, służyły tym samym panom, którym on służył. Czasami niemal miał ochotę, żeby złapał go jakiś gliniarz z dwoma belkami na czapce. Pelen triumfu zaprowadziłby wtedy Mahogany'ego przed sąd. Mahogany zobaczyłby ich głupie twarze, gdy okazałoby się, że jest człowiekiem chronionym, stojącym ponad prawem i statutami.

Teraz po 10.30 sytuacja się polepszyła. Strumień powracających do domu wielbicieli teatru już napływał. Nie było jednak na razie nic ciekawego. Zresztą i tak chciał przeczekać największy ruch. Chciał podążyć za jednym lub dwoma upatrzonymi okazami do końca linii. Jak każdy mądry myśliwy, czekał na właściwy moment.

O jedenastej Kaufman jeszcze pracował, mimo że obiecał sobie skończyć o dziesiątej. Rozdrażnienie i zmęczenie jeszcze bardziej utrudniały pracę. Arkusze wykresów zaczęły zamazywać się przed oczami. Dziesięć po jedenastej rzucił pióro i przyznał się do porażki. Tarł oczy wierzchem dłoni, aż zobaczył wirujące kolorowe platy.

--Pieprzyć to -- powiedział.

Nigdy nie przeklinał w towarzystwie. Jednak przynosiło mu ulgę, gdy raz na jakiś czas zaklął sobie w samotności. Wyszedł z biura, przewiesił płaszcz przez ramię, skierował się do windy. Był zmęczony, oczy same mu się zamykały.

Na dworze było zimniej, niż się spodziewał. Otrzeźwiło go to nieco. Ruszył w kierunku stacji metra na 34. Ulicy. Złapie linię Express do Far Rockaway. Za godzinę będzie w domu.

Kaufman ani Mahogany nie wiedzieli, że na skrzyżowaniu 90. i Broadwayu policja aresztowała pewnego człowieka, biorąc go za Mordercę z Metra. Złapano go w jednym z podmiejskich pociągów. Mały czelczyca, z pochodzenia Europejczyk, dzierżył w ręku młotek i pilę i groził zapędzonej w kął kobiecie, że przetnie ją na pół w imię Jehowy.

Wątpliwym było, czy byłby w stanie spełnić swą groźbę. Nie miał żadnych szans. Przyglądający się pasażerowie /wśród nich było dwóch żołnierzy piechoty morskiej/ zobaczyli, jak niedoszła ofiara kopnęła napastnika w jądra. Facet upuścił młotek, kobieta podniosła go i złamała mężczyźnie szczękę i kość policzkową, zanim piechota morska wkroczyła do akcji.

Kiedy pociąg zatrzymał się na 96. Ulicy, policja czekała już na peronie, aby aresztować Rzeźnika z Metra. Policjanci wpadli do wagonu całą hordą, wrzeszcząc upiornie i cholernie wszystkich strasząc. Rzeźnik leżał w rogu wagonu z pokiereszowaną twarzą. Triumfując, rzucili się na niego. Po przesłuchaniu kobieta została odprowadzona do domu przez dwóch żołnierzy.

Mahogany nic nie wiedział o tej bardzo przydatnej dla niego dywersji. Prawie całą noc policja straciła, aby ustalić tożsamość swego więźnia. Niedoszły morderca nie mógł im w tym pomóc, ponieważ jedyne, co mógł zrobić przy pomocy swych zmasakrowanych ust, to ślinić się. Dopiero o 3.30 kapitan Davis, który przyszedł na służbę, rozpoznał mężczyznę. Był to emerytowany kwiaciarz. Nazywał się Hank Vasarely. Był on wielokrotnie aresztowany za agresywne i nieprzyzwoite zachowanie. Przypuszczenia, że on jest rzeźnikiem z Metra, okazały się mylne: Vasarely był mniej więcej tak groźny jak wielkanocna babka. Nie był Mordercą z Metra. Jednak, kiedy gliniarze się o tym przekonali, Mahogany już pracował.

Było piętnaście po jedenastej, kiedy Kaufman złapał metro linii Express do Mott Avenue. Jechał z dwójką innych podróżnych. Jednym z nich była Murzynka w średnim wieku, ubrana w purpurowy płaszcz, drugim -- przyszczaty młody człowiek, gapiący się spod wpółotwartych powiek na napis na suficie: "Pocałuj mój biały tyłek".

Kaufman siedział w pierwszym wagonie. Miał przed sobą 35 minut jazdy. Przymknął oczy, uśpiony rytmicznym stukotem kół. Podróż była nudna, a on zmęczony. Nie dostrzegł migotania światła w sąsiednim wagonie. Nie widział także twarzy Mahogany'ego, który patrzył przez szybę w drzwiach dzielących wagony i szukał swego mięsa.

Na 14. ulicy kobieta wysiadła. Nikt nie wsiadł.

Kaufman na krótko otworzył oczy i spojrzał na pusty peron 14. ulicy. Kiedy pociąg ruszył, ponownie je zamknął. Drzwi syknęły i zamknęły się. Pół drzemal, był gdzieś pomiędzy jawą a snem. Jakieś rodzące się marzenia senne trzepotały mu w głowie. Było to przyjemne uczucie. Pociąg znowu jechał, podążając w kierunku tunelu.

Możliwe, że drzemający Kaufman dostrzegł otwierające się powoli drzwi pomiędzy wagonami. Może wyczuł wpadający do wagonu smród tunelu. Niewykluczone, że usłyszał głośniejszy przez chwilę stukot kół. Jednak zignorował to. Może nawet słyszał szamotaninę ujarzmionego przez Mahogany'ego młodzieńca o nieobecnym spojrzeniu. Jednak dźwięk był zbyt odległy, a perspektywa snu zbyt kusząca. Zdrzemnął się.

Nie wiadomo dlaczego, śniła mu się kuchnia matki. Matka cięła rzepę i uśmiechała się łagodnie. Był we śnie małym dzieckiem i patrzył na jej promienną twarz.

Raptownie otworzył oczy. Matka zniknęła. Wagon był pusty. Zagapionego chłopaka nie było. Jak długo drzemal? Nie pamiętał przystanku na 4. Zachodniej Ulicy. Wstał zupełnie jeszcze zaspany. Wydawało mu się, że hałas kół jest wściekły. Prędkość była jakby większa. Może maszynista też spieszy się do domu, pragnie leć w łóżku obok swej żony. Ta prędkość miała w sobie coś upajającego, naprawdę było to coś cholernie ekscytującego.

Zasłona na szybie w drzwiach dzielących oba wagony była do połowy opuszczona. O ile pamiętał, poprzednio okno było zupełnie odsłonięte. Jakieś skojarzenie przedarło się do otumanionego snem mózgu Kaufmana. Pewnie spał dłużej, niż przypuszczał. Konduktor sprawdzający bilety przeoczył go i teraz Leon jechał na jakąś bocznice, na którą odstawia się pociągi na noc.

--Pieprzyć to -- powiedział głośno.

Może pójść do maszynisty? To cholernie głupie pytanie: "Gdzie ja jestem?" Jedyłą odpowiedzią, jakiej mógłby się spodziewać o tej porze, byłoby przekleństwo.

Pociąg zaczął zwalniać. Stacja. Tak, stacja. Pociąg wynurzył się z tunelu i wtoczył się na stację przy 4. Zachodniej Ulicy. A jednak Leon nie przespał żadnej stacji. Więc gdzie podział się chłopak? Może zignorował tabliczkę na ścianie wagonu, zabraniającą przechodzenia między wagonami w czasie jazdy? A może poszedł do przedziału maszynisty? Może zabawiał się z maszynistą? Nie byłoby w tym nic dziwnego. Nowy Jork do Pałac Rozkoszy. Każdy ma tu prawo do odrobiny miłości w mroku.

Kaufman wzruszył ramionami. Co go właściwie obchodzi, gdzie poszedł chłopak?

Drzwi się zamknęły. Nikt nie wszedł do pociągu. Metro wytoczyło się ze stacji, światła zamigotały, jakby zwiększenie prędkości wymagało dodatkowej mocy.

Zmysły Kaufmana wreszcie się obudziły. Nawet poprzez stukot i łomot kół, usłyszał odgłos darcia materiału dobywający się z następnego wagonu. Czy ktoś darł swą koszulę? Wstał i aby utrzymać równowagę, złapał za uchwyt pod sufitem wagonu. Okno pomiędzy wagonami było zupełnie zasłonięte, ale Kaufman wpatrywał się w nie ze zmarszczonymi brwiami, jakby chciał je przeświecić promieniami Roentgena. Wagon huśtał się i trząsał. Leon znowu podróżował na jawie.

Następny odgłos darcia?

Czy to gwałt?

Ze wzrastającym zainteresowaniem zbliżył się do drzwi dzielących oba wagony. Miał nadzieję, że znajdzie jakąś dziurkę albo szczelinę w zasłonie. Patrzył ciągle w drzwi, nie zauważył więc, że stąpa po plamach krwi. Dopóki... nie poślizgnął się. Spojrzał w dół. Pszenka bułka z szynką podeszła mu do gardła. Krew. Odetchnął kilka razy nieświeżym powietrzem i znów spojrział na okno. W głowie kotłowało się słowo: "krew"!

Drzwi były nie dalej niż jard lub dwa. Musiał zobaczyć. Miał krew na bucie, plamy prowadziły do drugiego wagonu, musiał tam zajrzeć. Naprawdę musiał.

Zrobił dwa kroki i uważnie obejrzał zasłonę, szukając jakichś szpar. Jedna spruta nitka mogła mu wystarczyć. Znalazł maleńką dziurkę. Przyłożył do niej oko. Mózg nie chciał zaakceptować tego, co widziały oczy, odrzucał absurdalny widok, jak koszmar senny. Rozsądek mówił mu, że to, co widzi nie może być prawdą, jednak Kaufman wiedział, że na pewno nie śni. Ciało zeszywniało ze strachu. Mrugał oczami, starając się nie widzieć przerażającej sceny za drzwiami. Stał przy drzwiach, wydawało mu się, że krew przestała krążyć w jego ciele, zakręciło mu się w głowie z powodu braku tlenu. Różnokolorowe plamy zamigotały Leonowi przed oczyma, odcinając go nareszcie od okrutnego widoku.

Zemdlał.

Był ciągle nieprzytomny, gdy pociąg dojeżdżał do Jay Street. Nie słyszał zapowiedzi maszynisty, że wszyscy pasażerowie powinni przesiąść się do innego pociągu. Zresztą, nawet gdyby ją słyszał, nie uwierzyłby jej. Żaden pociąg nie kończył biegu na Jay Street. Linia biegła do Mott Avenue przez Aqueduct Race Track, mijając lotnisko JFK. Mógłby zapytać, co to właściwie za pociąg, tylko że pytanie było już niepotrzebne. Odpowiedź była w następnym wagonie: zadowolona uśmiechała się do siebie spoza zakrwawionego fartucha -- kolczugi.

To był Nocny Pociąg z Mięsem.

Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo był nieprzytomny. Mogły minąć równie dobrze sekundy jak i godziny, zanim oczy Kaufmana znowu się otworzyły i oceniły nową sytuację.

Leżał pod jednym z siedzeń, oparty o drżącą ścianę wagonu. Był niewidoczny z drugiego wagonu. Szczęście jak dotąd mu sprzyjało. W jakiś sposób drgania metra przesunęły jego bezwładne ciało poza zasięg wzroku. Przypomnił sobie koszmar z Wagonu nr 2 i znowu zebrało mu się na wymioty. Był sam. Gdziekolwiek był konduktor /może został zabity/, Leon i tak nie mógł zawołać o pomoc. A maszynista? Czy pociąg toczył się teraz przez nieznane tunele ku swej zagładzie? Tunele bez żadnej znanej stacji?

A jeżeli nawet nie będzie katastrofy kolejowej, w której mógłby zginąć, ciągle jeszcze jest rzeźnik. Rzeźnik, którego dzieliła od Kaufmana jedynie grubość drzwi. Gdziekolwiek się obrócił, czekała na niego śmierć. Kiedy leżało się na podłodze, hałas był ogłuszający. Zęby szczękały o siebie, twarz zdrętwiała od wibracji. Bolała go od tych wstrząsów cała głowa. Stopniowo wracało mu czucie, a wraz z nim mdłości. Ciągle pamiętał straszliwą scenę, jaką widział w drugim wagonie. Widział wcześniej zdjęcia ofiar, ale to nie to samo, co widzieć morderstwo na własne oczy. Był w pociągu razem z Rzeźnikiem, potworem, który przywiązywał za stopy swe nagie i bezwłose ofiary do uchwytów pod dachem wagonu. Ile czasu jeszcze minie, zanim morderca otworzy drzwi i dobierze się do niego? Był pewien, że jeżeli morderca go nie wykończy, to robi to za niego to straszne oczekiwanie.

Usłyszał ruch za drzwiami.

Instykt zadziałał. Kaufman wcisnął się głębiej pod siedzenie, zwinął się w kłębek, przytulając bladą twarz do ściany. Zakrył głowę rękami. Zamknął oczy jak każde bojące się straszdyła dziecko.

Drzwi powoli się otworzyły. Klik. Syk. Ruch wpadającego powietrza. Pachniało dziwniej i zimniej niż kiedykolwiek. Pachniało jakoś pierwotnie, wrogo i tajemniczo. Zadrzał.

Drzwi się zamknęły. Klik. Rzeźnik był tuż obok. Kaufman był tego pewien. Może stał dosłownie o cale od miejsca, gdzie leżał Leon. Czy patrzy teraz z góry na jego plecy? Czy pochyła się z nożem w rękę, aby wyciągnąć go spod siedzenia jak ślimaka z muszli?

Nic takiego się nie stało. Nie czuł żadnego oddechu. Nikt nie rozpruł mu pleców. Usłyszał ciche stąpanie obok głowy; odgłosy powoli oddalały się. Kaufman z ulgą wypuścił powietrze. Płuca już prawie mu pękały od powstrzymywania oddechu.

Mahogany poczuł się rozczarowany, że śpiący mężczyzna wysiadł na 4. Zachodniej Ulicy. Miał nadzieję na jeszcze jedną robotę tej nocy, dałoby mu to upragnione zajęcie. Ale nie: mężczyzna wysiadł. "Zresztą, potencjalna ofiara nie wyglądała zbyt zdrowo" -- pomyślał. Wyglądał na anemicznego żydowskiego księgowego. Mięso byłoby kiepskiej jakości. Mahogany skierował się do kabiny maszynisty. Zamierzał tam spędzić resztę czasu.

"Mój Boże, on zamierza zabić maszynistę" -- pomyślał Kaufman.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi do kabiny. Potem dotarł do niego głos Rzeźnika:

--Cześć.

--Cześć. Znali się.

--Zrobione?

--Zrobione.

Kaufmana zaskoczyła banalność tego dialogu... Zrobione? Co tu znaczy: zrobione? Nie dosłyszał kilku następnych słów, bo pociąg jechał po wyjątkowo głośnym odcinku trasy.

Kaufman nie mógł już dłużej wytrzymać. Ostrożnie wyturlał się i spojrzął sponad ramion. Wszystko co mógł zobaczyć to nogi Rzeźnika i dół otwartych drzwi. Cholera. Chciał zobaczyć twarz tego potwora jeszcze raz.

Znowu usłyszał śmiech.

Kaufman rozważył ryzyko. Arytmetyka paniki. Jeżeli dobrze oceniał miejsce, w którym się znajdował, wcześniej czy później Rzeźnik go zobaczy i zrobi z niego budyń. Z drugiej strony, jeżeli ruszy się ze swojego miejsca i zacznie uciekać, ryzykuje, że go zobaczą i będą ścigać. Co jest gorsze? Bezruch i oczekiwanie na śmierć pod siedzeniem, czy spotkanie z Rzeźnikiem twarzą w twarz na środku wagonu? Kaufman zaskoczył odwagą samego siebie; postanowił się ruszyć.

Nieskończenie wolno wypelzał spod siedzenia, obserwując bez przerwy plecy Rzeźnika. Zaczął czolgać się w kierunku drzwi. Każdy centymetr był torturą. Rzeźnik jednak wyglądał na zbyt zaabsorbowanego rozmową, aby się odwracać. Dotarł do drzwi. Zaczął wstawać, starając przygotować się do tego, co zobaczy w Wagonie nr 2. Ścisnął klamkę i powolutku zaczął otwierać drzwi. Hałas wzmógł się, a fala wilgotnego, cuchnącego powietrza wpadła do wagonu. Rzeźnik na pewno to usłyszy albo wyczuje. Na pewno się odwróci. Ale nie. Kaufman prześlizgnął się przez wąską szczelinę półotwartych drzwi i wszedł do krwawego Wagonu nr 2. Ulga sprawiła, że stał się nieuważny. Źle zamknął drzwi i te zaczęły się otwierać pod wpływem wstrząsów pociągu.

Mahogany wystawił głowę z kabiny maszynisty i spojrzął na drzwi.

--Co jest, kurwa? -- zapytał maszynista.

--Źle zamknąłem drzwi. To wszystko.

Kaufman słyszał, jak rzeźnik podchodzi do drzwi. Kucnął za ścianą, czując nagle narastające mdłości. Morderca zamknął drzwi z drugiej strony i kroki znowu się oddaliły.

Bezpieczniej, przynajmniej jeszcze przez chwilę.

Otworzył oczy przygotowując się na straszny widok. Nie było przed tym ucieczki.

Potworność odbierana była wszystkimi zmysłami. Smród wnętrzości, wiszące ciało, mokra podłoga pod palcami, skrzypienie uchwytów pod ciężarem ciała. Powietrze o kwaśnym zapachu krwi. Cały ten toczący się przez ciemność wagon wypełniony był śmiercią. Teraz jednak nie ogarnęły go mdłości. Nie pozostało nic innego jak obrzydzenie. Patrzył na ciała nawet z pewną ciekawością. Szczątki najbliżej niego były tym, co pozostało z przyszczatego młodzieńca, którego widział w wagonie nr 1. Ciało wisiało do góry nogami, kołysząc się zgodnie z podrygiwaniem pociągu, wspólnie z trzema innymi, wykonując coś w rodzaju "dance macabre". Kolana zwisały luźno, kołysząc się w stawach. Zrobiono w nich głębokie nacięcia /na cal lub dwa/. Każda część ciała dzieciucha hipnotycznie przyciągała wzrok Kaufmana. Język zwisający z otwartych ust. Głowa kiwająca się na poderżniętej szyi. Nawet penis chłopaka kiwał się na prawo i lewo, zwisając z wyskubanej pachwiny. Z ran na głowie i szyi krew spływała wciąż do czarnego wiadra. Była w tym wszystkim jakaś elegancja. Po prostu dobrze wykonana praca.

Oprócz chłopaka, w wagonie wisiały jeszcze ciała dwóch młodych, białych kobiet i śniadego mężczyzny. Kaufman spojrzął na ich twarze. Były zupełnie blade. Jedna z dziewczyn była piękna. Stwierdził, że mężczyzna jest Portorykańczykiem. Wszystkie ciała były dokładnie ogolone lub opalone. W powietrzu czuć było jeszcze cierpki zapach charakterystyczny dla palonych włosów. Kaufman powoli podniósł się, opierając się o ścianę. Nagle ciało jednej z

kobiet obróciło się, pokazując plecy.

Leon nie był przygotowany na straszny widok, jaki zobaczył. Plecy od szyi po pośladki zostały całkowicie pozbawione skóry. Rzeźnik usunął także mięśnie. Widać było błyszczący kręgosłup. W ten sposób morderca udowodnił swą wielką fachowość. W Wagonie nr 2 wisiały szczątki ludzkie, podgolone, pozbawione krwi, wypatroszone jak ryby -- gotowe do spożycia.

Kaufman prawie się uśmiechnął, gdy uświadomił sobie perfekcję Rzeźnika. Poczul ogarniające mózg szaleństwo, prowadzące do zapomnienia i obiecujące zobojętnienie wobec świata. Zaczął się trząść. Nie mógł tego powstrzymać. Jego struny głosowe formowały się do krzyku. Było to nieznośne. Nie mógł krzyczeć, jeśli nie chciał za chwilę zawisnąć obok tych czterech ciał.

--Pieprzyć to -- powiedział głośniejszym głosem niż zamierzał.

Odepchnął się od ściany i zaczął iść wzdłuż wagonu, omijając kołyszące się ciała, patrząc na schludnie poukładane obok niedawnych właścicieli ubrania i rzeczy osobiste. Podłoga była lepka od krwi i żółci. Przymrużył oczy, aby jak najmniej widzieć z tego potwornego obrazu. Niewiele to jednak pomogło. Wyraźnie widział pełne krwi wiadra, ciężkie i tłuste.

Mijał właśnie ciało chłopaka i widział już drzwi do trzeciego wagonu. Musiał jak najszybciej opuścić to pomieszczenie pełne okrucieństwa. Poganiał sam siebie, próbując zignorować otaczający go koszmar i wlepił wzrok w drzwi, które wiodły do normalnego świata. Minał pierwszą kobietę. Jeszcze kilka jardów, najwyżej dziesięć kroków, mniej, jeśli będzie stąpał pewnie.

Nagle zgasło światło.

--Jezu Chryste -- jęknął.

Pociąg gwałtownie się przechylił, Kaufman stracił równowagę. Próbował ją odzyskać w całkowitej ciemności, która panowała teraz w wagonie. Jego mlójące ramiona objęły ciało wiszące obok. Zanim mógł cokolwiek zrobić, poczul jak ręce zagłębiają się w letnie ciało. Ręka uchwyciła obnażony mięsień zabitej kobiety. Palcami dotknął kości kręgosłupa. Policzkiem dotknął bezwłosego uda. Wrzasnął. Kiedy krzyczał, światła zamigotały i powtórnie się zapaliły. Kiedy krzyk ucichł, Leon usłyszał tupot stóp Rzeźnika biegnącego ku drzwiom dzielącym wagony. Puścił ciało, które obejmował. Twarz miał umazaną krwią, która spływała po nodze zabitej kobiety. Czuł ją na policzku; była jak barwy wojenne.

Krzyk wyrwał jego mózg z letargu. Poczul się nagle silniejszy. Nie będzie ucieczki, nie będzie tchórzostwa. Nie teraz. To będzie walka na śmierć i życie, twarzą w twarz. Wszystkie chwytaki są dozwolone. Sprawa jest prosta: albo życie, albo śmierć.

Klamka zaskrzypiała.

Kaufman rozejrzał się w poszukiwaniu broni. Wzrok miał spokojny i wyrachowany. Jego spojrzenie padło na torbę leżącą obok ciała Portorykańczyka. Był tam nóż, leżący wśród imitacji złotych łańcuchów i pierścieni. Niepokalanie czysta broń o długim ostrzu była pewnie dumą i ulubioną zabawką właściciela. Kaufman minął zwisające, dobrze umięśnione ciało i złapał nóż. Dobrze leżał w ręce. Broń w ręku dodała Leonowi odwagi.

Drzwi otworzyły się i ukazała się twarz mordercy.

Kaufman spojrział na Mahogany'ego. Na pozór był zwykłym, łysiejącym mężczyzną z nadwagą w wieku około 50 lat. Miał wielką twarz i głęboko osadzone oczy. Usta Mahogany'ego były małe i delikatne. Wyglądały prawie jak kobiece.

Mahogany nie mógł pojąć, skąd się wziął ten intruz. Zdawał sobie jednak sprawę, że to jeszcze jeden dowód jego rosnącej z wiekiem niekompetencji. Natychmiast musi załatwić tę nędzną kreaturę. W końcu do końca linii zostało już tylko mila lub dwie. Musi pociąć i powiesić" tego małego człowieczka, zanim dotrą do miejsca przeznaczenia. Wszedł do Wagonu nr 2.

--Zaspaleś -- powiedział, rozpoznając Kaufmana. -- Widziałem cię. Kaufman milczał.

--Powinieneś był wysiąść. Co próbowałeś zrobić? Ukryć się przede mną?

Kaufman ciągle milczał.

Mahogany położył rękę na trzonku tasaka, który zwisał z mocno zużytego paska. Był cały we krwi, podobnie jak fartuch, młotek i piła.

--Skoro tak -- powiedział -- muszę się tobą zająć. Kaufman podniósł nóż. Wyglądał on raczej mizernie w porównaniu ze sprzętem Rzeźnika.

--Pieprzyć to -- powiedział.

Mahogany uśmiechnął się pobłaźliwie, widząc, że mały mężczyzna zamierza się bronić.

--Nie powinieneś tego widzieć. To nie dla takich jak ty -- powiedział, robiąc krok w kierunku Kaufmana. -- To tajemnica.

"Aha, więc ten facet jest nieco nawiedzony" -- pomyślał Kaufman. To trochę wyjaśniało.

--Pieprzyć to -- powiedział jeszcze raz. Rzeźnik zmarszczył brwi. Nie podobał mu się lekceważący stosunek tego facecika do jego pracy i reputacji.

--Każdy z nas kiedyś umrze -- powiedział. -- Powinieneś być zadowolony: nie zostaniesz spalony jak wielu innych. Wykorzystam cię, aby nakarmić Ojców.

Jedyną odpowiedzią Kaufmana był szyderczy śmiech. Nie bał się już tego tłustego, niezgrabnego człowieka.

Rzeźnik wyjął tasak zza pasa i uniósł go.

--Taki brudny Żyd jak ty -- powiedział -- powinien być wdzięczny za to, że jest użyteczny. Być mięsem -- to powinno zaspokajać twoje aspiracje.

Nagle rzeźnik zaatakował. Tasak przeciął powietrze z ogromną szybkością, ale Kaufman zdążył się odsunąć. Tasak rozerwał rękaw płaszcza Leona i utkwił w goleni Portorykańczyka. Impet uderzenia wbił topór do połowy, a ciężar dopełnił reszty -- rana jeszcze bardziej się rozszerzyła. Mięso uda przypominało stek, soczysty i apetyczny.

Rzeźnik wyciągnął topór z rany. W tym właśnie momencie Kaufman zaatakował. Nóż zmierzał ku oku Mahogany'ego, ale błąd Leona spowodował, że wbił się on w szyję mordercy. Przeszył gardło. Koniec ostrza ukazał się z drugiej strony. Na wylot. Jednym uderzeniem. Na wylot.

Mahogany poczuł wbijające się w szyję ostrze. Było to zupełnie takie samo uczucie jak przy dławieniu się kością z kurczaka. Wydał z siebie dziwaczny dźwięk, przypominający kaszel. Krew napłynęła do ust czerwieniąc je, jak szminka czerwieni usta kobiety. Tasak upadł na ziemię z łomotem.

Kaufman wyrwał nóż. Krew chlusnęła z obu ran.

Mahogany padł na kolana, patrząc na nóż, który go zabił. Mały mężczyzna patrzył na niego spokojnie. Coś mówił, ale uszy Mahogany'ego były już głuche. Rzeźnik nagle oślepl. Z żalem uświadomił sobie, że nie będzie już nigdy widział ani słyszał. To była śmierć. Przyszła po niego. Pod palcami czuł materiał spodni. Czuł gorące krople padające na ręce. Jego życie zatrzymało się na palcach, kiedy miał jeszcze czucie w rękach... potem ciało zważyło się. Ręce,

życie, uświęcony obowiązek padł pod ciężarem szarego ciała.

Rzeźnik był martwy.

Kaufman zaczerpnął łyk nieświeżego powietrza i złapał za uchwyt, aby utrzymać równowagę. Łzy kapwały na podłogę rzeźni, w której się znajdował. Czas mijał. Nie miał pojęcia jak długo tak stał, napawając się zwycięstwem.

Pociąg zaczął zwalniać. Czuł i słyszał, że użyto hamulców. Gdy pociąg zwalniał, wiszące ciała przechyliły się do przodu. Koła piszczały, ślizgając się po szynach.

Kaufmana opanowała ciekawość. Czy pociąg wjeżdża do podziemnej rzeźni mordercy, udekorowanej zdobytymi trofeami? Co zrobi śmiejący się maszynista, tak obojętny na masakrę, gdy pociąg się zatrzyma? Rozpamiętywanie sytuacji nie miało sensu. Mógł teraz stawić czoła wszystkim. Zatrzeszczał głośnik.

--Jesteśmy. Lepiej żebyś zajął swoje miejsce -- powiedział maszynista.

Zajął swoje miejsce? Co to znaczy?

Pociąg zwolnił do ślimaczego tempa. Za drzwiami panowała nieprzenikniona ciemność. Światła zamigotały i zgasły. Tym razem nie zapaliły się powtórnie.

Kaufmana otaczała zupełna ciemność.

--Skończymy za pół godziny -- obwieścił głośnik, jakby to była normalna stacyjna zapowiedź.

Pociąg dojechał do stacji. Zamilkły znieruchomiałe na szynach koła. Słyszać było tylko buczenie głośnika. Kaufman nadal nic nie widział. Nagle usłyszał syk. Drzwi się otwierały. Smród wtargnął do wagonu. Smród tak zjadliwy, że Leon zakrył nos rękoma. Przez chwilę, która wydawała mu się wiekiem, stał nieruchomo, z rękami przy twarzy. Nic nie widział. Nic nie słyszał. Nic się nie odezwało.

Nagle za oknem błysnęło światło. Cień framugi drzwi padł na przeciwległą ścianę. Blask stopniowo wzrastał. W wagonie było już na tyle jasno, że Kaufman widział skurczone ciało Rzeźnika u swych stóp i wiszące ciała.

Na zewnątrz rozległy się szepty wielu cieniutkich jak brzęczenie pszczół głosów, W tunelu żyli ludzie. Kaufman widział ich sylwetki. Niektórzy z nich nieśli pochodnie pałace się trupim światłem. Dźwięk, który słyszał, był prawdopodobnie szuraniem stóp po wilgotnej ziemi lub może mlaskaniem. A może obydwoma tymi dźwiękami.

Kaufman nie był już tak nieświadomy jak godzinę temu. Nie było żadnych wątpliwości co do intencji zbliżających się w ciemności starców. Rzeźnik mordował i ćwiartował ludzi dla nich na posiłek. Nadchodzili, aby zjeść obiad w tym potwornym wagonie restauracyjnym.

Kaufman schylił się i podniósł upuszczony przez mordercę tasak. Dźwięk dochodzący od stworów zbliżał się z każdą chwilą. Odwrócił się i chciał uciec od otwartych drzwi. Jednak drugie drzwi były także otwarte i stamtąd też dochodziły owe dziwne odgłosy.

Przykucnął za siedzeniem. Kiedy się chował, cienka, wåtła, niemal przeźroczysta ręka złapała za framugę drzwi. Nie mógł przestać patrzeć i to wcale nie dlatego, że widok go zmroził. Po prostu chciał to zobaczyć.

Stwór wszedł do wagonu. Pochodnie trzymane za nim ocieniały twarz, ale Leon doskonale widział kontur jego ciała. Nie było w nim nic niezwykłego. Miał dwie ręce i dwie nogi, głowa była normalnego kształtu. Był drobnej budowy, wspinaczka do wagonu przyspieszyła jego oddech. Za chwilę pojawili się następni. Wchodzili wszystkimi drzwiami.

Kaufman znalazł się w pułapce. Uniósł tasak, ważąc go w ręce, gotów do walki z tymi antycznymi potworami. Któraś z nich wniósł do wagonu pochodnię. Pozwoliło to Leonowi dostrzec ich twarze.

Byli kompletnie łysi. Skóra na czaszkach była napięta i świecąca. Ich twarze miały niezdrowy wygląd. Widać było na nich wrzody i platy rozkładającej się skóry. U niektórych z nich skóra i mięśnie zupełnie wyschły lub zgniły i widać było ociekające ciemną ropą kości skroni i policzka. Niektórzy byli zupełnie nadzy. Patrząc na ich papkowate, syfilityczne ciała, z trudnością można było odróżnić płeć. Coś, co kiedyś było kobiecymi piersiami, teraz przypominało zwisające, skórzane worki. Męskie genitalia całkowicie się skurczyły.

Gorzej od nagich wyglądali ci, którzy mieli na sobie ubrania. Kaufman szybko zorientował się, że gnijące okrycia, w które owijali ramiona, bądź które zwisały im z bioder, były zrobione ze skóry ludzkiej. Wszyscy pchali się jeden na drugiego. Pierwsi z nich już doszli do wiszących ciał. Dotykali zwisającego mięsa, gładząc ogolone ciało z wyraźną przyjemnością. Oblizywali wargi i ślinili się, opryskując śliną wiszące mięso. Ich oczy błyszczały głodem i podnieceniem.

Nagle jeden z nich dostrzegł Kaufmana.

Przez moment kreatura obserwowała go. Badawcze spojrzenie spoczęło na Leonie z groteskowym zainteresowaniem.

--Ty -- powiedział potwór głosem tak samo zgniłym jak usta, z których się wydobywał.

Kaufman podniósł nieco tasak, obliczając szansę. W wagonie było ich ze trzydziestu i o wiele więcej na zewnątrz. Wyglądali jednak na bardzo słabych, nie mieli w ogóle broni.

Potwór znowu się odezwał. Głos tym razem miał miłą modulację, jakby jego właściciel był dobrze wychowanym, kulturalnym mężczyzną.

--Zastąpiłeś tego poprzedniego, tak? -- Stwór spojrział na ciało Mahogany'ego. Bardzo szybko potrafił się znaleźć w nowej sytuacji.

--Był już stary. -- Uważnie studiował Kaufmana wodnistymi oczyma.

--Spieprzaj -- powiedział Leon.

Maszka próbowała skrzywić usta w uśmiechu. Dawno już jednak zapomniał, jak to się robi i rezultatem był wstrętny grymas, prezentujący garnitur spiłowanych na ostro zębów.

--Musisz to teraz dla nas zrobić -- powiedział potwór, uśmiechając się szyderczo -- nie możemy żyć bez jedzenia.

Poklepał comber najbliższej wiszącego ciała. Kaufman nie wiedział co ma odpowiedzieć. Patrzył z obrzydzeniem jak palce potwora przesuwają się między pośladkami. Czuł jak stopniowo jego mięśnie naprężają się.

--Brzydzi nas to nie mniej niż ciebie -- powiedział stwór -- ale musimy jeść to mięso albo umrzemy. Mój Boże, wcale nie mam na to apetytu.

Mimo, że to coś tak mówiło, to jednak ślina ciekła mu z ust.

Kaufman odzyskał głos. Czuł się bardziej skrępowany niż przerażony.

--Czym wy jesteście? -- Przypomniawszy sobie brodacza z baru. -- Czy powstaliście w wyniku jakiegoś nieudolnego doświadczenia?

--Jesteśmy Ojcami miasta -- powiedziało monstrum -- i Matkami, Córkami i Synami. Jesteśmy budowniczymi, ustanawiamy prawo. Stworzyliśmy to miasto.

--Nowy Jork? -- bąknął Kaufman. -- Pałac Rozkoszy?

--Zanim się urodziłeś, zanim ktokolwiek się urodził.

Mówiąc, potwór gładził obnażone mięśnie wiszącego ciała. Dotykał pieszczotliwie i głaskał. Reszta zaczęła już odwiązywać ciała od uchwytów, obchodząc się z nimi w ten sam troskliwy, pieszczotliwy-sposób, głaszcząc piersi i biodra. Niektórzy zaczęli obdzierać ciała ze skóry.

--Dostarczysz nam więcej -- powiedział Ojciec -- więcej mięsa dla nas. Niektórzy z nas są słabi. Kaufman popatrzył niedowierzająco.

--Ja? -- zapytał. -- Karmić was? Za kogo mnie masz?

--Musisz to zrobić dla nas i dla starszych spośród nas. Dla tych, którzy się urodzili, zanim jeszcze myślano o mieście, kiedy Ameryka była bezludna, porośnięta puszcza.

Delikatna ręka wskazywała na zewnątrz pociągu.

Spojrzenie Kaufmana powędrowało w ciemność za wskazującym palcem. Na zewnątrz było coś, czego nie zauważył wcześniej. Coś o wiele większego niż jakikolwiek człowiek.

Grupa potworów rozstąpiła się, czyniąc Kaufmanowi przejście. Mógł teraz podejść i zobaczyć z bliska to coś, co stało na zewnątrz. Nogi odmówiły mu jednak posłuszeństwa.

--Idź -- powiedział Ojciec.

Leon pomyślał o mieście, które kochał. Czy naprawdę byli jego pomysłodawcami, projektantami i twórcami? Musiał w to wierzyć. Może na powierzchni ziemi byli ludzie -- biurokraci, politycy, rządzący, którzy znali tę straszną tajemnicę i których zadaniem było chronić te potwory i karmić je. Myśl ta obudziła w Leonie jakieś atawistyczne uczucia, do których nie przyznałby się świadomie. Nogi, wbrew jego woli, poruszyły się. Przeszedł koło wiszących ciał i wyszedł z pociągu. Pochodnie z trudnością rozjaśniały bezmierną ciemność na zewnątrz. Powietrze było aż gęste od smrodu starości. Wydawało się niemal ciałem stałym. Ale Kaufman nic nie czuł. Pochylił głowę, starając się nie zemdleć jeszcze raz.

To było tu. Przodek człowieka. Prawdziwy, pierwszy mieszkaniec Ameryki. Był tu jeszcze przed Cheyeni. Jeśli to coś miało oczy, to teraz na niego patrzyło.

Leon zatrząsnął się. Zaczęły mu szcząkać zęby. Słyszał odgłosy życia tego czegoś. Chrząst, szuranie i jęki. To coś uniosło się nieco w ciemności. Dźwięk towarzyszący ruchowi tego stworzenia wzbudził w Leonie grozę. To było zupełnie jak ruchoma góra.

Kaufman podniósł wzrok i zanim mógł sobie zdać sprawę z tego co robi, klęknął w gnoju otaczającym Ojca Ojców.

Każdy dzień życia zbliżał go do tego momentu, przyspieszał nadejście tej niespodziewanej chwili uświęcenia i strachu.

Nie był pewien, czy w tej ciemnicy było dosyć światła, aby zobaczyć całego potwora. Niemniej to, co zobaczył, wstrząsnęło nim do głębi. Serce gwałtownie zatrzepotało w piersi. To był gigant. Nie miał głowy, ani kończyn. Żadnego podobieństwa do człowieka, żadnego organu zmysłu lub zmysłów. Jeżeli to w ogóle coś przypominało, to może ewentualnie ławicę ryb. Tysiące paszcz, podnoszących się i opadających, otwierających i zamykających się rytmicznie. Czasem to coś mieniło się jak perła, a czasami przybierało kolor, którego Kaufman nigdy nie widział i nie potrafił nazwać.

Nic więcej nie mógł zobaczyć, zresztą to co widział i tak przekraczało jego wytrzymałość. Coś migotało i trzepotało się także poza oświetlonym obszarem.

Nie mógł dłużej na to patrzeć. Odwrócił się. W tym samym momencie z pociągu wyleciała piłka futbolowa i potoczyła się w kierunku Ojca. Leonowi wydawało się, że to piłka, jednak gdy bliżej się przyjrzał, stwierdził, że jest to głowa Rzeźnika. Skóra na twarzy zdarta pasek po

pasku. Ociekająca krwią głowa leżała przed władcą. Kaufman odwrócił wzrok i skierował się z powrotem do pociągu. Wszystko w nim szlochało, mimo że jego oczy pozostały suche. Były zbyt zaszokowane tym, co zobaczyły, aby płakać.

Wewnątrz potwory już zaczęły swą kolację. Jedna z nich wylupiła oko jednemu z wiszących, kobiecych ciał. Inny obgryzał rękę. U stóp Kaufmana leżało bezgłowe ciało Rzeźnika z obficie krwawiącą szyją.

Potwór, z którym wcześniej rozmawiał, stanął przed Kaufmanem.

--Będiesz nam służył? -- zapytał łagodnie.

Kaufman popatrzył na tasak -- symbol profesji Rzeźnika. Potwory wychodziły z wagonu, wlokąc za sobą na pół zjedzone ciała. Zabierały pochodnie. Do wagonu wracała ciemność. Zanim jednak zapadła zupełnie, pytający go Ojciec dopadł Leona, złapał jego twarz, obrócił i pokazał Kaufmanowi jego odbicie w brudnej szybie. Otumaniony Kaufman zrozumiał, że bardzo się zmienił: był bledszy niż kiedykolwiek, pokryty krwią i brudem.

Ręka Ojca nadal ścisnęła twarz Kaufmana. Potwór wepchnął Leonowi palec wskazujący do gardła, drapiąc paznokciem wewnątrz przelyku. Kaufman nie miał siły ani ochoty się bronić.

--Służ -- powiedział potwór.

Kaufman za późno zorientował się, jaki jest zamiar Ojca.

Palce potwora mocno uchwyciły język Leona i wyrwały go. Kaufman w szoku upuścił tasak. Próbował krzyczeć, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Krew zalała mu gardło, ciało drżało konwulsyjnie. Potwór wyjął zakrwawioną i oślinioną rękę z ust Leona. Podniósł ją do twarzy Kaufmana. Między kciukiem, a palcem wskazującym trzymał język.

Kaufman stał się niemową.

--Służ -- powiedział Ojciec i wetknął wyrwany język sobie do ust, żując go z wyraźną satysfakcją. Kaufman upadł na kolana i wymiotował.

Ojciec zniknął w ciemnościach. Reszta potworów także odeszła, kryjąc się w swych norach do następnej nocy.

Trzasnął głośnik.

--Do domu -- powiedział maszynista.

Drzwi syknęły i zamknęły się. Pociąg zadrżał, budząc się do życia. Światła zapaliły się, zgasły, potem znowu się zapaliły.

Ruszyli.

Kaufman leżał na podłodze. Łzy spływały mu po twarzy. Były to łzy porażki i rezygnacji. Postanowił, że wykrwawi się na śmierć. Nieważne, że umrze. Świat jest plugawy.

Maszynista obudził go. Leon otworzył oczy. Maszynista był Murzynem. Uśmiechnął się przyjaźnie. Kaufman próbował coś powiedzieć, ale usta sklejała zakrzepła krew. Potrząsnął głową, starając się coś powiedzieć, jednak tylko zacharczał.

Nie umarł. Nie wykrwawił się na śmierć.

Maszynista pomógł mu uklęknąć, przemawiając jak do dziecka.

--Masz zadanie do wykonania, mój chłopcze, bardzo im się spodobałeś.

Murzyn polizał palec i zwilżył napuchnięte wargi Leona, próbując rozerwać zakrzepłą, sklejącą je krew.

--Do następnej nocy musisz się wiele nauczyć. Wiele się nauczyć. Nauczyć się wiele.

Maszynista wyprowadził Kaufmana z pociągu. Leon nie znalazł stacji, na której się

zatrzymali. Była to stara stacja wyłożona białymi kafelkami. Żadne napisy nie szpeciły ścian. Nie było na niej okienek kasowych ani przejść dla pasażerów. Nie było również pasażerów. Ta linia obsługiwała tylko Nocny Pociąg z Mięsem. Ranna zmiana sprzątaczy zmyła krew z siedzeń i podłogi wagonu. Ktoś rozbierał ciało Rzeźnika, przygotowując je do wysłania do New Jersey. Wszyscy dookoła Kaufmana szybko się uwijali. Światło wschodzącego słońca wpadało przez lufcik w dachu stacji. Dookoła metalowego szkieletu, tworzącego konstrukcję stacji, wirowały kłęby kurzu. Kaufman obserwował je. Nie widział nic tak pięknego od czasu, kiedy był dzieckiem. Wspaniałe kłęby kurzu. Wirowały i wirowały, i wirowały.

Maszyniście udało się wreszcie rozdzielić wargi Leona. Za bardzo bolała go twarz, żeby mógł poruszać wargami, ale mógł teraz chociaż oddychać swobodnie. Zresztą ból zaczął także jakby przechodzić. Maszynista uśmiechnął się do niego, po czym odwrócił się do reszty ludzi pracujących na stacji.

--Chciałbym wam przedstawić następcę Mahogany'ego -naszego nowego rzeźnika -- powiedział.

Robotnicy spojrzeli na Kaufmana z wyraźnym szacunkiem. Sprawilo mu to przyjemność.

Kaufman znów popatrzył na wpadające światło słońca, które oświetlało go teraz. Potrząsnął głową. Chciał wyjść na górę, na świeże powietrze. Maszynista przytaknął i poprowadził go do stromych schodów wychodzących na wąską uliczkę, która dochodziła do większej.

Dzień był wyjątkowo piękny. Gdzieś na błękitnym niebie sunęły delikatne pasemka białoróżowych chmur. Powietrze pachniało porankiem. Ulice i aleje były właściwie puste. Od czasu do czasu przejechała taksówka, lub minął go spocony biegacz. Niedługo te ulice zapełnią się ludźmi. Miasto zajmie się swoimi sprawami nieświadome tego, co kryje się pod jego powierzchnią i komu zawdzięcza swe istnienie. Bez wahania Kaufman upadł na kolana i zakrwawionymi wargami pocałował brudny beton, przysięgając wierność na wieki.

Pałac Rozkoszy przyjął hold bez słowa.

YATTERING I JACK

Dlaczego ci, którzy rządzą /a mogą jeszcze rządzić długo i wielu osobom bruździć/ wysłali go z piekła, aby obstawiał Jacka Polo? Yattering nie mógł tego pojąć. Zawsze, kiedy przechodził okresowe testy przed swym władcą, zadawał pytanie: "Co właściwie tutaj robię?". Szef odpowiadał, że to nie jest sprawa Yatteringa. Ma wykonać zadanie lub zginąć, próbując to zrobić. Po sześciu miesiącach ścigania Polo, Yattering stwierdził, że śmierć nie byłaby najgorszym wyjściem. Nie kończąca się gra w chowanego nie bawiła nikogo, a Yatteringa doprowadzała do ogromnej frustracji. Obawiał się wrzodów i psychosomatycznego trądu /pogarszała mu się kondycja/. Najbardziej jednak obawiał się, że straci panowanie nad sobą i w odruchu wściekłości zabije faceta natychmiast. Kim był Jack Polo?

To importer korniszonów; na jaja Leviticusa, był po prostu importem korniszonów. Jego życie wlokło się ospale, jego rodzina była nudna, politycy prostoduszni, a życie duchowe nie istniało. Był to szary człowiek, niczym przez naturę nie wyróżniony -- po co zawracać sobie nim głowę? Nie był to Faust. Nie można było z nim podpisać cyrografu, nie chciał sprzedać duszy. Nie zainteresowałby się nawet tą transakcją. Powąchałby, wzruszyłby ramionami i powrócił do swojego handlu ogórkami.

Yattering musiał przez wszystkie te dłużeńce się noce i jeszcze dłuższe dni pracować nad swym podopiecznym. Musiał go doprowadzić do obłędu. Wyglądało na to, że praca będzie długa, jeżeli nie nieskończona. Tak, były momenty, że nawet trąd psychosomatyczny /gdyby dali mu zwolnienie/ wydawał się lepszy od tej głupiej misji.

Jak dotąd Jack J. Polo był najbardziej nieświadomym z ludzi. Jego droga życiowa była dowodem jego naiwności. Jego ciągle lamentująca żona notorycznie go zdradzała. W dwóch przypadkach Jack był w domu i oglądał telewizję. Był ostatnią osobą, która się dowiedziała o jej wyskokach. A robiła to przecież, specjalnie się nie kryjąc. Ślepy, głuchy, niemy facet domyśliłby się czegoś. Ale nie Jack. Miał świra na punkcie nudnego interesu, który prowadził i nigdy nie zwrócił uwagi na unoszący się w jego domu zapach męskiej wody kolońskiej. Nie odnotował również szczególnej regularności, z jaką jego żona zmieniała pościel. Nie wykazał specjalnego zainteresowania, gdy młodsza córka Amanda wyznała mu, że jest lesbijką. Spojrzał na nią z nieodgadniętą miną.

--Cóż, żebyś tylko nie zaszła w ciążę -- powiedział, wychodząc do ogrodu, beztroski jak zawsze.

No i co można zrobić z takim człowiekiem?

Yattering próbował uczynić jakiś wyłom w psychice Jacka, ale jego psychika była prosta i nie miała żadnych rys, żadnego punktu zaczepienia. Jego obojętność czyniła go całkowicie odpornym na wszelkie tego typu ataki. Wydawało się, że wszystkie nieszczęścia jakie go w życiu spotkały, nie zostawiły w jego psychice żadnych śladów. Nawet wtedy, gdy dowiedział się o zdradach żony /złapał ją z kochankiem w wannie, gdy się pieprzyli/, nie potrafił odczuć upokorzenia ani bólu.

--To się zdarza -- powiedział do siebie, wychodząc z łazienki. Zamierzał pozwolić im skończyć to, co zaczęli.

--Che sera, sera.

Che sera, sera. Tak, facet nucił ten kawałek z monotonną regularnością. Był chyba swego rodzaju fatalistą. Pozwalał życiu atakować jego męskość, ambicję i godność. Wszystkie te

ataki spływały po nim tak, jak krople deszczu spływały z jego lysej czaszki.

Yattering słyszał, jak żona wyznaje Polowi wszystko /stwór wisiał do góry nogami na żyrandolu, jak zawsze niewidzialny/. Scena ta przyprawiła go o mdłości. Oto grzesznica, niemal błagająca o karę, wrzeszcząca, waląca głową w mur, a on zamiast powiedzieć, że jej nienawidzi, tylko wzruszył ramionami i pozwolił wywnętrzyć się jej do końca. Odeszła wreszcie, bardziej z poczuciem zawodu i smutku niż winy. Yattering słyszał, jak mówiła do lustra w łazience, że brak słusznego gniewu męża jest dla niej obraźliwy. W kilka godzin później wyskoczyła z balkonu w kinie Roxy.

Jej samobójstwo było z pewnych względów wygodne. Żona Jacka była martwa, jego córki odeszły, Yattering mógł więc planować swobodniej swe sztuczki, osłabiając ofiarę. Mógł atakować bez obawy, że osoby nie wyznaczone przez władców zostaną wmieszane w sprawę. Jednak pustka, jaka zapanowała w domu w czasie dnia /kiedy Jack był w pracy/, wkrótce stała się dla Yatteringa nieznośna. Godziny od dziewiątej do piątej wydawały się nie mieć końca. Włóczył się w złym humorze od pokoju do pokoju, planując różne dziwne wyglupy i niepraktyczne zagrywki. Towarzyszyły mu tylko dźwięki włączania i wyłączania lodówki albo trzaski stygnącego kaloryfera. Wkrótce sytuacja stała się tak beznadziejna, że poczta dostarczana w środku dnia stała się dla niego najciekawszą rozrywką. Gdy okazywało się, że listonosz nie ma nic do doręczenia i przechodzi obok do następnego domu, Yattering popadał w wielką melancholię.

Kiedy wracał Jack, gry zaczynały się na poważnie. Zwykła rutyna. Kilka numerów na rozgrzewkę. Najpierw powodował, że klucz Jacka nie chciał obrócić się w zamku. Walka trwała minutę lub dwie, aż Jack znajdował metodę na Yatteringa i wygrywał. Wewnątrz Yattering zaczynał kołysać abażurami lamp. Jack z reguły ignorował to przedstawienie bez względu na jego intensywność. Można było jeszcze mrużyć: "Wspomóż!!!" na tle nieśmiertelnego "Che sera, sera" Jacka.

W łazience Yattering wyciskał pastę do zębów na deskę klozetową i zatykał prysznic rozmoczonym papierem toaletowym. Mógłby nawet brać prysznic razem z Jackiem i wisząc na szynie, po której przesuwiała się zasłona, szeptać do jego ucha różne obsceniczności. To zawsze było skuteczne, nauczono go tego w Akademii. Obsceniczności szeptane do ucha nigdy nie zawodziły. Klienci sądzili, że są to ich własne złe myśli. Zaczynali czuć obrzydzenie do samych siebie, odrzucali własne ego. Doprowadzało to ich wkrótce do szaleństwa. Czasami zdarzało się, że ofiary były tak podniecone szeptanymi sugestiami, że wychodziły na ulicę i według nich postępowały. Często przy tym do sprawy mieszała się policja i delikwenci trafiali do więzienia. Więzienie, jak wiadomo, prowadzi do dalszych zbrodni. Ludzie tracili tam zasady moralne i zwycięstwo było zapewnione. Tak czy inaczej ofiary były doprowadzone do szaleństwa.

Nie wiadomo dlaczego, ale te reguły nie odnosiły się do Jacka Polo. Był niewzruszony. Był niewzruszoną wieżą.

Faktycznie, na razie wszystko wskazywało na to, że tym, który się załamie, będzie Yattering. Był zmęczony, bardzo zmęczony. Osłabiały go nie kończące się dni, spędzone na dręczeniu ofiary, czytaniu głupot z wczorajszej gazety i obserwowaniu bezskuteczności swoich zabiegów.

W końcu z nudów Yattering poczuł chęć spotkania kobiety z przeciwka. Była to młoda wdowa. Wyglądało na to, że większość życia spędza, paradując po domu kompletnie nago.

Bywały chwile, gdy wręcz nie można było tego znieść. Ale czasami pocziarz nie dzwonił i pozostawała mu tylko obserwacja nagiej sąsiadki. Wiedział, że nigdy nie będzie mógł przekroczyć ulicy.

Zabraniało mu tego Prawo. Yattering był demonem klasy średniej i jego zadaniem było łapanie dusz. Miejsce pobytu Yatteringa ograniczało się do domu ofiary. Przekroczenie tej granicy oznaczało nieposłuszeństwo wobec władzy. Oznaczało to poddanie się osądowi ludzkiemu.

Cały czerwiec, lipiec i większość sierpnia demon spędził, počąc się w swym więzieniu. Przez ten czas Jack Polo kompletnie ignorował ataki Yatteringa. Było to bardzo przygnębiające i, co gorsza, powodowało, że Yattering stopniowo tracił pewność siebie. Jego ofiara bez problemu wytrzymywała wszystkie tricki i próby ataku podejmowane przez demona.

Yattering płakał.

Yattering wrzeszczał.

W odruchu niekontrolowanego gniewu, demon zagotował wodę w akwarium wraz z rybkami.

Polo nic nie słyszał. Nic nie widział.

W końcu września Yattering złamał jedną z obowiązujących go reguł i odwołał się wprost do swych zwierzchników.

Jesień jest miłą porą roku dla Piekła i dlatego demony na wyższych stanowiskach są bardziej życzliwe. Były na tyle łaskawe, że wysłuchały Yatteringa.

--Czego chcesz? -- zapytał Belzebub. Od jego głosu pociemniało wokół powietrze.

--Ten człowiek... -- zaczął nerwowo Yattering.

--Tak?

--Ten Polo...

--Tak?

--Nic nie potrafiłem z nim osiągnąć. Nie mogę go przerazić, nie mogę wywołać w nim strachu, on nie interesuje się w ogóle moją działalnością. Nie jestem w stanie nic osiągnąć, o Panie Much, dlatego prosiłbym, aby zabrano mi tę misję.

Twarz Belzebuba wypełniła całe lustro, za którego pośrednictwem rozmawiali.

--Czego byś chciał?

Belzebub był teraz na pół słoniem, na pół osą. Yattering bał się.

--Ja... chciałbym umrzeć.

--Nie możesz umrzeć.

--Odejść z tego świata. Po prostu umrzeć w tym świecie. Chciałbym zostać przeniesiony.

--Nie umrzesz.

--Ale ja nie potrafię go złamać! -- zapiszczał Yattering płacząc.

--Musisz!

--Dlaczego?

--Dlatego, że tak ci kazaliśmy. -- Belzebub używał zawsze królewskiego "my" mimo, że nie miał prawa tak czynić.

--Proszę, powiedz mi chociaż, dlaczego zostałem wysłany do tego domu -- prosił Yattering.

-- Kim on jest?! Nikim! Jest nikim!

Spodobało się to Belzebubowi. Zaczaj się śmiać, brzęczeć i trąbić.

--Jack Jahnson Polo jest dzieckiem wyznawczyni Kościoła Straconego Zbawienia. Należy do nas.

--Ale po co jest wam potrzebny? Jest przecież taki nudny.

--Chcemy go, ponieważ przyobiecano nam jego duszę, a jego matka jej nie dostarczyła. Oszukała nas. Umarła w ramionach księdza, a jej dusza została bezpiecznie odstawiona do... Następne słowo było przekłete. Władca Much z trudnością zmusił się do wymówienia go.

--... Nieba -- powiedział Belzebub z wielkim żalem w głosie.

--Nieba -- powiedział Yattering, niezupełnie wiedząc, co znaczy to słowo.

--Polowanie na Jacka Polo zostało rozpoczęte w imieniu Starca i musi on zostać ukarany za zbrodnię swej matki. Żadna kara nie jest zbyt sroga dla rodziny, która nas zdradziła.

--Jestem zmęczony -- bronił się demon śmiało, zbliżając się do lustra. -- Proszę. Błagam!

--Zdobądź tego człowieka -- odrzekł Belzebub -- albo będziesz cierpieć zamiast niego.

Postać w lustrze zaczęła falować i rozplywać się.

--Gdzie twoja duma, Yattering? -- głos słabł i oddalał się. -- Duma, Yattering, duma.

Głos ucichł.

Zawiedziony Yattering złapał kota i cisnął go w ogień. Kot spalił się momentalnie. "Gdyby tylko prawo dopuszczało podobne okrucieństwo względem ludzkiego ciała" -- pomyślał. Gdyby tylko, gdyby tylko. Poznęłaby się wtedy nad Jackiem "tfochę". Ale nie. Yattering znalazł prawo tak dokładnie, jak swoje pięć palców. Wbijali im je do głowy nauczyciele w Akademii. Prawo Pierwsze głosiło:

"Nie będziesz swych ofiar krzywdził".

Nigdy mu nie powiedziano, dlaczego to prawo istnieje. Istniało jednak i musiał go przestrzegać.

"Nigdy nie będziesz..."

Cała bolesna operacja trwała dalej. Dzień po dniu. Ofiara nadal nie interesowała się zabiegami demona. W ciągu dwóch następnych tygodni Yattering zabił kolejne dwa koty, które Polo przynosił na miejsce Freddy'ego /który był teraz popiołem/.

Pierwszy z przyniesionych kotów został utopiony w muszli klozetowej pewnego leniwego piątkowego popołudnia. To była wielka radość -- patrzeć na zmartwienie malujące się na twarzy Jacka. Jednak całą przyjemność niweczyło jego zachowanie. Fatalistycznie pogodził się ze śmiercią kota. Spokojnie wyniósł z łazienki ociekający wodą tłumok, owinał go w ręcznik i pogrzebał w ogrodzie, mruczając coś cicho pod nosem.

Drugi z kotów przyniesionych przez Jacka wyczuwał niewidzialną obecność demona. Drugi tydzień listopada był interesujący. Yattering odzyskał chęć życia, bawiąc się z Freddyem Trzecim w kotka i myszkę. Freddy był myszką. Wprawdzie koty nie są zbyt bystrzymi stworzeniami, ale na szczęście zabawa nie wymagała wielkiej inteligencji. Gra jednak stanowiła dla Yatteringa pewną odmianę w ciągu tych niekończących się dni oczekiwania, włóczenia się i przegrywania. W końcu stworzenie zaakceptowało obecność Yatteringa. Niestety, pewnego dnia, pod wpływem złego nastroju /spowodowanego ponownym ożenkiem nagiej wdowy/ demon stracił do kota cierpliwość. Zwierzę ostrzyło pazury o syntetyczny dywan, drapiąc i skrobiąc bez końca. Hałas powodował, że demon zgrzytał swymi metafizycznymi zębami. Spojrzał krótko na kota, po czym ten wybuchł, jakby był żyjącym granatem. Efekt był niezły. Rezultaty świetne. Mózg koci, kocie futro, kocie jelita były

wszędzie.

Polo wrócił tego dnia wyczerpany. Stał w drzwiach jadalni i zbladł, gdy zobaczył rzeźnię, która była Freddy'ego III.

--Cholerne psy -- powiedział. -- Cholerne, cholerne psy.

W jego głosie był gniew. "Tak -- uradował się Yattering. Gniew". Facet był zły, na jego twarzy wyraźnie było to widać.

Podniecony demon jak rakieta przeleciał przez dom, zdecydowany wykorzystać swe zwycięstwo: trząskając drzwiami, rozbijał wazy, kołysał abażurami.

Polo spokojnie zbierał to, co zostało z kota...

Demon zleciał na parter, drąc poduszkę. Wyglądało to tak jakby poduszka ożyła i atakowała chichocząc. Polo pochował Freddy'ego III obok grobu Freddy'ego II i prochów Freddy'ego I. Potem położył się do łóżka, nie zwracając uwagi na brak poduszki.

Yattering był kompletnie załamany. Jeżeli ten człowiek okazuje tylko cień gniewu, gdy znajduje swego kota rozerwanego na strzępy w jadalni, to jaka jest szansa złamania go?

Została jedna możliwość.

Zbliżało się Boże Narodzenie i dzieci Jacka na pewno do niego przyjadą. Może mogłyby go przekonać, że nie wszystko jest w domu w porządku. Może one pomogą Yatteringowi złamać Jacka? Pocieszając się tą myślą, demon czekał do końca grudnia, planując ataki z wykorzystaniem całej złośliwości, jaka mu jeszcze została.

Tymczasem życie Jacka płynęło spokojnie i powoli. Wyglądało to wszystko tak, jakby Jack żył nieco poza otaczającym go światem. Żył jak bohater absurdalnego opowiadania, który nigdy zbyt głęboko nie angażuje się w zdarzenia. Chociaż kilka razy można było zauważyć radość, jaką odczuwał z powodu nadchodzących świąt. Dokładnie posprzątał pokoje córek. Położył im na łóżkach świeżo i słodko pachnącą pościel. Wyczyścił dywan ze wszystkich plam krwi, pozostałych po kocie. Ustawił także choinkę w pokoju, obwiesiwszy ją opalizującymi bombkami, świecadelkami i prezentami.

Nie ustając w przygotowaniach, Jack pomyślał o czekającej go nierównej rozgrywce. Rozważył swoje szansę. Nadchodzące dni z pewnością nie będą łatwe dla niego ani dla córek. Jednak zawsze kiedy się nad tym zastanawiał, uważał, że warto zaryzykować. Spokojnie więc przygotowywał się do nadchodzących dni. Czekal.

Spadł śnieg. Przykleił się do szyb i zasypał drzwi. Dom odwiedziły dzieci, śpiewające kolędy. Jack hojnie je obdarował. Przez krótką chwilę można było uwierzyć, że świat jest spokojny i pełen miłości.

Późnym wieczorem 23 grudnia przyjechały córki Jacka i gorąco przywitały się z nim. Pierwsza przyjechała młodsza, Amanda. Nie wyglądało na to, że będzie bardzo pomocna w złamaniu Jacka. Tak naprawdę, to wyglądała na niebezpieczną.

Gina przyjechała w godzinę czy dwie później. Delikatna, dobrze wychowana dwudziestoczterolatka, onieśmieliała dokładnie tak samo jak jej siostra. Wypełniły dom krzątaniną i śmiechem. Poprzestawiały meble, wyrzuciły z lodówki stare jedzenie. Bez przerwy mówiły sobie /i ojcu/, jak bardzo do siebie i niego tęskniły. W kilka godzin monotony i szary dotąd dom wypełniły jasnością, zabawą i miłością.

Powodowało to u Yatteringa mdłości. Demon jęcząc schował głowę pod poduszkę, aby odciąć się od odgłosów przywiązania i miłości, ale fale tych uczuć i tak do niego dochodziły.

Jedyne co mógł zrobić to sięgnąć, słuchać i planować zemstę.

Jack był zachwycony odwiedzinami córek. Amanda, tryskająca pomysłami, silna, była zupełnie jak jej matka. Giną bardziej przypominała Jackowi jego matkę: była rozważna i rozsądna. Tak cieszył się z ich obecności, że omal nie płakał z radości. Był ojcem dumnym ze swoich córek. Czy mógł je narażać na jakiekolwiek ryzyko? Co jednak mógł zrobić? Gdyby powiedział im, żeby nie przyjeżdżały na Boże Narodzenie, nabrałyby podejrzeń. Fakt, że ich przyjazd mógł załamać jego strategię i pobudzić wroga do działania.

Nie, musi być silny. Będzie zachowywał się tak jak spodziewa się przeciwnik.

O 3.15 nad ranem Yattering rozpoczął działania wojenne, wyrzucając Amandę z łóżka. Efekt był gorszy niż za najlepszych czasów Yatteringa, ale zrobił dostateczne wrażenie. Dziewczyna sennie pocierała guza, którego sobie nabila i weszła z powrotem do łóżka, po to tylko, aby być z niego ponownie wykopniętą.

Hałas obudził resztę domowników. Giną pojawiła się pierwsza.

--Co się dzieje?

--Ktoś jest pod łóżkiem.

--Co?

Giną uniosła prześcieradło i kazała intruzowi się wynieść. Yattering, niewidzialny, siedział na parapecie i robił nieprzyzwoite miny, wiążąc jednocześnie supelki na swych genitaliach.

Giną zajrzała pod łóżko. Yattering siedział na żyrandolu. Rozkołysał go na boki. Wydawało mu się, że pokój wiruje.

--Nic tam nie ma.

--Jest.

Amanda wiedziała, o tak, ona wiedziała.

--Coś tam jest, Gino -- powiedziała. -- Coś jest z nami w pokoju. Jestem pewna.

--Nie -- powiedziała Giną stanowczo. -- Nikogo nie ma. Amanda zaglądała pod szafę, gdy wszedł Polo.

--Co to za hałasy?

--Coś jest w domu, tatusiu. Wyrzuciło mnie z łóżka.

Jack spojrział na zmiętą pościel, rozbebeszony materac, a potem na Amandę. Pierwsza próba. Musi kłamać tak wiarygodnie, jak to tylko możliwe.

--Wygląda na to, że śnił ci się jakiś koszmar, kochanie -- powiedział, uśmiechając się niewinnie.

--Coś było pod łóżkiem -- upierała się Amanda.

--Nikogo tu nie ma.

--Ale ja to czułam.

--Cóż, sprawdzę resztę domu -- powiedział bez entuzjazmu. -- Zostańcie tu na wszelki wypadek.

Kiedy Polo wyszedł, demon jeszcze bardziej rozhuśtał żyrandol.

--Załamujące -- powiedziała Giną.

Na dole było zimno. Mimo, że Jack stąpał po kafelkach, niemilosiernie ziębiących nagie stopy, był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Obawiał się nieco, że demon użyje swej mocy w o wiele bardziej brutalny sposób. Jednak tak się nie stało. Jack, mimo wszystko, właściwie ocenił sposób postępowania Yatteringa. Na razie demon użył jednego ze spokojniejszych

forteli. Zademontrował swą moc delikatnie, a mógł przecież zagrać o wiele ostrzej.

"Bądź ostrożny -- powiedział sobie Jack -- bądź ostrożny!"

Zmęczonym krokiem krążył po domu, delikatnie otwierając szafy i zaglądnąjąc za meble. Potem wrócił do córek siedzących na szczycie schodów. Amanda była blada i przestraszona. Znow była dzieckiem, a nie dwudziestoczteroletnią kobietą.

--Nic się nie dzieje -- rzekł do niej z uśmiechem.

--Mamy Wigilię rano i wszystko w domu... Giną dokończyła.

--Nic się nie rusza, nawet mysz.

--Nawet mysz, kochanie.

W tym samym momencie Yattering zrzucił ogonem wazę z kominka. Nawet Jack podskoczył.

--Cholera -- powiedział. Wygląda na to, że demon nie zamierza ich zostawić w spokoju.

--Cne sera, sera -- zanucił Jack, zbierając kawałki potłuczonej chińskiej wazy i kładąc je na kawałku papieru.

--Dom nieco się zapada po lewej stronie -- powiedział głośniej -- to trwa już od lat.

--To nie mogło mnie wyrzucić z łóżka -- zaoponowała Amanda z przekonaniem.

Giną milczała. Możliwości były ograniczone. Alternatywa nie była zachęcająca.

--Cóż, może to był św. Mikołaj -- powiedział Polo z pozorną beztroską. Zawinął resztki wazonu w papier i powlókł się do kuchni, zdając sobie sprawę, że jest obserwowany. -- Cóż innego mogłoby to być? -- zapytał przez ramię, upychając gazetę do kosza na śmieci. -- Jedynym innym wyjaśnieniem jest... -- urwał w pół słowa, uświadomiwszy sobie jak blisko jest prawdy. -- Jedyne inne wyjaśnienie jest zbyt absurdalne, aby je brać pod uwagę.

To czysta ironia -- negować istnienie niewidzialnego świata, wiedząc, że demon mściwie dyszy nad twą głową.

--Masz na myśli duchy? -- zapytała Giną.

--Mam na myśli to wszystko, co wali i chrobocze po nocach. Jesteśmy jednak dorośli, prawda? Nie wierzymy przecież w Babę Jagę.

--Nie- odparła Giną stanowczo. -- Nie wierzymy, ja nie wierzę jednak także, że dom się zapada.

--Cóż, chyba już wystarczy -- nonszalancko zakończył Jack -- nie mamy przecież zamiaru stracić Bożego Narodzenia, rozmawiając o chochlikach.

Roześmiali się.

Chochliki. To niezły pomysł wezwać to piekielne nasienie. Yattering, zniechęcony j załamany, ronił kwaśne łzy na swe niewidzialne policzki. Zaciśnął zęby. Najwyższy czas już zetrzeć ten uśmiech niedowierzania z tłustawej twarzy Jacka. Czas minął. Żadnych półśrodków. Koniec z delikatnością. Czas na frontalny atak.

Niech poleje się krew. Niech będą męczarnie.

Złamie ich wszystkich.

Amanda była w kuchni i przygotowywała obiad, gdy Yattering szykował się do drugiego ataku. W całym domu brzmiała kolęda "W Betlejem, nie bardzo podłym mieście...", śpiewana przez Chór Królewskiego College'u. Obejrzano już prezenty, w domu panowała szczęśliwa atmosfera świąt.

Nagle zimno wypełniło kuchnię. Amanda zadrżała. Podeszła do lekko uchylonego okna i

zamknęła je. Może coś wyczuła. Yattering patrzył na jej krzątaninę. Amanda wyraźnie cieszyła się świąteczną atmosferą. Wyczuła jego spojrzenie. Obejrzała się. Nic. Powróciła do płukania brukselki. Cięła ją na małe kawalki, po czym płukała.

Chór śpiewał.

Jack i Giną śmiali się z czegoś w korytarzu.

Nagle jakiś dziwny dźwięk zakłócił spokój. Najpierw było to grzechotanie, a później jakby pukanie do drzwi. Amanda upuściła nóż do miski z brukselką i rozejrzała się. Hałas się nasilał. Zupełnie jakby ktoś był zamknięty w szafie i za wszelką cenę starał się z niej wydostać. Tak jakby kot był zamknięty w pudełku, lub... Ptak.

Dźwięk dochodził z piekarnika.

Amanda zacisnęła zęby, gdy wyobraziła sobie, co to może być. Czyżby zamknęła jakieś zwierzę w piekarniku, gdy wkładała tam indyka? Zawołała ojca. Złapała ściereczkę i podeszła do piekarnika. Cała kuchenka trzęsła się od gwałtownych ruchów więźnia. Wyobraziła sobie na wpół upieczonego kota ze spalonym futrem, który skacze na nią po otwarciu kuchenki.

W drzwiach kuchni stanął Jack.

--Coś jest w piekarniku -- powiedziała do niego, jakby informacja była konieczna. Kuchenka trzęsła się, jej zawartość waliła w drzwiczki.

Jack wziął ściereczkę od Amandy. "To coś nowego -- pomyślał. -- Jesteś lepszy, niż myślałem. To całkiem chytne i oryginalne".

Giną weszła do kuchni.

--Co się piecze? -- zażartowała.

Dowcip jednak nie wypalił, bo kuchenka zaczęła tańczyć po całej kuchni. Stożące na niej garnki pospadały na podłogę. Gorąca woda oblała nogę Jacka, który wrzasnął i cofając się wpadł na Ginę. Potem rzucił się w kierunku kuchenki z rykiem, którego nie powstydzilby się samuraj. Uchwyt na drzwiczkach był śliski od gorącego tłuszczu, ale Jack złapał go i otworzył piekarnik. Chmury pary pachnącej pieczonym indykiem i fala gorąca zalały kuchnię. Ptak w piekarniku najwyraźniej nie miał zamiaru zostać zjedzony. Rzucił się od ścianki do ścianki, parząc się i przyskając na wszystkie strony sosem. Kruche, brązowe skrzydła żałośnie trzepotały, lapy waliły w obudowę piekarnika. Nagle ptak dostrzegł, że kuchenka została otwarta. Napiął skrzydła i na pół wypchnął, na pół wyrzucił swój nadziewany tułów z kuchenki. Ten ruch był groteskową parodią życia. Bezgłowy, z wypadającym nadzieniem i kawalkami cebuli, indyk rzucał się po podłodze. Nikt, za diabła, nie wiedział, czy ta tryskająca gorącym tłuszczem rzecz jest żywa.

Amanda krzyknęła.

Jack rzucił się do drzwi, gdy ptak niezdarnie wzbił się w powietrze, ślepy lecz dyszący zemstą. Co ta rzecz zamierzała zrobić ze swymi ofiarami -- pozostawało tajemnicą. Giną pociągnęła Amandę do hallu i zatrzasnęła drzwi do kuchni, w chwili, gdy ślepy ptak walnął w nie z całej siły. Ciemny tłuszcz przyskał przez szparę pod drzwiami.

Drzwi nie miały zamka, jednak Jack uważał, że ptak nie potrafi przekręcić galki. Gdy się odwrócił, przeklął swą pewność. Przeciwnik wziął się ostrzej do roboty, niż Polo mógł przypuszczać.

Amanda bezsilnie opierała się o ścianę i szlochała. Twarz miała brudno, spryskaną tłuszczem z indyka. Jedyne do czego była zdolna, to kręcenie głową i powtarzanie słowa "nie",

jakby ono mogło ją ochronić przed koszmarem w kuchni. Jack wyprowadził ją do salonu.

Z radia płynęły kolędy, które zagłuszały hałas dochodzący z kuchni, ale pełne miłości i pokoju słowa kolędy nie były w stanie zmienić atmosfery panującej w domu.

Gina nalala siostrze czystej brandy i siadła obok niej na sofie, starając się ją uspokoić. Nie odniosło to jednak wielkiego skutku.

--Co to było? -- zapytała ojca tonem domagającym się natychmiastowej odpowiedzi.

--Nie wiem, co to było -- odpowiedział Jack.

--Masowa histeria? -- dopytywała się. Ojciec coś przed nimi ukrywał. Wiedział, co się dzieje w domu, ale nie chciał im tego zdradzić z sobie tylko wiadomych powodów.

--Kogo powinnam wezwać -- policję czy egzorcystę?

--Nikogo.

--Na Boga...

--Nic się nie dzieje, Gina. Naprawdę.

Ojciec odwrócił wzrok od okna i spojrzał za nią. Oczy powiedziały jej to, czego nie chciały powiedzieć usta. W domu trwała wojna.

Jack się bał. Dom wydał mu się nagle więzieniem. Gra z demonem mogła być zgubna. Wróg, zamiast stosować swe Zwykle wygłupy, zamierzał wyrządzić im krzywdę.

W kuchni indyk wreszcie się poddał. W radiu kolędy zostały zastąpione przez kazanie i błogosławieństwo.

Coś, co z początku było zabawne, stało się teraz poważne i groźne. Spojrzał na Amandę i Ginę. Obie drżały. Polo zapragnął wszystko im powiedzieć, wytłumaczyć. Jednak demon na pewno ich obserwował i słuchał.

Mylił się. Yattering odpoczywał na strychu, zadowolony ze swych dokonań. Ptak był genialnym posunięciem. Mógł teraz odpocząć chwilę. Odzyskać siły. Pozwólmy przeciwnikowi denerwować się i pozwólmy mu oczekiwać. Potem w wybranym momencie demon wykona swe coup de grace. Leniwie zastanawiał się, czy jakiś inspektor widział jego numer z indykiem. Może byliby pod wrażeniem oryginalności Yatteringa i dali mu awans? Przecież nie szkolono go przez tyle lat po to tylko, aby polował wyłącznie na takich półgłówków jak Polo. Na pewno czeka na niego coś bardziej ekscytującego. W swych niewidzialnych kościach czuł zwycięstwo. Było to mile uczucie. W polowaniu na Pola nastąpił chyba przełomowy moment. Córki przekonają go /jeśli już sam się nie przekonał/, że coś straszego dzieje się w domu. W końcu pięknie. Załame się. Może po prostu oszaleje. Będzie rwał włosy i darł ubranie, usmaruje się swymi własnymi ekskrementami. O tak, zwycięstwo było blisko. Szefowie Yatteringa będą na pewno dla niego bardzo mili. Czyż nie obsypią go pochwałami i zaszczytami? Wystarczy jeszcze jeden pokaz. Jeszcze jedna, końcowa zagrywka i Polo będzie tylko kwiczącym ciałem.

Zmęczony, lecz pewny siebie demon wszedł do salonu.

Amanda spała wyciągnięta na sofie. Śniła o indyku. Przez cienką skórę powiek widać było poruszające się gałki oczne. Dolna warga dziewczyny drżała Gina siedziała obok wyłączonego teraz radia. Trzymała otwartą książkę, ale jej nie czytała. Importera ogórków nie było w pokoju. Ktoś wchodził po schodach. Chyba on? Wchodził na górę, aby się załatwić.

Idealny moment.

Yattering przeciął pokój. Amandzie śnił się jakiś koszmar. Śniło jej się coś, co wywołało w ustach smak goryczy.

Giną podniosła oczy znad książki.

Bombki na choince lekko drżały. Zresztą nie tylko bombki, lameta i całe gałęzie także.

Tak właściwie, to drżało całe drzewko. Drżało zupełnie tak, jakby ktoś nim potrząsał.

Giną miała jak najgorsze przeczucia. Wstała. Książka upadła na podłogę.

Choinka zaczęła się obracać.

--Chryste -- powiedziała. -- Jezu Chryste.

Amanda spała.

Nagle drzewko uniosło się do góry.

Giną podeszła do sofy tak spokojnie, jak tylko potrafiła, i starała się obudzić siostrę.

Amanda opierała się przez moment.

--Ojczy! -- zawołała Giną donośnie. Jej głos wypełnił dom i obudził Amandę.

Polo usłyszał dochodzący z dołu odgłos, przypominający wycie psa. Nie, dwóch psów. Kiedy zbiegł, po schodach duet przekształcił się w trio. Wpadł do salonu, spodziewając się tam zastać całe piekielne zastępy tańczące na ciałach jego córek.

Ale nie. To choinka wyla, wyla jak sfora psów kręcących się bez ustanku. Lampki powypadały z oprawek. Powietrze śmierdziało rozgrzanym plastikiem i żywicą. Choinka wirowała jak bąk zrzucając ze swych umęczonych gałęzi dekoracje i prezenty. Robiła to z hojnością szalonego władcy.

Jack odwrócił wzrok od tego widowiska i zobaczył, że Giną i Amanda kucają przerażone za sofą.

--Wynoś się stąd! -- wrzasnął Jack.

Telewizor stanął na jednej nóżce i zaczął się kręcić podobnie jak choinka, nabierając momentalnie prędkości. Do tego tańca dołączył się zegar stojący na kominku, pogrzebaczki stojące obok kominka, poduszki, bibeloty na półkach. Każdy przedmiot miał swój udział w orkiestrze pisków i jęków. Dźwięk narastał z sekundy na sekundę zmierzając do obezwładniającego szczytu. Pokój zaczął się wypełniać zapachem palonego drzewa, jakby tarcie rozgrzało wirującą choinkę do temperatury zapłonu. Powietrze wirowało razem z przedmiotami.

Giną ciągnęła Amandę w kierunku drzwi, aby osłonić ją przed gradem igieł rozrzuconych przez wciąż przyśpieszającą choinkę.

Zaczęły wirować zyrandole.

Książki pospadały z półek i dołączyły do taranteli.

Jack widział wroga. Widział go oczami duszy latającego pomiędzy rzeczami, które wypełniały pokój. Niczym kuglarz talerze na patyku, tak on wprawiał przedmioty w ruch. "To musi być męczące" -- pomyślał Jack.

Demon był prawdopodobnie bliski wyczerpania. Ten demon nie potrafi myśleć spokojnie. Jest impulsywny, nerwowy i przez to mało odporny. Musi być jakaś możliwość pokonania go. Stanąc z nim twarzą w twarz, oprzeć się mu i schwytać w pułapkę.

Yattering świetnie się bawił podczas tej orgii niszczenia. Latał od rzeczy do rzeczy i wprawiał je w ruch. Z satysfakcją patrzył, jak obie dziewczyny drżą i uciekają. Śmiał się, widząc starego człowieka z oczami jak spodki, gapiącego się na jego absurdalny balet.

Już prawie szaleje, nieprawdaż?

Dziewczyny już dobiegły do drzwi. We włosach i na ciele miały pełno igieł. Polo nie widział

jak wybiegały. Przebiegł przez pokój, ledwo unikając gradu tańczących przedmiotów. Złapał mosiężny widelec do pieczenia, który został przez demona przeoczony. Bibeloty wypełniały powietrze dokoła głowy Jacka, wirując z niesamowitą prędkością. Ciało miał podrapane i poklute. Jednak chęć walki porwała go. Chciał te wszystkie latające książki, zegarki, porcelanowe figurki po-rozwać na kawałki. Biegł przez pokój jakby w chmurze szarańczy, wałąc swe ulubione książki, miażdżąc drezdeńską porcelanę i rozwalające lampy. Resztki zasłaly całą podłogę, niektóre fragmenty drgały jeszcze jakby w agonii. Jednak na każdy rozwalony przedmiot przypadał tuzin ciągle wirujących i jęczących. Słyszał jak Giną krzyczy przy drzwiach, aby zostawił to wszystko i uciekał. Jednak walka z wrogiem, tak otwarta jak nigdy przedtem, była bardzo ekscytująca. Jack nie chciał się poddać. Chciał, aby demon był zmuszony się pokazać, ujawnić. Chciał konfrontacji z wysłannikiem piekieł.

Nagle choinka poddała się rosnącej sile odśrodkowej i eksplodowała z dźwiękiem przypominającym jęk śmierci. Gałęzie, gałązki, igły, bombki, lampki, łańcuchy, wstążki rozleciały się po pokoju. Jack był odwrócony do wybuchu plecami. Poczul potężny prąd powietrza i przewrócił się. W plecy i szyję powbijały mu się igły choinkowe. Pozbawiona igieł gałąź trąciła go w głowę i wbiła się w sofę. Fragmenty choinki upstrzyły podłogę dookoła Jacka.

Teraz zaczęły wybuchać pozostałe wirujące przedmioty. Wyleciał w powietrze telewizor, siejąc po pokoju śmiercionośną falę szkła. Na szczęście większość szkieł utknęła nieszkodliwie w ścianie. Gorące wnętrzości telewizora spadły na Jacka w momencie, gdy wycofywał się do drzwi; był jak żołnierz pod bombami.

Pokój pełen był latających skorup. Pierze z poduszek sypało się na dywan. Kawałki porcelany: ramię i głowa ślicznej porcelanowej tancerki leżały na podłodze przed nosem Jacka.

Giną przykucnęła przy drzwiach, popędzając go i bacznie obserwując grad fruwających przedmiotów. Jack dopadł drzwi, gdy ramiona Giny objęły go, mógłby przysiąc, że dobiegł go głośny śmiech z salonu. Głośny i pełen satysfakcji.

Amanda stała w hallu i patrzyła na ojca. We włosach miała pełno igieł. Jack przeczołgał się przez próg, a Giną zatrzęsnęła drzwi.

--Co to jest? -- chciała wiedzieć. -- Duch? Demon! Duch mamy?

Myśl, że zmarła żona mogłaby być odpowiedzialna za tę całą destrukcję wydawała się Jackowi zabawna.

Amanda lekko się uśmiechnęła. "Dobrze -- pomyślał -- już dochodzi do siebie". Nagle napotkał jej puste spojrzenie i dotarła do niego prawda. Załamała się, jej mózg szukał schronienia tam, gdzie te niesamowitości nie mogły dotrzeć.

--Co tam jest? -- dopytywała się Giną, ściskając ramię Jacka tak mocno, że zahamowała dopływ krwi.

--Nie wiem -- skłamał. -- Amanda?

Nie przestawała się uśmiechać. Patrzyła nieobecny wzrokiem gdzieś w dal.

--Wiesz?

--Nie.

--Kłamiesz!

--Myślę...

Podniósł się z podłogi, otrzepując się z pierza i kawałków szkła.

--Myślę, że... pójdę na spacer.

Za drzwiami ustał wszelki ruch. Powietrze w korytarzu było naelektryzowane. Jack wyczuł czyjąś obecność. Niewidzialną jak zawsze, ale bardzo bliską. Nadchodził najbardziej niebezpieczny moment. Nie wolno mu teraz stracić panowania nad sobą. Musi się zachowywać, jak gdyby nic się nie stało. Musi zostawić Amandę w takim stanie, w jakim jest. Trzeba odłożyć wyjaśnienia na później, gdy to wszystko się skończy.

--Na spacer? -- zapytała Giną z niedowierzaniem.

--Tak... na spacer. Potrzebuję świeżego powietrza.

--Nie możesz nas tu zostawić.

--Znajdę kogoś, kto pomoże nam tu sprzątać.

--Ale Amanda...

--Poradzi sobie. Zostaw ją.

Było to ciężkie. Prawie niewybaczalne. Jednak już się dokonało.

Niepewnie ruszył w kierunku drzwi frontowych, czując podchodzące do gardła mdłości.

Giną krzyczała za nim:

--Nie możesz po prostu odejść! Czy straciłeś rozum?

--Potrzebuję świeżego powietrza -- powiedział, gdy odzyskał głos. -- Muszę więc wyjść na moment.

"Nie -- pomyślał Yattering -- nie, nie, nie". Był tuż za Jackiem. Polo czuł to. Wściekły, gotowy ukłębć temu człowiekowi głowę. Nie było to jednak dozwolone, nie mógł go nawet dotknąć. Jack dokładnie wyczuł jego gniew. Zrobił następny krok w stronę drzwi. Demon był ciągle za nim, śledził każdy krok Pola. Jego cień, ruchy.

--Ty sukinsynie, spójrz na Amandę. Straciła rozum.

Nie, nie wolno mu patrzeć na Amandę. Jeżeli na nią spojrzy, prawdopodobnie się zawaha, załamie się, tak jak chce tego demon. Wszystko będzie stracone.

--Przejdzie jej -- powiedział bardzo cicho.

Dotknął klamki. Demon błyskawicznie i z trzaskiem zamknął drzwi. Nie było czasu na zabawę. Jack tak spokojnie, jak tylko potrafił, odemknął zasuwę: górną i dolną. Natychmiast zasunęły się z powrotem.

Ta zabawa była przerażająca, ale jednocześnie ekscytująca. Jeżeli człowiek posunie się za daleko, czy demon w gniewie nie zapomni o zakazie wpojonym mu w szkole?

Delikatnie i spokojnie Jack ponownie odsunął zasuwę. Tak samo delikatnie i spokojnie Yattering zasunął je.

Jack zastanawiał się, jak długo potrafi to jeszcze wytrzymać. Musiał wyjść na zewnątrz. Musiał wyciągnąć demona poza próg domu. Według prawa, jeden krok poza próg powinien wystarczyć. Tak przynajmniej uważał Jack na podstawie swych badań. Jeden mały krok.

Otwarte. Zamknięte. Otwarte. Zamknięte.

Giną stała dwa lub trzy jardy za ojcem. Nie rozumiała tego co widzi, zdawała sobie jednak sprawę, że jej ojciec walczy z kimś lub czymś.

--Tatusiu... -- zaczęła.

--Cicho bądź -- powiedział łagodnie, uśmiechając się i otwierając siódmy raz drzwi. W jego spojrzeniu było szaleństwo, głos był jednak spokojny.

Nie wiadomo dlaczego, Giną odpowiedziała na uśmiech ojca. Uśmiech był ledwie skrzywieniem warg, ale był prawdziwy. Cokolwiek się tu działo, ona kocha Jacka.

Polo skierował się do drzwi znajdujących się na tyłach domu. Demon był trzy kroki przed nim, mknąc przez dom jak sprinter. Zatrzasnął zasuwę zanim Jack zdążył dotknąć klamki. Przez niewidzialne ręce klucz został przekreślony w zamku, a potem rozpadł się w pył.

Jack udał, że zamierza wydostać się przez okno obok drzwi. Zasłony błyskawicznie się zasunęły, a okiennice zostały zatrzaśnięte zaraz potem. Yattering, zbyt zajęty zamykaniem okna, nie zauważył, że ten z powrotem biegnie do drzwi frontowych. Gdy demon odkrył podstęp, zaskrzeczał ze złości. Ruszył za Jackiem w pogoń, prawie na niego wpadając na śliskiej podłodze. Uniknął kolizji tylko dzięki swej zręczności. To mogłoby być tragiczne: dotknąć człowieka w ruchu.

Polo znowu był przy drzwiach frontowych. Giną bardzo mądrze otworzyła drzwi, gdy ojciec toczył bój na tyłach domu. Drzwi były lekko uchylone. Mroźne powietrze rzeźkiego, zimowego popołudnia wtargnęło do hallu. Jack przebiegł kilka ostatnich jardów, które dzieliły go od drzwi, starając się nie słyszeć pełnego skargi ryku Yatteringa.

Wszystko, czego teraz pragnął demon, to wziąć czaszkę tego człowieka w ręce i unicestwić ją. Połamać ją na kawałki i gorący mózg rozlać na śniegu. Skończyć z Jackiem J. Polo raz na zawsze.

Czy wymagał zbyt wiele?

Jack szedł po skrzypiącym śniegu, kaptcie i nogawki spodni zanurzyły się w puchu. Jack odszedł już trzy, cztery jardy od domu, zostawiając na śniegu ślady. Uciekać. Uciekać.

Yattering znowu wrzasnął, zapominając o tym, czego go nauczono. Każda lekcja, każda zasada, którą mu wpojono, stała się nieważna wobec prostej chęci zabicia Pola. Demon przestąpił próg i rzucił się w pogoń". To było niewybaczalne wykroczenie. Gdzieś w Piekło władcy /oby panowali długo i oby długo srali na głowy potępionych/ poczuli popełniony grzech i zrozumieli, że bitwa o duszę Jacka Polo jest przegrana. Jack rozumiał to także. Słyszał odgłos gotowania wody, gdy stopy demona dotykały śniegu i zmieniały go w parę. Szedł za nim! Demon złamał podstawową zasadę! To koniec. Poczul przepelniającą go świadomość zwycięstwa.

Demon dogonił Jacka przy furtce. Widać było jego oddech, mimo, że ciało nadal było niewidzialne. Jack próbował otworzyć furtkę, ale demon zatrzasnął ją na powrót.

--Che sera, sera -- zanucił Jack.

Yattering nie mógł już tego wytrzymać. Złapał głowę Pola w ręce, zamierzając roztrzaskać ją na kawałki. Dotknięcie było drugim grzechem Yatteringa. Pogrążyło go to ostatecznie. Wrzasnął i puścił Jacka. Padł plecami na śnieg.

Demon wiedział, że popełnił błąd. Przypomnił sobie to, co mówiono na lekcjach. Wiedział, że zostanie ukarany za opuszczenie domu i dotknięcie człowieka. Teraz musiał być posłuszny nowemu panu. Był niewolnikiem tego idioty, który stał nad nim.

Polo wygrał. Śmiał się, patrząc na kształt ciała demona odcisnięty na śniegu. Yattering stawał się coraz bardziej widzialny, jak podczas wywoływania zdjęcia. Prawo zaczynało działać. Yattering nigdy już nie będzie mógł się ukryć przed swym panem. Oto leżał u stóp Pola w całej swej piekielnej okazałości: karmazynowe ciało, oczy pozbawione powiek i ramiona jak cepy. Jego ciało ugrzęzło w topniejącym śniegu.

--Ty bękarcie -- powiedział demon z australijskim akcentem.

--Nie odzywaj się, dopóki ci nie pozwolę -- odparł Polo cicho, ale stanowczo. -- Zrozumiano? Oczy demona nabrały pokory.

--Tak.

--Tak, panie Polo.

--Tak, panie Polo.

Yattering wyglądał żałośnie i nieporadnie, jak zbity pies.

--Możesz wstać.

--Dziękuję, panie Polo.

Wstał. Nie był to miły widok, ale Jackowi sprawił radość.

--Jeszcze pana dostaną -- powiedział demon.

--Kto?

--Pan wie -- odparł Yattering z wahaniem.

--Nazwij ich.

--Belzebub -- odrzekł stwór, z dumą wypowiadając imię swego dawnego pana. -- Władcy.

Samo piekło.

--Nie sądzę -- zastanowił się Polo. -- Nie z tobą jako dowodem swych możliwości. Czy nie jestem lepszy od nich? Wzrok demona sposepniał.

--Czyż nie?

--Tak -- przyznał gorzko potwór. -- Tak. Jest pan od nich lepszy. Demon zaczął drzeć.

--Zimno ci? -- zapytał Polo.

Demon przytaknął. Wyglądał jak porzucone dziecko.

--Damy ci wobec tego zajęcie -- powiedział Jack. -- Wróć do domu i zacznij sprzątać.

Demon wyglądał na zaskoczonego, nawet rozczarowanego tym poleceniem.

--Nic więcej? -- zapytał z niedowierzaniem. -- Żadnych cudów? Żadnej Heleny

Trojańskiej? Latania?

Myśl o lataniu nad zaśmieconym światem tego mroźnego popołudnia nie zainteresowała Pola. Był człowiekiem o niewielkich wymaganiach. Wszystko, czego oczekiwał od życia, to miłości córek, miłego domu i wysokiej ceny korniszonów.

--Żadnego latania -- odpowiedział.

Yattering ruszy! w kierunku domu. Wydawało się, że ma ochotę na jeszcze jednego figla. Uniżenie obrócił się do Pola. Był wyraźnie z siebie zadowolony.

--Czy mogę coś powiedzieć? -- zapytał.

--Mów.

--Moim obowiązkiem jest poinformować pana, że to nie po Bożemu rozmawiać ze mną. To nawet trąci herezją.

--Naprawdę?

--O tak -- gorąco odpowiedział demon. -- Palono ludzi na stosie za mniejsze przewinienia.

--Nie w dzisiejszych czasach -- odrzekł Jack.

--Ale Serafin to będzie widział -- upierał się Yattering. -- To znaczy, że nigdy nie dostaniesz się do tego miejsca.

--Jakiego miejsca?

Yattering próbował sobie przypomnieć słowo, którego użył Belzebub.

--Do nieba -- powiedział triumfująco demon i wykrzywił się szkaradnie. To był najlepszy numer, jak kiedykolwiek zrobił. Przecież to żonglowanie teologią.

Jack powoli przytaknął i przygryzł wargę.

Potwór prawdopodobnie miał rację. Zadawanie się z nim i jemu podobnymi nie może być dobrze widziane w zastępach świętych i aniołów. Bardzo możliwe, że wstęp do nieba będzie dla Jacka zamknięty.

--Cóż -- westchnął. -- Zapewne wiesz, co powinienem ci odpowiedzieć, prawda?

Yattering spojrział na niego krzywo. Nie miał pojęcia, co Polo miał na myśli. Nagle twarz demona rozjaśniła się satysfakcją i zrozumieniem. Wiedział, do czego zmierza Jack.

--Co ja powiem? -- zapytał Polo. Pokonany Yattering zamruczał:

--Che sera, sera.

--Jeszcze jest dla ciebie nadzieja -- uśmiechnął się Jack. Przeszedł próg i z pogodnym wyrazem twarzy zamknął drzwi.

BLUES ŚWIŃSKIEJ KRWI

Można wyczuć dzieciaki węchem, zanim jeszcze je dostrzeżesz. W korytarzach z pozamykanymi oknami czujesz ich młody pot. Czujesz zapach nieświeżych oddechów i nie domytych głów. I ich głosy, trochę tylko okiełznane przez zasady wychowania. Nie biegaj! Nie gwizdź! Nie bij się!

Nazywało się to Centrum dla Młodocianych Przesiępców.

Praktycznie było to jednak zwykłe więzienie. Były tam zamki, klucze i strażnicy. Pozory liberalizmu nie były w stanie przysłonić prawdy. Tetherdowne było więzieniem jak inne, tyle że o przyjemniejszej nazwie. Więźniowie dobrze o tym wiedzieli.

Redman nie miał żadnych złudzeń co do swych wychowanków. Byli groźni i zostali zamknięci nie bez powodu. Większość z nich obrabowała by lub pobiła bez zmrużenia oka tylko dla zaspokojenia zachcianki. Spędził zbyt wiele lat w tej robocie, aby wierzyć w teorie socjologiczne. Znał ofiary i znał swoje dzieciaki. Nie byli skrzywdzonymi idiotami. Byli szybcy, ostrzy i amoralni, zupełnie jak ostrza brzytwy, które chowali pod językami i których używali bez żadnych skrupułów.

--Witamy w Tetherdowne.

Ta kobieta nazywała się Leverton albo Leverfall czy...

--Jestem doktor Leverthal.

Leverthal. Tak. Uszczypliwa małpa. Spotkał ją na...

--Spotkaliśmy się podczas widzenia.

--Tak.

--Miło tu pana widzieć, panie Redman.

--Neil, proszę mi mówić Neil.

--Staramy się nie używać imion w obecności chłopców. Zauważyliśmy, że wtedy wydaje im się, że wetknęli nos w nasze prywatne życie. Wolalabym więc, aby pan nie używał swego imienia podczas pełnienia obowiązków służbowych.

Nie podała mu swego imienia. Może jakoś dziwnie się nazywała? Yvonne. Albo Lydia. Wymyśli sobie coś odpowiedniego. Wyglądała na pięćdziesiątkę, ale prawdopodobnie miała czterdzieści lat. Była bez makijażu, włosy zostały perfekcyjnie zaczesane do tyłu i związane.

--Zacznij pan z młodszymi klasami pojutrze. Gubernator polecił mi przywitać pana w Centrum w jego imieniu i przeprosić, że nie mógł tego zrobić osobiście. Ma pewne kłopoty z funduszami dla nas.

--Pewnie to stan normalny?

--Niestety tak. Wygląda to na walkę z wiatrakami. Społeczeństwo nie jest zbyt hojne.

Czego się po nich spodziewano? Wyprucia złych nawyków z każdego dziecka w możliwie ekspresowym tempie. Kiedyś tak postępowano.

--Niewykluczone, że stracimy Tetherdowne całkowicie -- powiedziała. -- Byłaby to hańba. Wiem, że nie wygląda to zbyt...

--Ale jest to dom -- roześmiał się. Żart jednak padł w próżnię. Zachowała się tak, jakby go nie usłyszała.

--Pan -- jej głos stwardniał. -- Pan ma solidne poparcie w policji. Pana obecność tutaj może przekonać naszych ofiarodawców.

Ach, więc to tak. Sprowadzono go tutaj, bo miał poparcie w policji. Dlatego był im

potrzebny. Tak naprawdę, to wcale go tutaj nie chcieli. Potrzebowali tylko socjologa piszącego raporty o efektywności systemu w walce z brutalnością wśród nastolatków. Dała mu do zrozumienia, że praktycznie jest niepotrzebny.

--Mówiłem pani, dlaczego odszedłem z policji.

--Wspomniał pan. Kłopoty zdrowotne.

--Nie chciałem siedzieć za biurkiem, to proste jak drut. Nie chcieli mi też dać tej pracy, którą wykonywałem najlepiej. Było to, według nich, niebezpieczne dla mnie.

Wyglądała na nieco zakłopotaną jego wyjaśnieniem. Obnażał przed nią swe bardzo prywatne sprawy. Był w porządku, do diabła.

--Zostałem więc pozbawiony swego zajęcia po dwudziestu czterech latach pracy. Zawahał się. Dokończył:

--Nie jestem tajniakiem. W ogóle nie jestem policjantem. Policja i ja wzięliśmy rozwód.

Czy pani rozumie, co mam na myśli?

--Dobrze, dobrze. -- Nie rozumiała ani jednego, cholernego słowa. Spróbował jeszcze raz.

--Chciałbym wiedzieć, co powiedziano chłopcom.

--Powiedziano?

--O mnie.

--Cóż, powiedziano co nieco o pańskiej przeszłości policyjnej.

--Rozumiem. Ostrzeżono ich. "Uwaga, jadą świnie".

--Wydawało się nam to potrzebne. Odkasznął.

--Niech pani posłucha, wielu z tych chłopców jest bardzo agresywnych. To właśnie jest źródłem problemów z nimi. Nie mogą nad sobą zapanować i cierpią z tego powodu.

Nie argumentował dalej. Patrzyła na niego jednak tak uważnie, jak gdyby jeszcze nie skończył.

--O tak, cierpią. Dlatego tak ciężko udowodnić im, że istnieją plusy sytuacji, w której się znaleźli. A trzeba ich przecież przekonać, że są inne możliwości.

Podeszła do okna. Widok z pierwszego piętra był rozległy; Tetherdowne było rodzajem wielkiej posiadłości. Przynależały do niego nie tylko budynki, ale także ziemia. Widać było boisko do gry. Pokrywała je zszarzała od letniego słońca trawa. Za nim był zagajnik z anemicznymi drzewami i kawał ziemi, na której nic nie rosło, dalej był mur. Widziała go już z zewnątrz. Alcatraz byłoby z tego muru dumne.

--Staramy się dać im nieco wolności, nieco wiedzy i uczucia. Znana i popularna jest opinia, że kryminalistom ich działalność sprawia przyjemność, prawda? Ja się z tym nie zgadzam. Przychodzą do mnie z poczuciem winy, załamania...

Któraś z załamanych ofiar rzuciła czymś w plecy doktor Leverthal, gdy przechodzili korytarzem.

--Mimo wszystko, to jednak przestępcy -- stwierdził Redman.

--Tak, ale...

--I trzeba im o tym przypominać.

--Wydaje mi się, że nie potrzebują przypomnienia, panie Redman. Myślę, że poczucie winy ich przytłacza.

Była chora na punkcie poczucia winy. Nie zaskoczyło go to. Tych teoretyków brano wprost z za biurka. Istnieli od początku świata. Wygłaszali oklepane kazania przy pomocy oklepanego

słownictwa. Historia stara jak świat. Obietnica wyleczenia zagubionych pod warunkiem przestrzegania rytuału.

Zauważył gonitwę na boisku. Gonitwę, a potem jej finał. Goniący skakał po swej ofierze. Był to okrutny widok. Pani doktor zobaczyła tę scenę równocześnie z Redmanem.

--Przepraszam. Muszę... Zaczęła schodzić po schodach.

--Pańska pracownia to trzecie drzwi na lewo. Jeśli pan chce, proszę ją obejrzeć' -- zawołała przez ramię. -- Zaraz będę z powrotem.

Pewnie, że zaraz wróci. Śledził scenę rozgrywającą się na boisku. Stwierdził, że ciężko będzie rozdzielić walczących.

Powlókł się do pracowni. Drzwi były zamknięte. Przez szybę zobaczył jednak stoły, imadła i narzędzia. Nie jest źle. Mógłby ich nawet nauczyć stolarki, gdyby mu na to pozwolono. Zmartwił się tym, że nie mógł wejść do pracowni. Poszedł więc w ślad za doktor Leverthal. Łatwo znalazł wyjście na zalany słońcem plac. Grupka widzów otaczała miejsce, gdzie leżał pobity chłopak.

Walka, czy raczej masakra, skończyła się. Doktor Leverthal stała nad chłopcem. Jeden ze strażników klęczał i oglądał głowę ofiary. Obrażenia wyglądały poważnie.

Wielu z patrzących na chłopaka podniosło wzrok; zobaczyli nowego tu Redmana. Rozległy się szepty, niektórzy się uśmiechali.

Redman popatrzył na chłopca. Miał może 16 lat. Leżał z policzkiem przyciśniętym do ziemi, jakby nasłuchiwał dochodzących z niej dźwięków.

--Lacey -- doktor Leverthal podała nazwisko chłopca Redmanowi.

--Czy jest poważnie ranny?

Człowiek klęczący koło głowy chłopca zaprzeczył.

--Nie jest tak źle. Kilka zadraśnień. Nic nie jest złamane.

Twarz chłopca umazana była krwią płynącą z rozkwaszonego nosa. Oczy były zamknięte. Leżał bez ruchu. Wyglądał tak, jakby był nieżywy.

--Gdzie są te cholerne nosze? -- zapytał strażnik. Najwyraźniej było mu niewygodnie klęczeć na twardej, suchej ziemi.

--Już je niosą, proszę pana -- odpowiedział ktoś.

Redmanowi wydawało się, że powiedział to sprawca pobicia, szczupły młodzian w wieku mniej więcej 19 lat. Miał mrożące spojrzenie, zdolne zabić konia.

Rzeczywiście, grupka chłopców wynurzyła się z głównego budynku, niosąc nosze i czerwony koc. Wszyscy uśmiechali się od ucha do ucha. Gapie zaczęli się rozpraszać. Najciekawsza część widowiska była zakończona. W dalszej części nie było już nic zabawnego.

--Czekajcie, czekajcie -- zatrzymał ich Redman -- czyż nie będziemy potrzebowali świadka? Kto to zrobił?

Kilku chłopców wzruszyło pogardliwie ramionami. Większość jednak udawała głuchych. Oddalili się, jakby nic nie zostało powiedziane.

--Widzieliśmy walkę -- powiedział Redman. -- Przez okno. Doktor Leverthal nie wykazywała chęci pomocy. Czyż nie widzieliśmy bijatyki? -- naciskał Redman.

--Było zbyt daleko, abyśmy mogli kogokolwiek wskazać bez wątpliwości. Nie chcę jednak, aby tego typu akty brutalności powtórzyły się jeszcze kiedykolwiek. Czy wszyscy mnie zrozumieliście?

Widziała jednak i rozpoznała Laceyę z dużej odległości. Dlaczego twierdzi, że nie widziała napastnika? Redman skarcił się za to, że nie przyjrzał się bliżej zdarzeniu.

Patrzył na twarze, nie znalazł jednak nazwisk, więc trudno mu było je odróżnić. Ryzyko pomyłki było zbyt duże, aby mógł z całą pewnością stwierdzić, że sprawcą jest ów młodzian o twardym spojrzeniu. "Nie ma co zgadywać" -- zdecydował. Sprawa i tak nie będzie rozstrzygnięta.

--Lacey -- powiedziała spokojnie -- to zawsze musi być Lacey.

--Prosił się o to -- powiedział jeden z chłopców niosących nosze. Odgarnął z oczu jasne włosy. -- Dobrze mu tak.

Nie zwracając uwagi na gapiów, doktor pilnowała, aby prawidłowo przeniesiono pobitego na nosze. Potem podniosła się i skierowała do głównego budynku. Redman podążył za nią. To wszystko było takie rutynowe -- pomyślał.

--Nie najlepiej, Lacey -- powiedziała zagadkowo, jakby to miało coś wyjaśnić. To było wszystko. Żadnego współczucia.

Redman spojrział przez ramię. Owijano właśnie Laceyę czerwonym kocem, gdy prawie jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy.

Ktoś z grupy powiedział:

--To świnia.

W tym samym momencie Lacey otworzył oczy i spojrział prosto na Redmana. Oczy chłopca były czyste i szczerze.

Redman spędził część następnego dnia, porządkując pracownię. Wiele narzędzi było połamanych i bezużytecznych tylko dlatego, że używały ich niesprawne ręce. Piły miały powyłamywane zęby, dłuta były stępione, znalazło się też kilka uszkodzonych imadel. Będzie trzeba pieniędzy, aby doprowadzić pracownię do całkowitego porządku. Redman zamierzał jednak poprosić o to później. Lepiej na razie poczekać i uczciwie pracować. Był przyzwyczajony do zasad panujących w tego typu instytucjach.

Około 4.30 zaczął dzwonić dzwonek. Zignorował go. Jednak po jakimś czasie instynkt zmusił go do opuszczenia pracowni. Dzwonki alarmowały, alarmy są zaś po to, aby ostrzegać ludzi. Porzucił sprzątaninę, zamknął za sobą drzwi i skierował się w stronę źródła dźwięku.

Dzwonki dzwoniły w części budynku, która szumie nazywała się częścią szpitalną. /Były to dwa czy trzy pokoje oddzielone od reszty budynku, udekorowane kilkoma obrazami i zasłonami w oknach/. Nie czuło się dymu w powietrzu, więc raczej nie był to pożar. Oprócz dzwonienia słyhać było także krzyk. Więcej niż krzyk. Wycie.

Przyśpieszył kroku. Szedł przez nie kończące się korytarze. Gdy skręcił w ostatni korytarz, prowadzący do części szpitalnej, jakaś mała postać zaczęła biec w jego kierunku. Zderzyli się. Zderzenie odebrało oddech im obydwóm. Redman złapał chłopaka za ramię, zanim ten zdążył zareagować. Jeniec zaczął rozpaczliwie kopać, jednak ten trzymał go mocno.

--Puść mnie, ty pierdolony...

--Uspokój się, uspokój się. Ścigający już do nich dobiegli.

--Trzymaj go!

--Skurwiel! Skurwiel! Skurwiel! Skurwiel!

--Trzymaj go!

To było coś jak zapasy z krokodylem. Strach dodał chłopakowi energii. Siły jednak powoli

go opuszczały. Łzy napłynęły do podbitych oczu małego więźnia.

Splunął Redmanowi w twarz. To był Lacey, chory Lacey.

--Ok. Mamy go.

Strażnik wziął chłopca z rąk Redmana, który się cofnął. Wyglądało na to, że klawisz zamierza złamać Laceyowi ramię, tak mocno go trzymał. Dwóch lub trzech następnych wynurzyło się zza rogu. Za nimi pojawili się dwaj chłopcy i wyglądająca bardzo niesympatycznie pielęgniarka.

--Puść mnie... Puść mnie -- jęczał Lacey.

Jednak duch walki go opuścił. Jego twarz wyrażała rezygnację, oczy znów spojrzały na Redmana. Nie wyglądał teraz na swoje 16 lat. Na twarzy między siniakami i źle założonym opatrunkiem widać było kilka krost. Jednak jego twarz była niemal dziewczęca. I jego oczy.

Zbyt późno, aby w czymkolwiek pomóc, pojawiła się doktor Leverthal.

--Co się dzieje?

Strażnik dyszał ciężko. Pościg pozbawił go oddechu i energii.

--Zamknął się w ustępie. Próbował zwać przez okno.

--Dlaczego?

Pytanie skierowane było do strażnika, a nie do Lacey'a. Zapadło kłopotliwe milczenie. Zmieszany strażnik wzruszył ramionami.

--Dlaczego? -- Redman skierował pytanie do chłopaka. Lacey spojrzał tak, jak gdyby nigdy w życiu nie zadawano mu żadnych pytań.

--Jesteś świnią? -- zapytał nagle. Glut zwisał mu z nosa.

--Świnią?

--Ma na myśli policjanta -- powiedział jeden z obserwujących zdarzenie chłopców. Zdanie było wypowiedziane z drwiącą precyzją, jak gdyby mówiący zwracał się do imbecyla.

--Wiem, co on miał na myśli, chłopcze -- odparł Redman, ciągle zdecydowany wy badać Lacey'a. -- Bardzo dobrze wiem, co miał na myśli.

--Czyżby?

--Bądź cicho, Lacey -- powiedziała Leverthal -- dosyć już narobiłeś sobie kłopotów.

--Tak, synu. Jestem świnią.

Mężczyzna i chłopiec zmierzyl się spojrzeniami.

--Nic nie wiesz -- powiedział Lacey. Nie była to zwykła uwaga. Chłopak naprawdę tak uważał. Nie uciekał ze spojrzeniem, mówiąc to.

--W porządku Lacey, wystarczy. -- Strażnik próbował odciągnąć chłopaka. Zadarta góra piżamy odsłoniła biały dziecięcy brzuch.

--Proszę pozwolić mu mówić -- powiedział Redman. -- Czego nie wiem?

--Może złożyć zeznania zarządcy -- powiedziała doktor Leverthal, zanim Lacey zdążył się odezwać. -- To pana nie dotyczy.

Jednak bardzo go dotyczyło. Spojrzenie chłopaka spowodowało, że Redman poczuł, że to go dotyczy. Dotyczyło go jak cholera. Spowodowało to jedno spojrzenie.

--Proszę pozwolić mu mówić -- odparł Redman. Siła jego tonu pokonała panią Leverthal. Strażnik nieco zwolnił uścisk.

--Dlaczego próbowałeś uciec, Lacey?

--Bo on wraca.

--Kto wraca? Nazwisko, Lacey. O kim mówisz? Chłopiec przez kilka sekund walczył z wewnętrznym nakazem milczenia. Po chwili potrząsnął głową, zrywając nić porozumienia między sobą a Redmanem. Wyglądało na to, że nie wie, co robić. Krył w sobie jakąś tajemnicę.

--Nic złego ci się nie stanie.

Lacey spojrział na Redmana krzywo.

--Chciałbym wrócić do łóżka -- powiedział niewinnie.

--Nic ci się nie stanie. Przyrzekam.

Przyrzeczenie nie odniosło zbyt wielkiego skutku, Lacey milczał. Było to jednak ważne przyrzeczenie i Redman miał nadzieję, że Lacey zdaje sobie z tego sprawę. Chłopak wyglądał na wyczerpanego nieudaną ucieczką i tą rozmową. Miał szarą twarz. Redman pozwolił strażnikowi go zabrać. Zanim skręcili za róg, twarz Lacey'a nagle się zmieniła, znów uzewnętrzniła się na niej walka. Chłopak obrócił twarz do Redmana.

--Henessey -- powiedział, znów patrząc Redmanowi w oczy. To było wszystko. Strażnik pociągnął go za sobą, zanim chłopiec zdążył coś dodać.

--Henessey? -- zapytał Redman. Poczul się dziwnie.

--Kto to jest Henessey?

Doktor Leverthal paliła papierosa. Ręce jej lekko drżały. Nie zauważył tego wczoraj, ale wcale go to nie zaskoczyło. Najwyraźniej pani doktor miała problemy.

--Chłopak kłamie -- powiedziała -- Henessey'a już z nie ma z nami.

Przerwa. Redman nie przerywał ciszy, to mogłoby ją zdenerwować.

--Lacey jest bystry -- kontynuowała, wkładając papierosa w [falowane usta. -- Zna swoje miejsce.

--Hmm?

--Jest pan tu nowy i Lacey chce na panu wywrzeć wrażenie, dlatego daje do zrozumienia, że zna jakąś tajemnicę.

--Więc nie ma żadnej tajemnicy?

--Henessey? -- prychnęła. -- Dobry Boże, nie. Wymknął się I spod naszej opieki na początku maja. On i Lacey... -- Urwała, sama tego nie chcąc. -- Coś było pomiędzy Laceyem i nim. Może narkotyki, nie wiemy tego. Może razem wachali klej albo się masturbowali. Bóg raczy wiedzieć.

Temat był dla niej wyraźnie nieprzyjemny. Na jej twarzy widać było niesmak.

--Jak uciekł Henessey?

--Dotąd nie wiemy -- odparła. -- Po prostu pewnego ranka nie zgłosił się na apel. Wszystko przeszukaliśmy, nic jednak nie znaleźliśmy.

--Czy to możliwe, aby wrócił? Szczery śmiech.

--O Jezu, nie. Nienawidził tego miejsca. Zresztą jak mógłby się tutaj dostać?

--Potrafił się stąd wydostać. Leverthal przytaknęła mruklawie.

--Nie był zbyt bystry, ale nie można mu było odmówić przebiegłości. Jego zniknięcie specjalnie nas nie zaskoczyło. Na kilka tygodni przed ucieczką stał się zamknięty w sobie. Nie mogłam nic z niego wyciągnąć, mimo, że normalnie był bardzo rozmowny.

--A Lacey?

--Był pod jego wpływem. To się często zdarza. Młodszy chłopiec ma starszego idola,

bardziej doświadczonego i samodzielnego. Lacey pochodzi z bardzo złej rodziny.

Ładnie, pomyślał Redman. Tak ładnie, że nie wierzył w ani jedno słowo. Osobowości nie są obrazami na wystawie, ponumerowanymi i wiszącymi z etykietkami: "przebiegła" albo "wrażliwa". Są czymś skomplikowanym i niejednoznacznym.

A mały Lacey? Trzeba mu się przyjrzeć.

Lekcje zaczęły się nazajutrz. Upał sprawił, że w pracowni było jak w piekarniku. Chłopcy szybko pojęli układy, jakie będą ich łączyły z Redmanem. Był to człowiek, którego mogli szanować. Nie oczekiwali forów i ich nie dostawali. Był to trwały układ.

Redman stwierdził, że personel pracujący w tym ośrodku jest mniej komunikatywny niż chłopcy. Mimo wszystko, była to dziwaczna zbieranina. Nie było wśród chłopaków jakiegoś specjalnie wyróżniającego się siłą charakteru. Rutyna panująca w Tetherdowne, klasyfikacje, poniżenie -- wszystko to zmieliło chłopców na pył. Nagle Redman stwierdził, że unika rozmowy z personelem. Pracownia stała się rodzajem sanktuarium, domem wypełnionym zapachem ciał i świeżego drzewa.

W poniedziałek, któryś z chłopców wspomniał o farmie.

Nikt nie powiedział Redmanowi o tym, że na terenach Centrum istnieje farma. Pomyśl wydał mu się głupi.

--Nikt tam specjalnie nie chodzi -- mówił Creeley, jeden z najgorszych stolarzy na tym bożym świecie. -- Ona cuchnie. Gremialny śmiech.

--Dobra, chłopcy. Siadajcie.

Śmiech ucichł. Zastąpiło go kilka szeptanych uwag.

--Gdzie jest ta farma, Creeley?

--Tak naprawdę, to właściwie nie jest farma -- odparł Creeley, bez przerwy nerwowo przesuając język. -- To tylko kilka chałup. Diabelnie tam cuchnie, proszę pana. Szczególnie teraz.

Wskazał palcem odludzie rozciągające się za oknem... Od czasu, kiedy Redman zobaczył ten widok po raz pierwszy, zaraz po przyjeździe, stał się on jeszcze bardziej przygnębiający. Creeley pokazywał dalekie ceglane zabudowania, częściowo zasłonięte krzewami.

--Widzi pan?

--Tak widzę.

--To chlew, proszę pana. Klasa zachichotała.

--Co w tym śmiesznego? -- Redman spojrział na nich. Tuzin głów pochyliło się znów nad pulpitemi.

--Nie poszedłbym tam, proszę pana. Ta pieprzona farma śmierdzi na odległość.

Creeley nie przesadzał. Nawet tego chłodnego popołudnia mdlący smród unosił się wszędzie dookoła farmy.

Aby trafić do gospodarstwa wystarczyło zaufać powonieniu. Doprowadzało ono do farmy bezbłędnie.

Redman widział teraz budynki, które z daleka były zasłonięte: kilka rozpadających się szop z pociętej blachy i gnijącego drewna. Farma składała się z rozwalonego kurnika i zbudowanego z cegieł chlewa. Zgodnie z tym, co powiedział Creeley, nie była to typowa farma. Z wyglądu przypominała mały obóz koncentracyjny, brudny i opuszczony.

Ktoś karmił więźniów /kury, pół tuzina gęsi, świnię/, najwyraźniej jednak, nikt nie

przejmował się brudem. Dlatego wszystko tak okropnie śmierdziało. Świnie topiły się we własnym łajnie, w całych górach łajna, wysuszonego przez słońce. Wszędzie było mnóstwo much.

Chlew przedzielono ceglanym murem na dwie części. Przed wejściem leżała mała, cętkowana świnia. Po jej pokrytym łajnem boku pelzały niesamowite ilości robactwa. Widać było również inną, mniejszą świnie, tarzającą się na pokładach gówna wewnątrz chlewa. Redman nie wzбудził zainteresowania żadnej z nich.

Druga część chlewa wyglądała na pustą. Przed wejściem do niej nie było ekskrementów, było znacznie mniej much. Smród, panujący tu wszędzie, był tak potężny, że Redman był już gotów powrócić do Centrum, gdy nagle z rzekomo opuszczonej części chlewa dobiegł go hałas, jakby poruszało się tam coś wielkiego. Redman napał na zamknięte drewniane wrota, starając się nie zwracać uwagi na obezwładniający smród. Spojrzał przez szparę do środka. Ujrzał ogromną świnie. Była chyba trzy razy większa od tych, które widział poprzednio. Możliwe, że urodziła świnie, które widział na zewnątrz. Jednak tamte świnie były potwornie brudne i nie wyglądały najlepiej, natomiast ta była czysta i tryskała zdrowiem. Jej rozmiary zaszokowały Redmana. "Musi ważyć dwa razy tyle co ja" -- pomyślał. Niesamowity stwór. Wielkie, tłuste zwierzę, pokryte jasną szczecina przechodzącą w delikatny puch na tłustym ryju, patrzyło na niego maślanymi oczami.

Redman, wychowany w mieście, rzadko miał okazję widzieć żyjący materiał na kotlety. Patrzył teraz na zwierzę z uwagą. Przez całe życie utożsamiał słowo świnia z głupotą i niechlujstwem. Teraz przekonał się, że było to błędem. Świnia była piękna, od pyska aż po zwinięty ogonek. Świnia obejrzała go dokładnie. Podziwiała Redmana nie mniej niż on ją.

Redman precyzyjnie przeszedł przez szparę i podszedł bliżej do zwierzęcia. Doszedł go mdły, słodkawy zapach. Ktoś tu przychodził każdego ranka, czyścił świnie i karmił ją. W korycie pozostały resztki jedzenia. Świnia nie wylizala ich, najwyraźniej nie była żarłokiem.

Zdaje się, że zwierzę już zaspokoilo swą ciekawość, bo kwiknęło cicho i obróciwszy się skryło się w ciemnościach chlewa. Audiencja była skończona.

Tej nocy Redman zamierzał odszukać Lacey. Chłopca przeniesiono do celi-izolatki. Nadal był terroryzowany przez swych współwięźniów i izolatka była jedynym wyjściem. Gdy Redman nadszedł, chłopak siedział na podłodze nad starym komiksem. Nie czytał go, lecz gapił się na ścianę. W zestawieniu z ponurą okładką komiksu, twarz chłopca wydawała się jeszcze młodsza i bardziej niewinna. Zdjęto mu już bandażę, siniaki stawały się żółte.

Redman podał Laceyowi rękę. Chłopak uporczywie mu się przypatrywał. Był zupełnie inny niż podczas ostatniego spotkania. Spokojny, niemal uległy. Uścisk jego ręki był słaby i niepewny.

--Dobrze się czujesz? Chłopiec przytaknął.

--Wolisz być sam?

--Tak, proszę pana.

--Niewykluczone, że będziesz musiał wrócić na salę zbiorową. Lacey potrząsnął głową.

--Nie możesz tutaj zostać na stałe, chyba rozumiesz?

--Wiem, proszę pana.

--Będziesz musiał kiedyś wrócić.

Lacey przytaknął. Wyglądało na to, że nie bardzo jest w stanie logicznie myśleć. Otworzył

komiks o Supermanie i gapił się na poplamione kartki, nie widząc ich.

--Posłuchaj mnie, Lacey. Chciałbym, abyśmy się dobrze zrozumieli. Dobrze?

--Tak, proszę pana.

--Nie będę mógł ci pomóc, jeżeli nie powiesz mi prawdy, rozumiesz?

--Tak.

--Dlaczego wymienileś nazwisko Kevina Henesseya, kiedy ostatnio rozmawialiśmy? Wiem, że go tu nie ma. Uciekł, prawda?

Lacey w dalszym ciągu wlepił wzrok w Supermana.

--Prawda, że uciekł?

--On tu jest -- odparł bardzo cicho Lacey. Oderwał się wreszcie od komiksów. W jego głosie można było wyczuć napięcie.

--Jeżeli uciekł, to po co miał wracać? Nie wydaje mi się to zbyt sensowne, a tobie?

Lacey potrząsnął głową. Chlipał, a to, co mówił, było niewyraźne. Jednak Redman zrozumiał.

--On nigdy się stąd nie wydostał.

--Co? Twierdzisz, że on nie uciekł?

--On jest bystry, proszę pana. Pan nie zna Kevina. On jest bystry. Zamknął komiks i spojrzął na Redmana.

--W jakim sensie bystry?

--Wszystko sobie zaplanował, proszę pana. Wszystko.

--Mów jaśniej.

--Pan mi nie uwierzy. Taki będzie koniec, bo pan mi i tak nie uwierzy. On pana słyszy, jest wszędzie. Mury mu nie przeszkadzają. Umarli takimi rzeczami się nie przejmują.

Śmierć. Krótkie słowo, które odbiera oddech.

--Może przychodzić i odchodzić -- mówił Lacey -- kiedykolwiek chce.

--Henessey jest martwy? -- wykrztusił Redman. -- Uważaj, Lacey.

Chłopak się zawahał. Zdawał sobie sprawę, że stąpa po bardzo cienkiej linie. Wiedział, że w każdej chwili może stracić jedyną życzliwą mu osobę.

--Pan przyrzekł -- powiedział nagle Lacey zimno.

--Przyrzekłem, że nic ci się nie stanie. Powiedziałem to i dotrzymam przyrzeczenia. To wcale jednak nie znaczy, że możesz mnie oszukiwać, Lacey.

--Jak to oszukiwać, proszę pana?

--Henessey nie jest martwy.

--Jest, proszę pana. Wszyscy wiedzą, że nie żyje. Powiesił się. Razem ze świniami.

Wielokrotnie próbowano okłamywać Redmana, dlatego myślał, że potrafi już odróżnić kłamstwo od prawdy. Wiedział, jak zachowuje się kłamca, gdy kłamie. Po chłopcu nie było jednak nic widać. On naprawdę wierzył, że Henessey jest nieboszczykiem.

--Gdyby Henessey był martwy...

--Jest, proszę pana.

--Gdyby był martwy, to jak mógłby być tutaj? Chłopak spojrzął na Redmana otwarcie.

--Nie wierzy pan w duchy?

To proste rozwiązanie zaskoczyło Redmana. Henessey jest martwy, więc Henessey jest tutaj. Czyli Henessey jest duchem.

--Nie wierzy pan?

Chłopiec nie zadał retorycznego pytania. Chciał, nie, żądał sensownej odpowiedzi na sensowne pytanie.

--Nie, chłopcze -- odpowiedział wreszcie Redman. -- Nie wierzę. Lacey wydał się być uspokojony tą różnicą zdań.

--Zobaczy pan -- powiedział -- zobaczy pan.

Wielka, bezimienna maciora mieszkająca w chlewie była głodna. Rozróżniała poszczególne dni i z ich upływem jej łaknienie rosło. Resztki posiłku w korycie już zgniły. Nie miała ochoty ich jeść. Miała chrapkę, od czasu gdy jej to podano po raz pierwszy, na coś twardego, stałego, a nie na zwykłą papkę. Nie musiała tego jeść zawsze, ale czasami miała na to ochotę. Nie była to chęć obezwładniająca, a jednak czasami miała ochotę schrupać rękę, która ją karmiła.

Stała w drzwiach swego więzienia, obojętnie oczekując. Wzdychała i parskając, niecierpliwość powoli przeradzała się w tępy gniew. Na zewnątrz wieprze, jej wykastrowani synowie, wyczuwając gniew matki, zaczęły się niespokojnie kręcić.

Znali ją, była niebezpieczna. Zjadła już dwóch ich braci zaraz po urodzeniu, mokrych jeszcze od wód porodowych.

Nagle o zmierzchu dały się słyszeć hałasy. Ktoś przedzierał się przez otaczającą farmę pokrzywy. Dwóch chłopców skradając się ostrożnie, zbliżało się do budynków. Obecność maciory zdenerwowała ich. Było to zrozumiałe. Ojej podstępach krążyło mnóstwo opowieści. Czy nie mówiła, gdy była wściekła? Czy nie stawała na tylnych racicach, różowa i władcza, domagając się przysłania nągich, małych chłopców, aby ją nasycić? Czy nie waliła racicami ze złością, gdy jedzenie, które jej przynosili było zbyt rozdrobnione? Tak, robiła te rzeczy.

I jeszcze o wiele gorsze.

Chłopcy zdawali sobie sprawę z tego, że i tym razem nie przynieśli tego, czego chciała. Na talerzu, który nieśli, nie leżało pożądane przez nią mięso. Nie było to słodkie, białe mięso, o które prosiła swym niesamowitym głosem. Mięso to mogłaby zdobyć, jeśliby zechciała, siłą. Dzisiaj nieśli jej stary bekon, który ukradli z kuchni. Mięso, którego naprawdę pragnęła, którym uwielbiała się delektować, było chronione. Trzeba było mieć specjalne chody u rzeźnika.

Mieli nadzieję, że maciora przyjmie ich prośby i lży i nie pożre ich w gniewie. Jeden z chłopców popuścił w spodnie, gdy dotarł do muru chlewa i maciora wyczuła jego obecność. Jej głos przybrał inny ton. Cieszyła się ich strachem. Zamiast kwiku wydawała z siebie groźniejszy dźwięk.

--Wiem. Wiem. Chodźcie, będziecie osądzeni -- powiedziała. -- Wiem. Wiem.

Obserwowała ich przez szpary w drzwiach. Oczy maciory błyszczały jak karbunkuly. Były jaśniejsze od światła gwiazd i lśniły pożądaniem.

Chłopcy klękli u wrót i złożyli ręce w niemej prośbie. Talerz, który przynieśli i trzymali przed sobą, nakryty był muślinem.

--Więc? -- powiedziała świnia. Chłopcy wyraźnie słyszeli głos. Jej głos wydobywający się ze świńskiego ryja.

Starszy z chłopców, Murzyn, powiedział cicho i z przestracaniem, zwracając się do lśniących oczu:

--Nie mamy tego, co chciałaś. Przepraszamy. Drugi z chłopców, ubrany w przyciasne spodnie, także wymamrotał przeprosiny:

--Złapiemy go dla ciebie. Złapiemy, naprawdę. Przyprawimy go do ciebie tak szybko, jak to będzie możliwe.

--Dlaczego nie dziś? -- zapytała świnia.

--Strzygą go.

--Nowy nauczyciel, pan Redman.

Wyglądało na to, że maciora wie o tym. Pamiętała dzisiejszą wizytę. Patrzył na nią, jakby była jakimś zoologicznym dziwactwem. W takim razie ten stary człowiek jest jej wrogiem. Dopadnie go, o tak.

Chłopcy wyczuli jej chęć zemsty. Wyraźnie im ulżyło, że uwaga świni został od nich odwrócona.

--Daj jej mięso -- powiedział czarny chłopak.

Chłopiec wstał i zdjął ściereczkę przykrywającą talerz. Bekon pachniał nieświeżo, jednak maciora pochrząkiwała z zadowoleniem. Może im przebaczy.

--Dalej, szybko.

Chłopiec wziął pierwszy plaster pomiędzy kciuk i palec wskazujący i podał świni. Maciora uniosła ryj i zjadła mięso, ukazując im żółte zęby. Połknęła kawałek błyskawicznie, potem drugi, trzeci, czwarty i piąty. Szósty i ostatni kawałek złapała razem z palcami chłopca, odgryzając je tak szybko, że dzieciak zdążył tylko wrzasnąć. Pogryzła je i połknęła. Chłopiec odsunął szybko rękę od muru chlewa i gapił się na kikut. "Mogło być gorzej" -- pomyślał. Stracił czubek kciuka i połowę palca wskazującego. Rany obficie krwawiły. Krew kapłała na koszulkę i buty. Maciora chrząknęła z zadowoleniem.

Chłopiec zaczął biec pojękując.

--Jutro -- powiedziała maciora do drugiego chłopaka -- nie życzę sobie tego podstarzałego świńskiego mięsa. Muszę zachować jasny kolor. Muszę być biała i... piękna. -- Pomyślała, że to świetny żart.

--Tak -- odpowiedział Murzyn. -- Tak, oczywiście.

--Bez wpadki -- rozkazała.

--Tak.

--Albo sama po niego przyjdę. Rozumiesz?

--Tak.

--Przyjdę po niego sama. Znajdę go, gdziekolwiek się skryje. Zjem go w łóżku, jeśli mi się tak spodoba. Gdy będzie spał, zjem mu stopy, potem nogi, jaja, biodra...

--Tak, tak.

--Chcę go -- powiedziała maciora, zgrzytając zębami. -- On jest mój.

--Henessey nie żyje? -- zapytał doktor Leverthal. Pochylała się nad biurkiem, pisząc jeden ze swych raportów. -- To kolejny wymysł. Raz chłopak mówi, że Henessey jest w Centrum, potem, że nie żyje. On po prostu nie potrafi powiedzieć prawdy.

Zakładając, że Lacey wierzył w duchy, obecność Henesseya w Centrum wcale nie zaprzeczala jego śmierci. Tej kobiecie nie da się jednak niczego wytłumaczyć. To bez sensu. Wiara w duchy jest głupotą, wynika z jakichś nieokreślonych strachów.

Natomiast w samobójstwo Henesseya Redman był w stanie uwierzyć. Zamierzał użyć tego argumentu.

--Wiec skąd Lacey wziął tę historię o śmierci Henesseya? To śmieszne sądzić, że ją

wymyślił. Wreszcie raczyła podnieść wzrok. Jej twarz była bez wyrazu.

--Bujna wyobraźnia nie jest tutaj niczym niezwykłym. Mogę panu zaprezentować fantazje, jakie nagrałam na taśmie. Niesamowita inwencja niektórych z nich na pewno pana zaszokuje.

--Czy były już tutaj przypadki samobójstw?

--Podczas moich rządów? -- Myślała przez chwilę z piórem uniesionym nad kartką. -- Dwie próby. Żadna, jak sądzę, nie była na serio. Wołali o pomoc.

--Czy Henessey próbował wcześniej? Pozwoliła sobie na odrobinę szyderstwa i potrząsnawszy głową, odparła:

--Henessey był nie zrównoważony, ale nie w tym sensie. Wydawało mu się, że będzie żył wiecznie. To było jego marzenie. Henessey, nietzscheański Übermensch. Miał w sobie pogardę dla tłumu. Kiedy się czymś zainteresował, potrafił być niezwykle użyteczny. Razem z nami, zwykłymi śmiertelnikami, którymi pogardzał, zajmował się tymi nieszczęśliwymi...

Wiedział, że zamierzała powiedzieć "świniami", jednak powstrzymała się w ostatniej chwili.

--... Tymi nieszczęśliwymi zwierzętami z farmy -- powiedziała, patrząc znowu na leżący na biurku raport.

--Dużo czasu spędzał na farmie?

--Nie więcej niż inni -- skłamała. -- Żaden z nich nie lubił tych obowiązków. Należy to jednak do programu naszych zajęć. Wyrzucanie gnoju nie należy do przyjemnych zajęć. Zapewniam pana.

Redman wiedział, że doktor Leverthal kłamie. Postanowił nie pytać o to /czego i tak był pewien/, czy Henessey zginął w chlewie. Wzruszył ramionami i zaczął z innej beczki.

--Czy Lacey dostaje jakieś lekarstwo?

--Tylko środki uspokajające.

--Czy zawsze po bójce podajecie im środki uspokajające?

--Tylko wtedy, gdy próbują uciekać. Nie mamy dość personelu, aby specjalnie nadzorować takich jak Lacey. Nie rozumiem, dlaczego pana to tak interesuje?

--Chcę, aby mi zaufał. Przynależem mu coś. Nie chcę, aby się na mnie zawiódł.

--Szczерze mówiąc, nie pojmuję, dlaczego pan go tak faworyzuje. Jest jednym z wielu. Zwyczajne problemy, żadnej szczególnej nadziei na zbawienie.

--Zbawienie? Użyła pani dziwnego słowa.

--Resocjalizację. Jakkolwiek by pan tego nie nazwał, panie Redman, będę szczera. Mamy odczucia, że pan nie gra z nami fair.

--Tak?

--Wydaje nam się, zarządcy również, że powinien pan pozwolić stosować nam metody, do których przywykliśmy. Niech pan nauczy się reguł gry, zanim zacznie pan się...

--Wtrącać. Przytaknęła.

--Tak samo dobre słowo, jak każde inne... Robi pan sobie wrogów.

--Dziękuję za ostrzeżenie.

--Ta praca jest dosyć trudna i bez wrogów, proszę mi wierzyć.

Pokój zarządcy był zamknięty. Licząc dzisiejszy dzień, ten stan trwał od tygodnia. Tłumaczono to różnie. Spotkanie z fundatorami, takie wyjaśnienie krążyło wśród personelu.

Sekretarka twierdziła, że nie wie, co się dzieje z szefem. Może jakieś seminaria na uniwersytecie, na które zwykł uczęszczać. Jeżeli pan Redman sobie życzy, to może zostawić wiadomość, pan zarządca na pewno ją otrzyma.

Lacey czekał na niego w pracowni. Było prawie piętnaście po siódmej. Lekcje się skończyły.

--Co tu robisz?

--Czekam, proszę pana.

--Na kogo?

--Na pana. Chciałbym panu dać list. Dla mojej mamy. Czy da jej go pan?

--Mogłeś go chyba wysłać normalnie, prawda? Daj go sekretarce, ona go wyśle. Wolno ci wysyłać dwa listy tygodniowo. Lacey opuścił wzrok.

--Oni czytają listy, proszę pana. Boją się, że napiszemy coś niewłaściwego. Jeśli coś takiego jest w liście, to go palą.

--Czy napisałeś coś takiego? Przytaknął.

--Co?

--O Kevinie. Napisałem jej wszystko o Kevinie, o tym, co mu się stało.

--Nie jestem pewien, czy to, co myślisz o sprawie Henesseya jest zgodne z prawdą.

Chłopiec wzruszył ramionami.

--To jest prawda, proszę pana -- powiedział cicho, straciwszy nagle zapal do przekonywania Redmana. -- To prawda. On tam jest. W niej.

--W kim? O czy ty mówisz?

Może Lacey wymyślił sobie to wszystko, jak sugerowała doktor Leverthal. Cierpliwość Redmana do chłopca miała swoje granice.

Ktoś zapukał do drzwi. W szybie pojawiła się krościata twarz indywiduum zwanego S łapę.

--Wejdz'!

--Pilny telefon do pana. W biurze sekretarki. Redman nienawidził telefonów. Niemila maszyna, nigdy nie jest zwiastunem dobrych wieści.

--Pilny? Od kogo?

Slape wzruszył ramionami i poskrobał się po twarzy.

--Zostań z Laceyem, dobrze? Slape nie był zbyt zachwycony.

--Tutaj, proszę pana? -- zapytał.

--Tutaj.

--Tak, proszę pana.

--Polegam na tobie, nie zawieź mnie!

--Nie zawiodę, proszę pana.

Redman obrócił się do Lacey 'a. Chłopiec miał łzy w oczach.

--Daj mi swój list. Zaniosę go do biura. Lacey sięgnął do kieszeni po kopertę. Wyciągnął ją niechętnie i podał Redmanowi.

--Powiedz: dziękuję.

--Dziękuję, proszę pana.

Korytarze opustoszały. Rozpoczął się wieczorny seans telewizyjny. Wszyscy będą siedzieli jak przyklejeni przed migocącym pudłem, które było głównym meblem w wypoczynkowym pokoju. Będą wgapiać się w papkę na temat wyczynów gliniarzy, sportowców i żołnierzy. Ich

usta będą otwarte, a mózgi zamknięte. W pełnej napięcia ciszy będą oczekiwali na jakiś kawałek, dotyczący przemocy lub seksu. Wtedy pokój wypełni się gwizdami, obscenicznymi uwagami i krzykami zachęty. Potem znowu zapadną w ponure milczenie, oczekując kolejnego pistoletu lub biustu.

Redman słyszał strzelaninę i muzykę dochodzącą z pokoju wypoczynkowego.

Biuro było otwarte. Sekretarka gdzieś wyszła. Być może poszła już do domu. Zegar wiszący w biurze wskazywał 8.19. Redman ustawił swój zegarek. Słuchawka leżała na widelkach. Ktokolwiek dzwonił do niego, zniecierpliwiał się długim oczekiwaniem i przerwał połączenie, nie pozostawiając wiadomości. Redman poczuł ulgę, że telefon nie był jednak tak bardzo pilny. Żałował trochę, że nie mógł sobie pogadać z kimś spoza Centrum. Czuł się jak Crusoe, który widzi w dali żagiel mijający jego wyspę. Śmieszne: nie był tu przecież więźniem. Mógł sobie pójść, gdziekolwiek chciał. Mógł odejść w każdej chwili i przestać być Robinsonem Crusoe. Zastanawiał się, czy zostawić na biurku list Lacey'a, jednak zrezygnował. Przysiękł chłopcu, że będzie bronił jego spraw i powinien tego przysiężenie dotrzymać. Jeżeli będzie trzeba, ujawni ten list.

Myśląc o wszystkim i o niczym, wracał powoli do pracowni. Nagle ogarnęło go nieokreślone uczucie niepokoju. Westchnął ciężko.

--Cholerne miejsce -- powiedział głośno. Miał na myśli nie ściany i podłogi, ale to, na co się składały. Wydawało mu się, że mógłby tu umrzeć i nikt by się tym specjalnie nie zainteresował. Idealizm był tutaj słabością, budził litość. Wszystko tu było złe, złe i...

Cisza.

Właśnie cisza zwróciła jego uwagę. Mimo, że telewizor nadal darł się w pokoju wypoczynkowym, to nie słychać było żadnego akompaniamentu. Nikt nie gwizdał i nie krzyczał.

Redman popędził korytarzem w kierunku sali telewizyjnej. W tej części budynku wolno było palić i wszędzie wałały się niedopalki papierosów. Telewizor ciągle grał: jakaś kobieta wyrzaskiwała czyjeś imię, mężczyzna odpowiedział, jego głos zagłuszył dźwięk strzelaniny. Dalszy ciąg historii zawisł w powietrzu.

Dopadł drzwi pokoju i prędko je otworzył.

--Padnij! -- powiedział do niego telewizor.

--On ma broń! Jeszcze jeden strzał.

Blondynka z dużym biustem dostała kulę w serce. Umarła na chodniku obok mężczyzny, którego kochała.

Nikt nie oglądał tego filmu. Pokój wypoczynkowy był pusty. Stare fotele i pomazane stoły otaczały telewizor. Publiczność najwyraźniej miała dziś wieczór lepsze zajęcie niż oglądanie telewizji. Redman precyzyjnie się między siedzeniami i wyłączył telewizor. Kiedy srebrny ekran zgasł i ucichła muzyka, Redman jeszcze wyraźniej zdał sobie sprawę z ponurego nastroju panującego w budynku. Nagle wyczuł czyjąś obecność za plecami.

--Kto to?

--Slape, proszę pana.

--Miałeś zostać z Laceyem.

--Musiał iść, proszę pana.

--Iść?

--Wybiegł, proszę pana. Nie mogłem go zatrzymać.

--Szlag by cię trafił. Co to znaczy, nie mogłeś go zatrzymać? -- Redman ruszył w kierunku drzwi. W połowie drogi potknął się o krzesło, które przewracając się, zadrapało linoleum.

Slape się wykrzywił.

--Przepraszam pana -- powiedział. -- Nie mogłem go złapać. Boli mnie noga. Rzeczywiście, Slape kulał.

--Dokąd poszedł?

Slape wzruszył ramionami.

--Nie wiem dokładnie, proszę pana.

--Lepiej sobie przypomnij.

--Nie ma potrzeby, aby pan się denerwował.

Słowo "pan" było wypowiedziane niedbale, stało się parodią szacunku. Redman miał ochotę uderzyć krościatego szczeniaka. Był od niego tylko w odległości kilku stóp. Slape stał w drzwiach.

--Zejdź mi z drogi, Slape.

--Naprawdę, proszę pana, nie może mu pan w niczym pomóc. On odszedł.

--Powiedziałem, zejdź mi z drogi.

Gdy zbliżył się do Slape'a, aby go odepchnąć, usłyszał ciche kliknięcie. Ten gnojek miał nóż sprężynowy i przyciskał go do brzucha Redmana. Czubek noża zadrasnął mu skórę.

--Nie ma po co iść za Laceyem, proszę pana.

--Co ty robisz na miłość Boską, Slape?

--Po prostu bawimy się -- wycedził chłopak przez szerniałe zęby. -- Nic się nikomu nie dzieje. Najlepiej niech pan da spokój.

Czubek noża zaczerwienił się krwią. Slape chciał go zabić, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Czymkolwiek była ta gra, Slape zamierzał się zabawić na własną rękę. Ta zabawa nazywała się zabijaniem nauczyciela. Morderca coraz mocniej naciskał nóż, wbijając go bardzo powoli w głąb ciała Redmana. Cienki z początku strumyczek krwi stawał się coraz obfitszy.

--Kevin lubił wpaść czasami i się zabawić -- powiedział Slape.

--Henessey?

--Tak. Lubisz mówić do nas po nazwisku, prawda? To bardziej męskie, nie? To znaczy, że nie jesteśmy dziećmi, lecz mężczyznami. Jednak widzi pan, Kevin nie jest jeszcze mężczyzną. Nigdy nie chciał być mężczyzną. W sumie, nienawidził myśli, że kiedyś będzie mężczyzną. Wiesz dlaczego? -- Nóż przebijał powoli mięśnie.

--Uważał, że kiedy stajesz się mężczyzną, zaczynasz umierać, a Kevin mówił, że nigdy nie umrze.

--Nigdy nie umrze?

--Nigdy.

--Chciałbym z nim porozmawiać.

--Każdy by chciał, proszę pana. On jest bardzo charyzmatyczny. To słowo, którego używa pani doktor charyzmatyczny.

--Chciałbym spotkać tego charyzmatycznego faceta.

--Niedługo.

--Teraz.

--Powiedziałem, że niedługo.

Redman złapał rękę nożownika za nadgarstek tak szybko, że Slape nie zdążył dokończyć swego dzieła. Być może Slape był naćpany i dlatego tak wolno reagował. Redman łatwo uzyskał nad nim przewagę. Drugą ręką Redman złapał Slape'a za chudą szyję i nacisnął palcem jabłko Adama. Morderca zakrzuszył się.

--Gdzie jest Hennessey? Zaprowadź mnie do niego! Slape patrzył na Redmana maślanym wzrokiem.

--Zaprowadź mnie do niego! -- krzyknął nauczyciel.

Morderca uderzył pięścią w ranę na brzuchu Redmana. Nauczyciel zaklął. Slape prawie wyślizgnął się z nagle osłabłego uścisku. Ten jednak uderzył go mocno kolaniem w krocze. Slape szarpnął się konwulsyjnie. Redman trzymał go mocno. Kolano uderzyło jeszcze raz, mocniej. I jeszcze raz. I jeszcze. Łzy spływały po twarzy chłopaka, torując sobie drogę między pokrywającymi ją parchami.

--Mogę ci zrobić o wiele większą krzywdę niż ty mnie -- powiedział Redman. -- Więc jeśli zamierzasz dalej się tak zabawiać, jestem gotów.

Slape potrząsnął głową, spazmatycznie łapał powietrze.

--Chcesz więcej?

Slape znów potrząsnął głową. Redman puścił go i popchnął na ścianę. Łkając z bólu, z wykrzywioną twarzą morderca osunął się na podłogę. Kolanami ścisnął ręce.

--Gdzie jest Lacey?

Slape zaczął się trząść. Mówił z trudnością.

--Jak myślisz? Kevin go ma.

--Gdzie jest Kevin?

Slape spojrział zaintrygowany na Redmana.

--Nie wiesz?

--Gdybym wiedział, to bym cię nie pytał.

Nagle Slape jęcząc, rzucił się do przodu. Redmanowi wydawało się, że chłopak po prostu się przewraca. Slape jednak chciał jeszcze raz spróbować zwyciężyć Redmana. W jego ręce pojawił się nóż, podniesiony z podłogi i mierzący teraz w krocze nauczyciela. Redman o włos uniknął ostrza. Młody morderca już zapomniiał o bólu. Stał przed nauczycielem, wymachując sprężynowcem.

--Zabiję cię, świnio -- wysyczał przez zęby Slape. -- Zabiję. Nagle szeroko otworzył usta i wrzasnął.

--Kevin! Kevin! Pomóż mi!

Jego ruchy były mało precyzyjne. Łzy spływały mu po twarzy. Potykał się wciąż, krążąc wokół swej ofiary.

Redman wybrał odpowiedni moment i potężnie kopnął go w kolano. Miał nadzieję, że było to to słabsze kolano. Trafił dobrze. Slape wrzasnął, zatoczył się i obróciwszy się uderzył twarzą o ścianę. Redman złapał chłopaka i przycisnął do niej. Było to już niepotrzebne. Slape nadział się na swój własny nóż. Próbował go wyciągnąć, ale znów oparł się o ścianę, wbijając ostrze jeszcze głębiej.

Był martwy, zanim osunął się na podłogę.

Redman przewrócił ciało na plecy. Nigdy nie mógł się oswoić z nagłością i nieodwracalnością śmierci. Człowiek odchodził tak szybko, nikiel jak obraz z wyłączonego

telewizora.

Panująca w budynku absolutna cisza była przytłaczająca. Rana Redmana nie była zbyt poważna. Krew spowodowała, że koszula stała się jakby bandażem i przykleiła się do rany, zamykając ją. Bolało to jednak nieźle. Mimo to, skaleczenie było teraz najmniejszym problemem. Redman musiał rozwikłać tajemnicę. Niestety, nie bardzo czuł się na siłach, aby tego dokonać. Był wyczerpany i zużyty. Czuł ciężką atmosferę panującą w budynku. Nie miał sił ani chęci pozostawać tu dłużej.

Nagle uwierzył w duchy.

Westybul oświetlała naga żarówka zwisająca z sufitu. Przy jej świetle Redman odczytał pognieciony list Lacey'a. Poplamiony list powiększył jeszcze panikę nauczyciela

Mamusiu!

Nakarmią mną świnie. Nie wierz im, gdy Ci powiedzą, że nigdy Ciebie nie kochałem albo jak Ci powiedzą, że uciekłem. To nieprawda. Nakarmią mną świnie. Kocham cię. Tommy.

Wepchnął list do kieszeni i wybiegłszy z budynku, ruszył przez pola. Na dworze było zupełnie ciemno, nie świeciły nawet gwiazdy. Powietrze było ciężkie i parne. Nawet za dnia miałby kłopoty z trafieniem na farmę, teraz wydawało mu się to niemal niemożliwe. Zgubił się. Wydawało mu się, że stoi gdzieś pomiędzy boiskiem a drzewami. Budynek był zbyt daleko, aby można go było zobaczyć, a wszystkie drzewa wydawały się identyczne. Nocne powietrze było stęchłe i nieruchome. Najłżejszy wiatr nie chłodził zmęczonego ciała Redmana. Wydawało się, że cały świat stał się nagle dusznym pokojem z namalowanymi na suficie chmurami.

Stał w ciemności. Krew pulsowała w skroniach. Próbował odzyskać orientację. Spojrzał w lewo, migotało tam jakieś światło. Wydawało mu się, że światło to dochodzi z budynków nie należących już do Centrum. Zgubił się kompletnie. To światło dochodziło z chlewa, promienie światła przeświecały przez szpary rozpadającego się ogrodzenia wybiegu dla kur. Stali tam jacyś ludzie i patrzyli na coś, czego Redman nie mógł dostrzec.

Ruszył w stronę chlewa. Nie miał pojęcia, co zrobi, gdy tam dojdzie. Jeżeli wszyscy są uzbrojeni i bezwzględni jak Slape, to nie będzie miał żadnych szans. Ta myśl wcale go nie przeraziła. Nie wiadomo dlaczego, ale perspektywa opuszczenia tego nędznego świata wydawała mu się kusząca. Umrzeć, odejść z tego świata.

Ale był jeszcze Lacey. W pewnym momencie, po rozmowie z doktor Leverthal, Redman sam zaczął się zastanawiać, dlaczego tak bardzo przejmuje się losem chłopca. Faktycznie, traktował Lacey'a wyjątkowo, lepiej niż innych. Czy czuł coś więcej do Thomasa Lacey'a? Nawet teraz, gdy niepewnie biegł w stronę światła, jedyną rzeczą, o której myślał, były ogromne, głębokie oczy chłopca.

Kilka postaci oderwało się od budynków farmy i odchodziło w ciemność. Widział je dzięki światłu padającemu z chlewa. Czy już wszystko się skończyło?

Skręcił w lewo, aby ominąć odchodzących obserwatorów. Szli w absolutnej ciszy. Nie rozmawiali, nie śmiali się. Nieodparcie kojarzyli się z rozchodzącym się konduktem pogrzebowym. Szli ogarnięci zadumą i szacunkiem.

Dotarł do wybiegu dla kur. Na szczęście udało mu się uniknąć bezpośredniego spotkania z idącymi. Dookoła chlewa ciągle kręciło się jeszcze kilka postaci. Przy ścianie obory stało mnóstwo, całe setki świeczek. Paliły się spokojnie w nieruchomym powietrzu, oświetlając ścianę i twarze tych, którzy ciągle jeszcze wgapiali się w tajemnicze wnętrza chlewu. Była tu

również doktor Leverthal i strażnik, który pierwszego dnia zajął się Laceyem po bójce. Dookoła kręciło się kilku chłopców, których twarze Redman rozpoznał. Nie potrafił jednak przypomnieć sobie nazwisk.

Nagle z chlewa dobiegł dźwięk świńskich racic deptających siano. Ktoś coś mówił, jednak Redman nie potrafił się zorientować, kto. Jakiś młody, wesóły głos. Kiedy głos zamilkł, strażnik i jeden z chłopców szybko ruszyli w ciemność, jakby dostali pozwolenie na oddalenie się. Redman podczołgał się odrobinę bliżej. Zbliżał się decydujący moment. Wkrótce odkryją zwłoki Slape'a w głównym budynku i podniosą alarm. Musi teraz odnaleźć Lacey'a, jeżeli jeszcze w ogóle jest kogo szukać.

Doktor Leverthal pierwsza go zobaczyła. Odwróciła oczy od chlewa i pozdrowiła go kiwnięciem głowy, wcale nie zdziwiona jego pojawieniem się. Zachowywała się tak, jakby spodziewała się nadejścia Redmana, tak jakby wszystkie drogi prowadziły do śmierdzącej ekskrementami farmy. Całkiem możliwe, że naprawdę w to wierzyła. Nawet Redman prawie w to uwierzył.

--Leverthal -- powiedział.

Uśmiechnęła się do niego otwarcie. Chłopcy stojący obok, niej podnieśli głowy i też się uśmiechnęli.

--Czy ty jesteś Henessey? -- zapytał, patrząc na jednego z nich. Młodzieniec i doktor Leverthal roześmiali się.

--Nie -- odparła. -- Nie. Nie. Nie. Henessey jest tam.

Wskazała chlew.

Redman poszedł do chlewa. Bał się, że zobaczy tam świnie nad zakrwawionym ciałem Lacey'a. Jednak chłopca nie było w chlewie. Zobaczył tylko maciorę, wielką i dostojną jak zawsze. Stała między własnymi odchodami. Jej wielkie, zabawne uszy dyndały obok ślepiów.

--Gdzie jest Henessey? -- zapytał Redman, napotkawszy wzrok świni.

--Tutaj -- odparł chłopak.

--To przecież świnia.

--Ona go zjadła -- odparł młodzieniec, ciągle się uśmiechając. Najwyraźniej uważał całą sytuację za zabawną. -- Zjadła go i teraz on mówi z jej wnętrza.

Redmanowi zachciało się śmiać. W porównaniu z tym, co usłyszał, duchy Lacey'a wydawały się dziecinną zabawką. Chcieli mu wmówić, że Henessey wcielił się w świnie.

--Henessey się powiesił, tak jak powiedział Tommy? Doktor Leverthal przytaknęła.

--W chlewie?

Kolejne przytaknięcie.

Nagle wyobraził sobie całą tę sytuację. Wyobraził sobie, jak świnia zbliża się do wiszącego ciała Henesseya, wacha jego stopy i wyczuwając zapach śmierci, zaczyna się pożądlawie ślinić. Wyobrażał sobie, jak najpierw oblizuje gnijące ciało, potem delikatnie obgryza, aby wreszcie je pożreć. Nietrudno było pojąć, dlaczego chłopcy oddawali niemal boską cześć zwierzęciu, które było sprawcą tego obrzydlistwa. Świeca, hołdy, hymny, zamierzona ofiara z Lacey'a. To wszystko dowodziło choroby, nie było jednak wcale bardziej niezwykle niż tysiące innych przypadków. Rozumiał także rezygnację i brak woli walki Lacey'a.

"Mamo, nakarmią mną świnie".

Nie: mamo, ratuj mnie! Pomóż mi! Po prostu: nakarmią mną świnie.

Oni byli dziećmi, wielu z nich nigdy nie chodziło do szkoły, niektórzy z chłopców byli właściwie niedorozwinięci, łatwo było na nich wpłynąć. Nie potrafił jednak zrozumieć doktor Leverthal. Znow zagałdała do chlewa. Redman zauważył, że ma rozpuszczone włosy, które w świetle świec nabrały miodowego koloru.

--Ta świnia według mnie wygląda zupełnie zwyczajnie -odezwał się.

--Mówi jego głosem -- odparła cicho doktor Leverthal. -- Mówi, używając jego języka.

Zaraz go usłyszysz. Mojego drogiego chłopca.

Wreszcie zrozumiał.

--Pani i Henessey...?

--Niech się pan tak nie dziwi -- odrzekła. -- Miał osiemnaście lat i ciemniejsze włosy niż ktokolwiek, kogo spotkałam w życiu. I kochał mnie.

--Dlaczego się powiesił?

--Aby żyć wiecznie -- odpowiedziała.

--I nigdy nie być mężczyzną.

--Nie mogliśmy go znaleźć przez sześć dni -- wtrącił jeden z chłopców, szepcząc Redmanowi do ucha. -- 1 nawet wtedy nie pozwoliła się nikomu zbliżyć do jego ciała. Chciała go mieć dla siebie. Świnia, znaczy. Nie pani doktor. Pan rozumie, wszyscy kochali Kevina -- szeptał poufale. -- On był piękny.

--A gdzie jest Lacey?

Uśmiech spelzł z twarzy doktor Leverthal.

--Z Kevinem -- odparł chłopak. -- Jest tam, gdzie życzył sobie Kevin.

Wskazał na wnętrze chlewa. Na słomie w głębi leżało nieruchome ciało.

--Jeżeli chce go pan wyciągnąć, to musi pan tam wejść -kontynuował. W chwilę później podskoczył do Redmana i złapał go za szyję z siłą imadła.

Świnia zareagowała na ruch. Zaczęła przeżuwać słomę, błyskając białkami oczu.

Redman jedną ręką próbował rozluźnić uścisk chłopca, jednocześnie łokciem drugiej próbował walnąć go w brzuch. Chłopak cofnął się, klnąc i dysząc ciężko. Zamiast niego, Redmana zaatakowała doktor Leverthal.

--Idź do niego -- wrzeszczała, szarpiąc nauczyciela za włosy. -- Idź do niego, jeśli go szukasz!

Długimi paznokciami rozorała Redmanowi nos i skroń, o milimetry mijając oko.

--Zostaw mnie! -- krzyknął. Starał się strząsnąć z siebie szalejącą kobietę, Leverthal jednak trzymała go mocno, próbując uderzyć jego głową o mur.

Wszystko działo się z przerażającą prędkością. Długie włosy walczącej kobiety zbliżyły się do płomienia świecy i zapaliły się. Płomień objął je szybko. Leverthal wrzasnęła przeraźliwie i potknąwszy się, uderzyła we wrota od chlewu. Pod wpływem ciężaru jej ciała wrota otworzyły się i płonąca kobieta wpadła do środka, przewracając się na kupę słomy. Redman był bezradny. Płomienie buchnęły radośnie i pobiegły błyskawicznie w stronę maciory, otaczając ją ze wszystkich stron.

Nawet teraz, wobec zagrożenia życia, świnia była tylko świnią. Nie było żadnych cudów, żadnego mówienia, błagania, posługiwania się ludzkim językiem. Zwierzę przerażone patrzyło na otaczające je płomienie, które zaczynały już lizać jego tłuste boki. Powietrze wypełnił odór palącego się mięsa. Płomienie rozpełzły się już po cielsku maciory, opalając włosy na jej łbie i

piersiach. Jej głos był głosem świni, skargi były świńskimi skargami. Maciora kwiczała rozpaczliwie. Ruszyła wreszcie w stronę wrót, tratując po drodze doktor Leverthal.

Płonąca, biegnąca ślepo przez pole, oszalala z bólu świnia była niesamowitym widokiem w ciemnościach nocy. Mimo, że zwierzę się oddalało, jego kwik nie cichł. Wydawało się, że głos odbija się od niewidzialnych ścian i wraca zwielokrotnionym echem.

Redman przestąpił płonące ciało kobiety i wszedł do chlewa. Cała słoma spłonęła. Ogień posuwał się w stronę drzwi. Przymknął oczy, aby je uchronić od gryzącego dymu i ruszył w głąb.

Lacey leżał tak jak go pozostawiono, plecami do drzwi. Redman obrócił chłopca. Jeszcze żył. Był przytomny. Twarz była mokra od łez. Oczy rozmiarem mogły konkurować ze spodkami.

--Wstań! -- powiedział Redman, pochylając się nad nim.

Lacey leżał sztywno. Redman rozdzielił jego zaciśnięte ręce. Przemawiając do chłopca, delikatnie zaczął go podnosić. Dym zgęstniał.

--No wstawaj, już wszystko w porządku. Wstawaj!

Redman podniósł się i stanął prosto. Poczul coś we włosach. Na jego głowę spadały dziesiątki robaków. Nauczyciel spojrział w górę i zobaczył Henesseya, albo raczej to, co z niego zostało. Ciało nadal wisiało na sznurze, który przywiązany był do belki podpierającej dach budynku. Nie sposób było odróżnić rysów twarzy, która zamieniła się w zgniłą papkę. Ciało było odarte z ubrania i pogryzione. Wnętrznosci wisiały z rozprutego brzucha. Zamieniły się w gniazda dla robactwa.

Dym na szczęście przytłumił smród rozkładającego się ciała. Potworne obrzydzenie dodało Redmanowi sił. Złapał Lacey'a i pchnął w stronę drzwi, chcąc go uwolnić od potworności tego miejsca.

Płomienie już nieco przygasły, jednak blask pożaru, światło świec i płonącego ciała nadal rozpraszało mrok nocy.

--Chodź chłopcze -- rzekł Redman i przeniósł chłopca nad płomieniami. Oczy Lacey'a były nienaturalnie duże i błyszczące. Były bezradne. Przeskoczywszy ciało doktor Leverthal podeszli do wrót i ruszyli przez ciemne pola otaczające farmę. Wyglądało na to, że chłopiec uspokoja się z każdym oddalającym ich od farmy krokiem. Za ich plecami chlew właśnie przechodził do historii. Noc nadal była ciemna i nieprzenikniona.

Redman starał się nie myśleć o świni. Z pewnością jest już martwa. Nagle jednak usłyszeli za sobą hałas. Coś wielkiego podążało za nimi, stale utrzymując tę samą odległość. Szedł za nimi ktoś ostrożny, ale bezwzględny. Chwycił rękę Lacey'a i zwiększył tempo. Ziemia pod ich stopami zaczęła przesuwac się szybciej. Lacey zaczął coś pomrukiwać. Nie wymawiał słów, ale wydawał z siebie dźwięki, a to już było coś. To był dobry znak i Redman ucieszył się. Chyba uda się uspokoić chłopca i przywrócić go światu. Bez przeszkód dotarli do budynku. Korytarze były tak samo puste jak przed godziną. Może jeszcze nikt nie znalazł ciała Slape'a. To całkiem możliwe. Chłopcy nie mieli raczej nastroju do oglądania TV. Może wrócili do swoich sal i zasnęli.

Należało znaleźć telefon i zadzwonić na policję.

Mężczyzna i chłopiec szli ramię w ramię do biura zarządcy. Lacey znów ucichł, jednak wydawało się, że jego strach już nie był tak obezwładniający. Redman sądził, że chłopiec

niedługo powinien dojść do siebie. Lacey głośno pociągał nosem. Jego uścisk na ręce Redmana nieco osłabł, a w chwilę potem zupełnie się rozluźnił.

Nagle przed nimi pojawił się ciemny odcinek korytarza. Najwyraźniej ktoś ostatnio stłukł żarówkę. Ciągle jeszcze jej resztki kołysały się na kablu, migocąc w blasku wpadającym przez okno.

--Chodź. Nie ma się czego bać. Chodź.

Lacey raptownie wyszarpnął rękę z dłoni Redmana. Zrobił to tak szybko, że nauczyciel nie zdążył zareagować. Chłopiec uciekał w stronę przeciwną niż biuro zarządcy.

Nieważne. Nie ucieknie daleko. Redman cieszył się, że są w budynku, a nie na otwartej przestrzeni.

Redman przebrnął przez ciemną część korytarza. Nic się nie stało. Ktokolwiek zbil tę żarówkę zachowywał się bardzo cicho. Wszedł do pokoju sekretarki. Telefon był także rozbity. Właściwie nie rozbity, a bardzo skrupulatnie zmiażdżony. Nauczyciel ruszył w kierunku pokoju szefa. Tam musiał być telefon. Wandale go tak łatwo nie powstrzymają. Oczywiście drzwi były zamknięte, co wcale Redmana nie zaskoczyło. Rozbił łokciem matową szybę w drzwiach i sięgnął do środka. Nie było klucza.

"Do diabła z tym" -- pomyślał i napał ramieniem na przeszkodę. Drzewo było twarde i mocne, zamek również. Zanim udało się mu wyważyć drzwi i dostać do pokoju, minęło sporo czasu. Rana na brzuchu na powrót się otworzyła.

Na podłodze wałało się mnóstwo siana. Smród panujący w pokoju był tak okropny, że zaduch chlewa był w porównaniu z nim słodki. Zarządca leżał na biurku. Miał wyrwane serce.

--Świnia -- powiedział Redman. -- Świnia. Świnia -- wciąż to powtarzał, sięgając po telefon.

Dźwięk. Obrócił się i otrzymał potężne uderzenie w twarz. Kość policzkowa i nos pękły. Pokój zawirował i znikł.

Korytarz znów był jasny. Setki świec oświetlały każdy jego zakamarek. Obraz przed oczyma Redmana był zamazany i niewyraźny. Być może była to tylko jedna świeca, powielona przez jego rozregulowane zmysły. Nie mógł być tego pewien. Stał na środku korytarza, nie bardzo rozumiejąc, jakim cudem w ogóle jest w stanie utrzymać się na nogach. Przecież w ogóle nie czuł nóg. Nie widział ludzi stojących ze świecami, ale słyszał ich rozmowy. Nie, właściwie nie rozmowy. To nie były słowa. To były jakieś bezsensowne mamrotania i bulgotania. W chwilę potem usłyszał pochrząkiwanie i słaby, astmatyczny oddech maciory; zobaczył ją przed sobą w migotliwym świetle świec. Nie była już piękna. Miała okopcone boki, jej piękne oczy zostały wypalone, a ryj był niemilosiernie poparzony. Utykając, powoli zbliżała się do Redmana. Dostrzegł teraz, że na świni ktoś siedzi okrakiem. To był Tommy Lacey, nagi jak go Pan Bóg stworzył. Jego ciało było różowe i pozbawione włosów jak ciało prosięcia. Twarz Tommy'ego wyprana była z wszelkich uczuć. Jego oczy były teraz oczami świni.

Ujeżdżał maciorę, trzymając ją za uszy. Odgłosy spazmatycznego oddechu wydobywały się z ust Lacey'a, a nie maciory. Był teraz jej ustami.

Redman szybko powiedział jego imię. Nie Lacey, powiedział Tommy. Wyglądało na to, że chłopiec nie usłyszał. Nagle Redman zrozumiał dlaczego mógł stad. Dookoła szyi zawiązano mu sznur. Pętla zacisnęła się mocniej, został podniesiony w powietrze.

Nie ból, lecz o wiele gorszy od niego, obezwładniający strach spowodował, że przestał walczyć. Podał się.

Pod nim, chłopiec i świnia dotarli do swego celu i zatrzymali się pod jego dyndającymi stopami. Chłopiec zszedł z grzbietu świni i ciągle chrząkając, przykucnął u jej boku. Gasnącymi oczyma Redman widział nagie, bezwłose plecy chłopca. Zobaczył także sterczący spomiędzy pośladków chłopca postrzępiony sznur, który miał symbolizować świński ogon.

Maciora podniosła pozbawiony oczu łeb. Redmanowi sprawiła przyjemność myśl, że maciora cierpi i cierpieć będzie, aż do śmierci. Niemal zapomniał o swej własnej sytuacji, delektując się cierpieniem zwierzęcia. Ryj świni otworzył się i stwór przemówił. Redman nie rozumiał w jaki sposób zwierzę wydobywa z siebie słowa, faktem jest, że jednak mówiło. Mówiło chłopięcym głosem.

--To są terytoria bestii -- powiedział stwór -- zjedz i bądź zjedzony.

Maciora się uśmiechnęła. Mimo odrętwienia Redman poczuł nagle gwałtowny ból; Lacey odgryzł pierwszy kawałek jego stopy. Po chwili chłopiec wspiął się wyżej, aby złożyć zbawienną ofiarę z życia Redmana.

SEKS, ŚMIERĆ I ŚWIATŁOGWIAZD

Diana głaskała kilkudniowy zarost pokrywający brodę Terry'ego.-Uwielbiam to -- powiedziała -- nawet te kłujące, szare włoski.

Uwielbiała wszystko, gdy spełniał jej życzenia.

Uwielbiała, gdy ją całował.

Uwielbiała, gdy ją rozbierał.

Uwielbiała, uwielbiała, uwielbiała, gdy ściągał swe slipki.

Rzuciła się na niego z tak niepohamowanym entuzjazmem, że mógł tylko patrzeć na jej popielatoblond włosy przykrywające jego genitalia i mieć nadzieję, że nikt ich nie zaskoczy w tej sytuacji. Była przecież mężatką. On także gdzieś miał żonę. Takie tete-a-tete ktoś mógł sfotografować i byłby problem. Terry starał się wyrobić sobie reputację solidnego reżysera. Bez plotek i złośliwych uwag. Chciał uchodzić za pochłoniętego wyłącznie sztuką.

Jednak w końcu nawet myśli o karierze rozplywały się w rozkoszy dawanej mu przez Dianę, delikatnie pieszcząca go językiem. Nie była najlepszą' aktorką, ale na Boga, jakąż wspaniałą była kochanką. Bezbłędna technika, wszystko we właściwym momencie, wiedziała /instynktownie lub z doświadczenia/ kiedy nasilić działanie, a kiedy doprowadzić zabawę do satysfakcjonującego finału.

Kiedy skończyła, miał ochotę bić brawo.

Cała obsada "Wieczoru Trzech Króli" reżyserowanego przez Callowaya wiedziała o tym, co go łączy z Dianą. Złośliwie komentowano każde ich spóźnienie na próbę. Podobną reakcję wywoływały jego wypieki lub jej widoczne zadowolenie. Starał się wytłumaczyć Dianie, że nie powinna za nim wodzić tym kociakowatym i powłóczystym spojrzeniem, jednak ona nie potrafiła dostatecznie dobrze udawać obojętności. Chociaż, wzięwszy pod uwagę jej zawód, powinna posiadać tę umiejętność.

Jednak La Duval, jak nazwał ją Edward, nie musiała być wielką aktorką, dość, że była sławna. Cóż z tego, że klepie Szekspira, jakby to była wyliczanka: tramta, tramta, tramta, tramta? Cóż z tego, że jej życie wewnętrzne było raczej ubogie, logika zawodowa, zachowanie często nieodpowiednie? Cóż z tego, że jej brak wyczucia poezji mógł jedynie konkurować z jej brakiem przyzwoitości? Była gwiazdą, a to oznaczało pieniądze.

Nie można było zaprzeczyć, że jej nazwisko przynosiło pieniądze. Teatr "Elysium" zapowiedział jej występ wysokimi na trzy cale, czarnymi literami na żółtym tle.

"Diana Duval, gwiazda z "Ukochanego dziecka".

"Ukochane dziecko"... Prawdopodobnie najgorsza mydlana opera jaka kiedykolwiek pojawiła się na ekranach telewizorów. Dwie godziny tygodniowo ciągnących się w nieskończoność martwych dialogów papierowych postaci spowodowały, że grający tam aktorzy stali się gwiazdami niemal z dnia na dzień.

Największą i najjaśniej świecąca gwiazdą została Diana Duval.

Może ona nie była stworzona do grania klasyków, ale dzięki niej można było zrobić pieniądze. W dzisiejszych, ciężkich dla teatru czasach liczyła się tylko liczba wyprzedanych miejsc.

Calloway nie wierzył z początku w sukces "Nocy Trzech Króli". Jednak teraz, z Dianą w roli Violi szansę na sukces zdecydowanie wzrosły. Miał nadzieję, że udane przedstawienie otworzy mu parę drzwi w West Endzie. Poza tym praca 'ś zalotną i pożądaną panną D. Duval

miała swe plusy.

Calloway ściągnął beżowy sweter i spojrzał na Dianę. Uśmiechała się do niego kusząco. Tego samego uśmiechu używała na scenie. Wyraz twarzy numer pięć; coś pośredniego między uśmiechem matki i dziewicy.

Użył jednego ze swoich standardowych uśmiechów. Skromny, pełen miłości uśmiech wyglądał prawdziwie, gdy widziało się go z odległości nie mniejszej niż jard. Spojrzał na zegarek.

--Boże, jesteśmy spóźnieni, kochanie.

Oblizła wargi. Czy naprawdę tak bardzo jej to smakowało?

--Lepiej się uczeszę -- odparła. Wstała i przejrzała się w dużym lustrze, wiszącym obok kabiny z prysznicem.

--Tak.

--Dobrze było?

--Nie mogło być lepiej -- odpowiedział. Pocałował ją delikatnie w nos i wyszedł.

Wpadł na moment do męskiej garderoby, aby poprawić na sobie ubranie i ochłodzić pod kranem rozpaloną twarz. Po chwilach spędzonych z kobietą Calloway zawsze miał na twarzy czerwone plamy. Ochlapał wodą twarz i przyglądał się sobie krytycznie w lustrze wiszącym nad umywalką. Trzydzieści sześć lat użerania się na tym świecie pozostawiły na twarzy piętno zmęczenia. Przestawał być młodzieńcem. Pod oczami miał worki, które nie miały nic wspólnego z brakiem snu. Twarz przecinały dwie pionowe bruzdy. Kiedyś był uważany za cudowne dziecko, jednak te czasy minęły już bezpowrotnie. Różne drobne świństwa i nieuczciwości, które popełnił w życiu, wycisnęły na jego twarzy swe piętno. Seks, pijaństwo, chorobliwa ambicja i rozczarowania wynikłe z niepowodzeń.

"Jak wyglądałaby moja twarz, gdybym był zwykłym, szarym człowiekiem pracującym z dnia na dzień?" -- pomyślał gorzko.

Prawdopodobnie skóra na twarzy byłaby delikatna jak pupcia niemowlęcia. Większość ludzi pracujących w teatrze miała takie twarze. Bezmyślni i zadowoleni, jak krowy.

--Cóż, wybierasz i płacisz -- powiedział do swego odbicia w lustrze. Jeszcze raz rzucił okiem na twarz podniszczonego aniołka. Mimo wszystko, kobiety nadal nie potrafiły mu się oprzeć. Wyszedł z garderoby stawić czoło trudnościom wynikającym z narodzin aktu III.

Na scenie trwała gorąca dyskusja. Stolarz imieniem Jake, postawił dwa żywopłoty w ogrodzie Olivii. Biegły one przez scenę do znajdującej się w głębi planszy, na której miała być wkrótce namalowana reszta ogrodu. Żadnych symboli. Ogród był ogrodem: zielona trawa, niebieskie niebo. Publiczności się to podobało. Terry rozumiał ich nieskomplikowane gusty.

--Terry, kochany. -- Eddie Cunningham złapał go za ramię i pociągnął w stronę sprzecających się osób.

--O co chodzi?

--Terry, drogi, chyba nie zamierzasz tak zostawić tych pieprzonych /dziwnie akcentował to słowo: pieprzonych/ żywopłotów? Powiedz wujkowi Eddiemu, zanim go szlag trafi, że nie zamierzasz tego tak zostawić. -- Eddie wskazał oskarżycielsko na żywopłoty. -- Spójrz na nie. -- Miał przykry sposób mówienia; drobinki śliny wylatywały w powietrze.

--O co chodzi? -- Terry ponowił pytanie.

--O co? Blokują, kochany, blokują. Pomyśl tylko. Ćwiczmy całą tę scenę, ja latam jak kot

z pęcherzem w tą i z powrotem, w prawo, w lewo. Nie mogę tego robić, gdy nie mam dość miejsca za plecami.

--Popatrz! Te pieprzone żywopłoty dochodzą aż do końca tła!

--Tak musi być. Chcemy stworzyć wrażenie perspektywy, Eddie.

--Jednak ja nie mogę się tu poruszać, Terry. Musisz mnie zrozumieć.

Szukając poparcia, odwrócił się do obserwujących całą scenę stolarzy, dwóch techników i trzech aktorów.

--Eddie, odsuniemy to.

--Och.

Nagle zabrakło mu wiatru w żaglach.

--Nie?

--Uhm.

--Wydaje mi się, że tak będzie łatwiej, prawda?

--Tak... Ja po prostu...

--Wiem.

--Dobrze. Jak trzeba to trzeba. A co z krykietem?

--Także to wytniemy.

--Cały interes z kijami do krykieta? I te wszystkie sprośności?

--To musi pójść. Przepraszam, ale jeszcze tego nie przemyślałem. Nie było to dla mnie takie proste. Eddie zawahał się.

--To zawsze było dla ciebie proste, kochany...

Chichoty. Terry nie zwrócił na nie uwagi. Eddie miał rację. Terry nie wziął pod uwagę tych żywopłotów.

--Bardzo mi przykro, nie możemy jednak tego zmienić.

--Jestem pewien, że nikomu innemu nie będziesz robił problemów -- powiedział Eddie.

Przez ramię Callowaya spojrział na zbliżającą się Dianę, po czym ruszył w stronę garderoby. Był wyraźnie wściekły. Terry nie próbował go zatrzymać. To mogłoby jeszcze bardziej go rozdrażnić.

--O, Jezu -- westchnął cicho i przesunął ręką po twarzy. Największą wadą jego zawodu była konieczność obcowania z aktorami.

--Czy ktoś go przyprowadzi z powrotem? -- zapytał. Cisza.

--Gdzie jest Ryan?

Asystent reżysera wychylił zza żywopłotu swą twarz okularnika.

--Tak?

--Ryan, mój drogi, czy mógłbyś wziąć filiżankę kawy, pójść do Eddiego i sprowadzić go na powrót na łono rodziny?

Wyraz twarzy Ryana mówił jasno, że po Eddiego powinien pójść ten, kto go obraził. Jednak Calloway zdawał się tego nie widzieć; był w tym specjalistą. Po prostu patrzył na Ryana niewinnym wzrokiem, aż ten opuścił oczy i przytaknął.

--Jasne -- rzekł ponuro.

--Fajny z ciebie facet.

Ryan spojrział na niego oskarżycielsko i ruszył w pogoń za Eddem Cunninghamem.

--Żadnej zabawy bez Belcha -- powiedział Calloway, starając się rozładować atmosferę.

Ktoś chrząknął i krąg gapiów zaczął się rozpraszać. Przedstawienie było skończone.

--OK, OK -- rzekł Calloway, starając się powrócić do rutyny teatralnej. -- Do roboty.

Zaczynamy od początku. Diana, jesteś gotowa?

--Tak.

--OK. Zaczynamy?

Odwrócił się tyłem do ogrodu Olivii. Czekający aktorzy zaczęli gromadzić się na scenie. Palily się tylko światła oświetlające scenę, widownia tonęła w ciemnościach. Rzędy pustych krzeseł wydawały się być znudzone tym, co działo się przed nimi. Niemal domagały się tego, aby w jakiś sposób je zabawiono i rozruszано. Ta przekłeta samotność reżysera. Zdarzały się dni, gdy wydawało mu się, że życie księgowego jest prawdziwym spełnieniem.

Coś poruszyło się w ostatnim rzędzie. Calloway oderwał się od swych myśli i spojrzal w ciemność. Czy to Eddie siedzi na końcu widowni? Nie, na pewno nie. Terry nie miał czasu, aby to sprawdzić.

--Eddie? -- zaryzykował Calloway, osłaniając dłonią oczy przed blaskiem reflektorów. -- Czy to ty?

Widział jakąś postać. Nie, nie postać, postacie. Dojrzał dwie osoby, idące między ostatnimi rzędami w stronę wyjścia. Nie był to z pewnością Eddie.

--To nie Eddie, prawda? -- zapytał Calloway, odwracając się w stronę sztucznego ogrodu.

--Nie -- odpowiedział ktoś.

To mówił Eddie. Stał na tyłach sceny i opierał się o jeden z żywoplotów. Palil papierosa.

--Eddie...

--W porządku -- odpowiedział pogodnie aktor -- nie podlizuj się. Nie znoszę widoku podlizujących się przystojnych mężczyzn.

--Zobaczmy, czy damy radę wsadzić gdzieś ten interes z krykietem -- rzekł Calloway pojednawczo. Eddie potrząsnął głową i strzepnął popiół z papierosa.

--Nie trzeba.

--Naprawdę...

--I tak nie wyjdzie dobrze.

Drzwi wejściowe zaskrzypiały, gdy zamykali je tajemniczy goście. Calloway nie zawracał sobie głowy rozglądaniem się. Kimkolwiek byli, już sobie poszli.

--Ktoś tu był dziś po południu...

Hammersmith podniósł wzrok znad papierosów, nad którymi ślęczał.

--Tak? -- Jego krzaczaste brwi składały się z grubych jak drut włosów. Zarastały pół czoła nad maleńkimi oczami. Były tak dziwne, że wydawały się sztuczne. Hammersmith skubnął wargę brązowymi od nikotyny palcami.

--Wiadomo, kto to był?

Nadal skubał wargę i patrzył na młodszego mężczyznę z widocznym lekceważeniem.

--Czy to komuś przeszkadza?

--Po prostu chciałbym wiedzieć, kto oglądał próbę, to wszystko. Mam prawo pytać.

--Prawo -- powiedział Hammersmith, niedbale potakując i nadal miętosił wargi.

--Mówiono coś o tym, że ma przyjść ktoś z Narodowego -- powiedział Calloway. -- Moi agenci mieli coś takiego zaaranżować. Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek przychodził na próby bez mojej wiedzy. Szczególnie, gdy to jest ktoś ważny.

Hammersmith znowu wlepił wzrok w papiery.

--Terry -- rzekł zmęczonym głosem -jeżeli przyjdzie ktoś z South Bank, aby cię sprawdzić, będziesz pierwszym, który się o tym dowie. W porządku?

Odpowiedź była naturalnie prosta. Został skarcony jak mały chłopiec. Terry miał ochotę uderzyć Hammersmitha.

--Nie chcę, aby ktokolwiek oglądał próby bez mojego pozwolenia, Hammersmith. Słyszysz? I chcę wiedzieć, kto był dzisiaj na widowni.

Dyrektor westchnął ciężko.

--Uwierz mi, Terry -- rzekł -- nie wiem. Proponuję, abyś zapytał Tallulah, ona miała dzisiaj dyżur w portierni. Przypuszczalnie widziała tego, kto wchodził.

--Już dobrze... Terry?

Calloway dał spokój. Żywił podejrzenie wobec Hammersmitha, który miał w dupie teatr i zawsze to podkreślał. Od razu przybierał cierpiący i wyczerpany wyraz twarzy, gdy tylko rozmowa nie dotyczyła pieniędzy. Wyższe wartości dla niego nie istniały. Aktorów i reżyserów określał dobitnie wymawianym słowem: motyle. Poświęcał im tyle uwagi, co muszkom jednodniówkom. W świecie Hammersmitha Uczyły się tylko pieniądze. Teatr "Elysium" był istotny tylko wtedy, gdy można było ciągnąć z niego jakieś zyski. W jego prowadzeniu Hammersmith kierował się wyłącznie interesem.

Calloway był pewien, że Hammersmith sprzedałby teatr natychmiast, gdyby tylko otrzymał opłacalną ofertę. Podrzędne miasto jakim było Redditch, nie potrzebowało teatrów. Tutaj budowano biura, supermarkety, magazyny. Członkowie rady miasta przyczynili się do jego rozwoju poprzez inwestowanie w przemysł. Ten przemysł potrzebował zaplecza. Zwykła, nikomu niepotrzebna sztuka teatralna nie mogła przeżyć wobec takiego pragmatyzmu.

Tallulah nie było w portierni ani we foyer, ani w oranżerii. Zirytowany arogancją Hammersmitha i nieobecnością Tallulah, Calloway wrócił na widownię, aby wziąć swój płaszcz. Zamierzał pójść się napić. Próba się skończyła i aktorzy dawno już poszli. Z ostatnich rzędów widowni żywoplot wydawał się mały. Może trzeba go będzie trochę powiększyć. Zanotował to na odwrocie biletu, który znalazł w kieszeni: "większy żywoplot."

Usłyszał kroki i podniósł głowę. Ktoś cicho wszedł na scenę, był w miejscu, gdzie zbiegały się obie odnogi żywoplotu. Calloway nie mógł poznać, kto to.

--Pan Calloway? Pan Terence Calloway?

--Tak.

Gość podszedł do krawędzi sceny, gdzie kiedyś znajdowały się oświetlające ją lampy i stanął, patrząc na widownię.

--Przepraszam, że wyrwałem pana z zamyślenia.

--Nie ma sprawy.

--Chciałbym zamienić dwa słowa.

--Ze mną?

--Jeśli pan pozwoli.

Calloway ruszył w stronę sceny, taksując przybysza wzrokiem.

Od stóp do głów mężczyzna ubrany był na szaro. Szary garnitur, szare buty i szary krawat. "Pieprzony elegant" -- podsumował złośliwie Calloway. Mimo wszystko, facet jednak robił wrażenie. Jego twarz ukryta była w cieniu rzuconym przez rondo kapelusza.

--Pozwoli pan, że się przedstawię.

Głos był kulturalny i ujmujący. Idealny do słodkich reklam. Po rozmowie z Hammersmithem zetknięcie z kimś takim było odświeżające.

--Nazywam się Lichfield. Sądzę, że moje nazwisko nic nie mówi człowiekowi tak młodemu jak pan.

Młodemu, no, no. Może jednak coś jeszcze zostało w nim z cudownego dziecka?

--Czy jest pan krytykiem? -- zapytał Calloway. Spod kapelusza dobiegł Callowaya ironiczny śmiech.

--Na Boga, nie -- odparł Lichfield.

--W takim razie przepraszam, ale nie mam pojęcia, kim pan jest.

--Nie ma za co przepraszać.

--Czy to pan był dzisiaj na próbie? Lichfield zignorował pytanie.

--Zdaję sobie sprawę, że jest pan człowiekiem zajęтым, panie Calloway i nie chcę marnować pańskiego czasu. Zajmuję się teatrem, podobnie jak pan. Myślę, że powinniśmy zawrzeć sojusz, mimo, iż spotykamy się po raz pierwszy.

--Ach tak, wielkie braterstwo. To podkreślenie przynależności do rodziny ludzi teatru przyprowadziło Callowaya o mdłości. Przypomnił sobie wszystkich rzekomych sojuszników, którzy wbili mu nóż w plecy, przypomniał sobie dramaturgów, których sam zniszczył i aktorów, którym złamał karierę dla zabawy. Nie było żadnego braterstwa ani sojuszu. Wszyscy skakali sobie do oczu i kopali dolki -- jeden pod drugim. Tak samo jak w każdej profesji.

--Jestem -- kontynuował Lichfield -- ciągle zainteresowany tym co się dzieje w "Elysium".

Dziwna emfaza przebijała ze słowa "ciągle". W ustach Lichfielda brzmiało to tak jakos grobowo.

--Tak?

--Tak, spędziłem wiele szczęśliwych chwil w tym teatrze. Znam teatr od lat i szczerze mówiąc, bardzo mnie martwią smutne wieści, jakie słyszałem.

--Jakie wieści?

--Panie Calloway, muszę panu powiedzieć, że pańska "Noc Trzech Króli" będzie ostatnią sztuką wystawioną w tym teatrze.

Calloway spodziewał się tego, a jednak poczuł ból, gdy to usłyszał. Lichfield zauważył drgnięcie twarzy reżysera.

--Ach... więc pan nic nie wiedział? Tak przypuszczałem... Zawsze trzymają nas artystów w nieświadomości, prawda? To dla nich satysfakcja. Zemsta księgowych.

--Hammersmith -- powiedział Calloway.

--Hammersmith.

--Bękart.

--Nigdy nie można było mu ufać. Przykro mi to panu mówić.

--Czy jest pan pewien decyzji o zamknięciu?

--Oczywiście. Zrobiliby to jutro, gdyby mógł.

--Ale dlaczego? Wystawiałem tu Stopparda, Tennessee Williamsa -- wszystkie spektakle cieszyły się powodzeniem. To bez sensu.

--Obawiam się, że w rozumieniu finansisty to ma wielki sens. Jeśli będzie pan tak myślał jak Hammersmith, to nie oprze się pan prostej arytmetyce. "Elysium" się starzeje. Wszyscy się

starzejemy i zaczynamy umierać. Wyczuwamy starość w naszych członkach. Najchętniej położylibyśmy się i umarli.

Umarli. Głos stał się nagle pełnym tęsknoty, melodramatycznym szeptem.

--Skąd pan to wie?

--Byłem przez wiele lat administratorem teatru. Jestem na emeryturze ale, jak to się mówi, nadal lubię wiedzieć, co w trawie piszczy... Trudno sobie przypomnieć niegdysiejsze wspaniałe triumfy tej sceny.

Popadł w zadumę. Wyglądało na to, że mówi szczerze.

Znów powrócił do interesów.

--Teatr umiera, panie Calloway. Będzie pan obecny na pogrzebie. Wydawało mi się, że powinienem pana... ostrzec.

--Dziękuję. Doceniam to. Proszę mi powiedzieć, czy był pan kiedykolwiek aktorem?

--Dlaczego pan pyta?

--Pana głos.

--Mój niezwykle problem. Przekleństwo. Nie mogę zamówić filiżanki kawy, by nie zagrznieć jak król Lear podczas burzy.

Szczerze się roześmiał. Calloway zaczął lubić faceta. Może wyglądał trochę staroświecko, był nieco stuknięty, coś jednak w jego zachowaniu ujęło reżysera. Lichfield nie fetyszyzował swej miłości do teatru, jak wielu ludzi z branży, którzy na scenie grali ogony, a naprawdę oddani byli telewizji.

--Mhm... Muszę się przyznać, że nieco paralem się tym rzemiosłem -- zwierzał się Lichfield -- nie miałem jednak do tego zdrowia. Teraz moja żona...

--Żona? -- Calloway był zaskoczony, że ktoś taki jak Lichfield może mieć kontakty z kobietami.

--... Moja żony Constantia grała tutaj wiele razy i jak mi się wydaje osiągnęła sukces. Oczywiście przed wojną.

--Szkoda, że zamkną ten teatr.

--Rzeczywiście. Obawiam się jednak, że nie będzie żadnych cudów. "Elysium" rozleci się w sześć tygodni i będzie koniec. Chciałem, aby pan wiedział, że to nie durni handlowcy oglądają próby. Może nas pan uważać za kogoś w rodzaju aniołów stróżów. Chciałbym pana zapewnić, Terence, że wszyscy panu dobrze życzymy.

To zostało powiedziane z prawdziwą przyjaźnią, prosto i jasno. Calloway był poruszony głęboką troską tego człowieka. Poczul wyrzuty sumienia za swe przyziemne pragnienia. Jego prywatne ambicje zeszły na dalszy plan.

--Pragniemy zobaczyć, jak ten teatr dobiega godnie swych dni -- kontynuował Lichfield -- i jak potem umiera dobrą, wartościową śmiercią.

--Cholerne świństwo.

--Zbyt późno na żale. Nie powinniśmy byli nigdy dopuścić do tego, żeby Dionizos poddał się Apollinowi.

--Co?

--Nie powinniśmy oddać teatru księgowym, tym praktycznie myślącym ludziom, takim jak pan Hammersmith. Jego dusza, jeśli ją ma, musi mieć rozmiary mego paznokcia i z pewnością jest szara jak grzbiet wszy. Powinniśmy mieć tyle odwagi, co postacie, które grywamy. Dawać

ludziom poezję i żyć pod gwiazdami.

Calloway nie zgadzał się do końca z tym, co mówił Lichfield, jednak przedmowa porwała go i miał wiele szacunku dla takiego punktu widzenia.

Z lewej strony sceny rozległ się głos Diany, który zakłócił uroczystą atmosferę rozmowy.

--Terry? Jesteś tam?

Przedmowa została przerwana. Calloway dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo hipnotyczna była obecność Lichfielda. Słuchać go, to tak jakby być kołysanym w ramionach kogoś bliskiego. Gość podszedł do prawej krawędzi sceny i skończył konspiracyjnym szeptem.

--Jeszcze jedno, Terence...

--Tak?

--Pańska Viola. Brakuje jej wielu cech, aby zagrać tę rolę. Mam nadzieję, że mi wybaczysz wytknięcie tego. Calloway zeszywniał.

--Wiem -- kontynuował Lichfield -- osobiste zobowiązania w takich przypadkach są ważniejsze niż uczciwość.

--Tak -- odparł Calloway -- ma pan rację. Ale ona jest popularna.

--Tak jak kiedyś tańce niedźwiedzi, Terence. Uśmiechnął się szeroko pod rondem kapelusza.

--Żartuję -- powiedział Lichfield, nieomal chichocząc -niedźwiedzie potrafią być czarujące.

--Terry, tu jesteś.

Ukazała się Diana. Jak zwykle była zbyt ciepło ubrana. W powietrzu wisiało coś, co Diana powinna wyczuć. Lichfield jednak już się oddalał. Zniknął za żywoplotem.

--Tu jestem -- powiedział Terry.

--Z kim rozmawiałeś?

Lichfield wyszedł tak samo niepostrzeżenie, jak wszedł. Diana go nie widziała.

--Och, tylko z aniołem -- odparł Calloway.

Pierwsza próba kostiumowa nie była zła, jak spodziewał się tego Calloway. Była o wiele gorsza. Nikt nie pamiętał jego wskazówek, wejścia były fatalne, humor sprawiał wrażenie wymysłu szaleńca. Sztuka wydawała się być albo grafomańska, albo bardzo blaha. To był "Wieczór Trzech Króli", który wyglądał na ostatni wieczór w roku. W połowie trzeciego aktu Calloway spojrział na zegarek.

Siedział na widowni, podpierając głowę rękoma i myślał nad ogromną pracą jaka go jeszcze czeka, zanim będzie mógł wystawić tę sztukę na odpowiednim poziomie. Nie pierwszy już raz czuł się bezradny wobec problemów z obsadą. Można przećwiczyć wejścia, poprawić intonację, polepszyć zgranie scen, ale zły aktor pozostanie złym aktorem. Calloway może pracować więc do upadłego, wygładzając i poprawiając, ale nie może nic poradzić na dębowe uszy Diany Duvall.

Z uporem godnym lepszej sprawy pomijała wszystkie możliwe do zaakcentowania fragmenty, robiła wszystko, aby nie poruszyć publiczności, skutecznie zabijała wszelkie dwuznaczności sztuki. Było to tak potworne, że Calloway skręcał się z bólu i miał ochotę wyć. Ta Viola była bezbarwna, papkowata i beznadziejna.

Krytycy ją po prostu rozszarpią.

I co gorsza Lichfield będzie bardzo rozczarowany. Sam Terry był zaskoczony wrażeniem, jakie wywarła na nim wizyta. Calloway był ciągle zafascynowany retoryką, elokwencją i

postawą Lichfielda. Poruszyło go to do głębi. Pod wpływem tych myśli zaczął się zastanawiać nad Violą w swym "Wieczorze Trzech Króli". Jak można wystawić sztukę z taką aktorką w ukochanym teatrze Lichfielda? Nie wiadomo dlaczego, ale wydawało się to Callowayowi niewdzięcznością.

Często ostrzegano go, że zawód reżysera jest ciężkim kawałkiem chleba. Mówiono mu to, zanim zaczął się tym na serio zajmować.

Jego ulubiony, nieżyjący już nauczyciel z Actos Centre, Wellbeloved /miał szklane oko/ powiedział mu kiedyś:

--Reżyser jest najbardziej samotnym stworzeniem na Ziemi. Wie co jest dobre, a co złe w sztuce, albo przynajmniej powinien wiedzieć i musi tę informację zachować dla siebie, cały czas się uśmiechając. Wtedy wydawało się to takie trudne.

--Ta praca nie polega na osiągnięciu powodzenia -- często mówił Wellbeloved -- ta praca polega na tym, żeby nie upaść na ryj.

Dobra rada. Ciągłe jeszcze dokładnie pamiętał Wellbeloveda. Pamiętał jak pakował im ową mądrość do głów, pamiętał jego łysą lśniącą głowę i cynicznie błyszczące oko. Nikt nie kochał teatru bardziej niż Wellbeloved. Tak przynajmniej uważał Calloway. Wellbeloved na pewno byłby wkurzony, gdyby widział to, co działo się na scenie.

Była prawie pierwsza w nocy, gdy skończyli tę żalosalną próbę. Wszyscy byli ponurzy i rozczarowani. Calloway chciał zostać sam tej nocy, nie chciał plotek, nocnego pijaństwa ani żadnych ekscesów seksualnych. Miał mroczny nastrój, którego nie mogła rozproszyć zabawa ani wino, ani kobieta. Nie potrafiłby spojrzeć Diane w oczy. Podczas próby poczynił notatki, które nie były dla niej przychylnie. Szczerze mówiąc, były bardzo krytyczne. Ich rozmowa nie doprowadziłaby do niczego dobrego. We foyer spotkał Tallulah, wciąż żwawą mimo podeszłego wieku.

--Zamykasz dzisiaj? -- zapytał, aby coś powiedzieć.

--Zawsze zamykam -- odparła. Miała dobrze ponad siedemdziesiątkę; gdyby nie jej upór i wytrwałość, pewnie już dawno by ją wyrzuciono. Zresztą w obecnej sytuacji kwestia była akademicka. Ciekawe, co Tallulah powiedziałaby na wieść o planowanej likwidacji teatru. Złamałoby jej to chyba serce. Czy to Hammersmith powiedział mu, że Tallulah pracowała w teatrze od piętnastego roku życia?

--Cóż, dobranoc Tallulah.

Jak zwykle niedbale skinęła głową. Potem podeszła do Callowaya i złapała go za rękę.

--Tak?

--Pan Lichfield... -- zaczęła.

--Co z panem Lichfieldem?

--Próba mu się nie podobała.

--Był tu dzisiaj?

--O, tak -- odparła, jakby jakiejkolwiek wątpliwości w tej materii dowodziły głupoty pytającego. -- Oczywiście, że był.

--Nie widziałem go.

--Cóż... nieważne. Nie był zbyt zadowolony. Calloway starał się zachowywać obojętnie.

--To nic nie pomoże.

--Pańskie przedstawienie jest bardzo bliskie jego sercu.

--Zdaję sobie z tego sprawę -- odparł Calloway, unikając pełnego wyrzutu spojrzenia Tallulah. Miał dosyć problemów na dzisiaj. Nie chciał słuchać wyraźnie rozczarowanej portierki.

Uwolnił rękę i ruszył do drzwi. Tallulah nie próbowała go zatrzymać.

--Powinien pan zobaczyć się z Constantią -- powiedziała po prostu.

--Z Constantią? -- Gdzie on słyszał to imię? Oczywiście, żona Lichfielda.

--Ona była wspaniałą Violą.

Był zbyt zmęczony, aby zawracać sobie głowę umarłymi aktorami. Ona chyba nie żyje? Lichfield zdaje się mówić, że umarła?

--Wspaniałą -- powtórzyła Tallulah.

--Dobranoc, Tallulah. Do zobaczenia jutro.

Starowina nie odpowiedziała. Jeżeli obcesowość Callowaya obraziła ją, to trudno. Zostawił ją z jej zmartwieniami i wyszedł na ulicę.

Był koniec listopada. Na dworze było zimno. Powietrze śmierdziało smołą, którą niedawno położono na stały asfalt. Wiatr niósł drobinki piasku. Calloway podniósł kołnierz płaszcza i pośpieszył do domu. Tym domem był dający wątpliwe schronienie hotel Murphy'ego. Tallulah zamknęła drzwi i obróciwszy się plecami do zimnego, mrocznego świata, poczłapała w głąb świątyni marzeń. W teatrze unosił się zapach zmęczenia. Budynek był zmęczony starością i ciągłym używaniem. Był w tym podobny do Tallulah. Zbliżał się czas śmierci dla tego teatru i dla Tallulah. Nie można już dłużej zatrzymać czasu. Odnosiło się to i do teatru, i do starej portierki. Ale "Elysium" musi umrzeć tak, jak żyło -- w chwale.

Ostrożnie i z szacunkiem kobieta odsłoniła czerwone zasłony kryjące portrety, które wisiały w korytarzu prowadzącym z foyer na widownię. Irving Barrymore -- wielkie nazwisko i wielki aktor. Obraz był stary i wypłowiały, lecz wspomnienia były tak świeże jak wiosenna zieleń. I portret dumy teatru, ostatni w rzędzie obraz przedstawiający Constantię Lichfield. Twarz o niezmiernie urodzie, która wprawiłaby w zachwyt każdego znawcę piękna. Była zbyt młoda dla Lichfielda i to była jedna z przyczyn tragedii. Lichfield Svengali, człowiek dwa razy od niej starszy, mógł jej dać wszystko, czego pragnęła; sławę, pieniądze i towarzystwo. Nie mógł jej dać tego, czego najbardziej potrzebowała; samego życia. Umarła na raka piersi zanim skończyła dwadzieścia lat. Odeszła tak nagle, że nawet dzisiaj trudno było uwierzyć w jej śmierć. Łzy zalśniły w oczach Tallulah na wspomnienie tego utraconego i zmarnowanego talentu. Tak wiele ról mogłaby zagrać, gdyby żyła: Kleopatra, Hedda, Rosalinda, Elektra. Jednak stało się inaczej. Odeszła, zdmuchnięta nagle jak świeca przez szalejący huragan i przez tych, dla których życie było nudnym marszem przez ziemski padół. Świtało już, gdy Tallulah odwróciła się od portretu, modląc się o to, aby umrzeć we śnie.

Płynące łzy oślepiły ją, jej twarz była teraz cała mokra. O Boże, ktoś za nią stał, pewnie pan Calloway wrócił po coś, a ona tu stoi i beczy, zachowując się jak stara, głupia kobieta. Była zresztą pewna, że Calloway za taką ją uważa. Co taki młody człowiek jak on może wiedzieć o bólu z powodu starości i bezpowrotnie utraconych szans. To go jeszcze nie dotyczy. Kiedyś to poczuje, wcześniej niż myśli, ale jeszcze nie teraz.

--Tallie -- powiedział ktoś.

Wiedziała, kto to. Richard Waldon Lichfield. Odwróciła się. Stał od niej nie dalej niż sześć stóp. Wytworny jak zawsze. "Ma chyba dwadzieścia lat więcej niż Tallulah, ale starość

najwyraźniej nie ma do niego przystępu". Poczula wstyd, że przyłapał ją na płaczu.

--Tallie -- powiedział ciepło -- wiem, że jest trochę późno, ale byłem pewien, że będziesz chciała się przywitać.

Łzy obeschły i zobaczyła, że Lichfield nie jest sam. Za jego plecami, utrzymując pewien dystans, ktoś stał. Postać częściowo skrywana była przez mrok. Nagle ta postać wyszła z ciemności i Tallulah rozpoznała ją. Znała tę twarz tak dobrze jak swe własne lustrzane odbicie. Była to twarz, na którą tak bardzo czekała. Wreszcie przybyła, aby wypełnić pustkę samotnego życia. Nie wierzyła własnym oczom.

To była Constantia, promienna Constantia. Objęła Lichfielda i poważnie odpowiedziała na gorące powitanie Tallulah. Droga, zmarła Constantia.

Tego ranka próba miała się rozpocząć o 9.30. Jak zwykle Diana Duvall spóźniła się o pół godziny. Wyglądała tak, jakby nie spała przez całą noc.

--Przepraszam za spóźnienie -- rzekła swym przesadnie afektowanym głosem. Calloway nie był w bałwochwalczym nastroju.

--Mamy jutro otwarcie -- zgrzytnął -- a wszyscy muszą na ciebie czekać.

--Naprawdę? -- próbowała udawać zaskoczenie. Było zbyt późno i jej popis nie spotkał się z żadnym odzewem.

--Dobra, zaczynamy -- obwieścił Calloway. -- Proszę, aby każdy miał swą kopię i pióro. Mam tu listę cię i chciałbym, abyśmy to przećwiczyli przed obiadem. Ryan, czy masz swą kopię?

Ryan zaprzeczył ruchem głowy.

--Cóż, w takim razie zdobądź ją. Nie chcę słyszeć żadnych skarg, jest na to zbyt późno. Ostatnia próba przypominała stypę po pogrzebie, a nie przedstawienie. Wszystko było nędzne, epizody były grane beznadziejnie. Mam zamiar ciąć i nie będzie to zbyt przyjemne.

Nie było. Mimo ostrzeżeń Callowaya pojawiły się skargi, dyskusje, propozycje kompromisów, niezadowolone twarze i mrużane przekleństwa. Dwie czy trzy osoby z obsady zrozumiały, że Calloway raczej da się pokroić, a nie ustąpi. Trzem następnym wszystko było obojętne. Cały ten bałagan był diabelnie denerwujący.

Co gorsze, reżyser miał cały czas wrażenie, że jest obserwowany, mimo, że widownia wydawała się pusta. Pomyślał, że może Lichfield obserwuje go przez jakiś otwór w ścianie. Potem zrozumiał, że takie myślenie zakrawa na paranoję. W końcu nadszedł czas na przerwę obiadową. Calloway wiedział, gdzie znaleźć Dianę. Był przygotowany na przykrą rozmowę. Oskarżenie, łzy, zapewnienie, że będzie lepiej, znów łzy i wreszcie pojednanie. Normalne.

Zapukał do drzwi gwiazdy.

--Kto tam?

Czy już płakała, czy po prostu mówiła, trzymając szklankę przy ustach?

--To ja.

--Och.

--Czy mogę wejść?

--Tak.

Trzymała w ręku szklankę z dobrą wódką. Na razie nie było łez.

--Jestem beznadziejna, prawda? -- powiedziała, zanim zdążył zamknąć drzwi. Spojrzała na niego. Jej oczy prosiły, aby zaprzeczył.

--Nie bądź głupia -- odparł!

--Nigdy nie wyczuję Szekspira -- powiedziała z kwaśną miną, tak jakby to była wina pisarza. -- Tych wszystkich pieprzonych słów. -- Czuł, że zbliża się awantura.

--W porządku -- skłamał, obejmując ją. -- Potrzebujesz po prostu trochę czasu. Jej twarz spochmurniała.

--Otwieramy jutro -- rzekła stanowczo. Nie da się ukryć, że miała rację. -- Rozszarpia mnie na kawałki, prawda? Chciał zaprzeczyć, ale nie pozwoliła mu na to uczciwość.

--Tak. Chyba, że...

--Nigdy już nie będę pracować. Harry namówił mnie na to, ten Żyd. Pólgłówek. Powiedział, że to będzie dobre dla mojej reputacji. Powiedział, że zyskam więcej szacunku. Co on wie?

Zabiera swoje cholerne dziesięć procent i zostawia mnie na lodzie. Wyglądam na idiotkę, prawda?

Zaczął się. Calloway próbował ją uspokoić wszelkimi sposobami, jednak było to niezwykle trudne. Szlochała tak głośno, że stracił głowę. Pocałował ją delikatnie, po ojcowsku, jak każdy przyzwoity reżyser i /cud nad cudy/ wydawało się, że to pomogło. Kontynuował już śmielej i z większym zapalem...

Zaczął gładzić jej piersi, jego ręce błędziły pod bluzką Diany, aż znalazły sutki i zaczęły je pieścić. Działo to znakomicie. Przez chmury jej rozpaczy zaczęło przeświecać słońce. Pociągnęła nosem i odpięła pasek przytrzymujący spodnie Callowaya. Terry gładził jej ciało. Wzdychała cicho i delikatnie, jednak prowokująco. W którymś momencie Diana przewróciła butelkę z wódką, ale żadne z nich nawet tego nie zauważyło. Płyn rozlał się na stole. Dźwięk spadających na podłogę kropel towarzyszył ich jękom i westchnieniom. Nagle cholerne drzwi otworzyły się. Do pokoju wpadło zimne powietrze, momentalnie chłodząc ich zapaly. Calloway poderwał się, zdając sobie sprawę z tego, że jego spodnie są rozpięte. Spojrzał w lustro wiszące nad głową Diany, aby zobaczyć, kto im przeszkodził. To Lichfield. Patrzył na Callowaya z niewzruszoną twarzą.

--Przepraszam, powinienem był zapukać.

Jego głos był spokojny i słodki, jednak dało się w nim wyczuć drżenie gniewu. Calloway poprawił spodnie, zapiął pasek i obrócił się do Lichfielda, po cichu klnąc swą płonąca z podniecenia twarz.

--Tak... to byłoby grzeczne -- rzekł.

--Jeszcze raz przepraszani. Chciałbym zamienić dwa słowa z... -- Oczy starca były niezgłębione. Spojrzał na Dianę. -- ... Z pańską gwiazdą -- dokończył.

Calloway wyczuł, jak Diana puchnie z dumy pod wpływem tego słowa. Czyżby Lichfield zmienił front? Czy przyszedł tutaj, aby złożyć swój hold u stóp Diany Duvall?

--Chciałbym porozmawiać z panią w cztery oczy, jeżeli to możliwe -- kontynuował miłym głosem Lichfield.

--Cóż, my tylko...

--Oczywiście -- przerwała Diana. -- Za momencik, dobrze? Momentalnie potrafiła znaleźć się w nowej sytuacji. Zapomniała już o łzach.

--Będę na zewnątrz -- powiedział Lichfield wychodząc. Zanim drzwi się zamknęły Diana stała przed lustrem i wycierała makijaż, który mógłby zdradzić, że płakała.

--Cóż -- zaszczębiotała. -- Jak to miło spotkać kogoś życzliwego. Znasz go?

--Nazywa się Lichfield -- odparł Calloway. -- Był administratorem tego teatru.

--Może chce coś zaproponować?

--Wątpię.

--Nie bądź taki załamany, Terence -- burknęła. -- Nie możesz się pogodzić z myślą, że ktokolwiek inny może się mną interesować, co?

--Mój błąd. Spojrzała w lustro.

--Jak wyglądam? -- zapytała.

--Dobrze.

--Przepraszam, za to co się stało wcześniej.

--Wcześniej?

--Wiesz.

--A... tak.

--Zobaczymy się w pubie, dobrze?

Dostał pozwolenie na odejście, jego obecność jako kochanka i powiernika nie była już potrzebna.

Lichfield czekał cierpliwie w chłodnym korytarzu. Mimo, że światło było tu lepsze niż na scenie, Calloway nadal nie widział dokładnie jego twarzy. Było w tej postaci coś -- jakby to powiedzieć -- coś sztucznego. Jego twarz była właściwie nieruchoma, jakby wyciosana z drewna, cera była zbyt różowa.

--Jeszcze nie jest całkiem gotowa -- powiedział Calloway do Lichfielda.

--Jest uroczą kobietą -- mruknął starzec.

--Tak.

--Nie posądzam pana...

--Uhm.

--Jednak nie jest aktorką.

--Chyba nie zamierza się pan wtrącać, Lichfield? Nie pozwolę panu.

--Proszę o tym zapomnieć.

Lichfield najwyraźniej lubił denerwować Callowaya i sprawiało mu to przyjemność. Szacunek reżysera do starego administratora zmalął.

--Nie pozwolę, aby pan ją denerwował.

--Nasze interesy się pokrywają, Terence. Wszystko, czego pragnę to sukcesu tego przedstawienia, proszę mi wierzyć. Czy zależałoby mi na denerwowaniu pańskiej Pierwszej Damy? Będę łagodny jak baranek, Terence.

--Cokolwiek będzie pan robił -- rzekł Calloway gniewnie -- nie jest pan barankiem.

Uśmiech znowu rozjaśnił twarz Lichfielda. Nienaturalnie różowa skóra jego twarzy napięła się pod wpływem tego grymasu. Calloway wszedł do pubu z uczuciem gniewu. Nie bardzo wiedział zresztą, dlaczego się tak wścieka. W garderobie pełnej luster Diana Duval była prawie gotowa do odegrania swej sceny.

--Może pan wejść, panie Lichfield -- zawołała. Otworzył drzwi, zanim skończyła zdanie. Panna Duvall -- lekko się uklonił. Uśmiechnęła się. Był bardzo dżentelmeński.

--Wybaczy mi pan wcześniejszą niezręczną sytuację? Przybrała nieśmiałą minę, to zawsze rozbrajało mężczyzn.

--Pan Calloway... -- zaczęła.

--Bardzo uparty, młody człowiek.

--Tak.

--Poświęca zapewne wiele uwagi swej Pierwszej Damie? Zmarszczyła brwi. Na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia.

--Myślę, że tak.

--Nie świadczy to zbyt dobrze o jego profesjonalizmie -- rzekł Lichfield. -- Proszę mi jednak wybaczyć tę moją niezrozumiałą nadgorliwość.

Zbliżyła się do niego i obróciła, wiedząc, że lampa oświetlająca toaletkę interesująco podświetli jej włosy.

--Więc, panie Lichfield, co mogę dla pana zrobić?

--Szczerze mówiąc, to delikatna sprawa -- odparł Lichfield. -- Gorzka prawda jest taka -- jakby to ująć? -- że pani talent nie pasuje do tego przedstawienia. Pani stylowi brak subtelności.

Zapadła cisza. Powoli docierało do niej, to co powiedział Lichfield. Podeszła do drzwi. Zdecydowanie nie podobało jej się, to co powiedział. Spodziewała się wielbiciela, a zamiast niego spotkała krytyka.

--Precz! -- powiedziała ostrym jak brzytwa głosem.

--Pani Duvall...

--Słyszał pan?

--Źle się pani czuje w roli Violi, prawda? -- kontynuował Lichfield, tak jakby nic do niego nie dotarło.

--To nie pański cholerny interes -- wypaliła.

--A jednak tak. Widziałem próby. Wypadła pani blado, nieprzekonywująco. Humor jest przyziemny, scena zgromadzenia, która powinna łamać nasze serca, nie ma w sobie życia.

--Nie potrzebuję pańskich opinii. Dziękuję.

--Nie ma pani stylu...

--Odpieprz się.

--... żadnej postawy ani stylu. Jestem przekonany, że w telewizji gra pani doskonale, ale scena potrzebuje czegoś specjalnego, głębi ducha, której pani, szczerze mówiąc, brakuje.

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Chciała go uderzyć, ale prawdę mówiąc, nie bardzo miała za co. Nie można przecież brać poważnie tego podstarzałego pozera. W swych schludnych szarych rękawiczkach i eleganckim krawacie był bardziej komediowy niż melodramatyczny. Głupi i zjadliwy, co on może wiedzieć o aktorstwie?

--Niech się pan wyniesie, zanim zawołam asystenta reżysera -- powiedziała, ale Lichfield zastąpił jej drogę do drzwi. Gwałt? Czy on ma na nią ochotę? Boże, nie dopuść.

--Moja żona -- mówił -- grała Violę...

--Chwała jej za to.

--... i ma wrażenie, że mogłaby w tę rolę tchnąć więcej życia.

--Jutro zaczynamy -- powtórzyła jakby w obronie przed potokiem wymowy Lichfielda. Dlaczego do diabła próbowała się z nim spierać? Siedzi tu i dyskutuje z tym głupim facetem. Może dlatego, że nieco się go boi. Poczula jego oddech. Miał zapach drogiej czekolady.

--Zna tę rolę dokładnie. Włożyła w nią wiele serca.

--To moja rola. I zamierzam ją zagrać. Zagram ją, nawet gdybym miała zostać najgorszą

Violą w historii tego teatru. W porządku?

Starala się panować nad sobą, choć było to trudne. Coś w Lichfieldzie ją denerwowało; nie obawiała się z jego strony przemocy, jednak czuła pewien niepokój.

--Obawiam się, że już przyrzekłem tę rolę mojej żonie.

--Co? -- jego arogancja zaskoczyła Dianę.

--I Constantia zagra Violę.

Imię rozśmieszyło Dianę. Może pochodziło z komedii? Coś z Sheridan'a albo Wilde'a, stare i słodziutkie. Jednak Lichfield przemawiał z wielką pewnością siebie i powagą.

"Constantia zagra tę rolę" -- mówił, jakby wszystko już zaplanował i ustalił.

--Nie będę z panem dłużej dyskutowała. Jeśli pańska żona zamierza zagrać Violę, to będzie musiała to zrobić na pieprzonej ulicy. Zrozumiano?

--Ona jutro zaczyna.

--Czy jesteś głuchy, czy głupi, czy może jedno i drugie?

Jakiś wewnętrzny głos kazał jej się uspokoić. Wychodziła z roli, jakakolwiek ta rola była.

Podszedł do niej i światło znad toaletki wyłoniło jego twarz z cienia rzuconego przez rondo kapelusza. Nie przyjrzała mu się wcześniej. Teraz ujrzała głębokie bruzdy otaczające jego oczy i usta. To, co pokrywało jego twarz, z pewnością nie było ciałem. Przykleił sobie do twarzy lateksową maskę. Miała ochotę ją zedrzyć i ujrzeć jego prawdziwe oblicze.

Oczywiście. To było to. Scena, którą odgrywali, nazywała się: Zdjęcie Maski.

--Zobaczmy jak wyglądasz -- rzekła i dotknęła jego policzka, zanim zdążył powstrzymać atakującą go rękę. Uśmiechnął się szeroko. Pomyślała, że on chciał, aby zdarła maskę z jego twarzy. Było za późno na wycofanie się lub przeprosiny. Złapała za brzeg maski i pociągnęła.

Cienka warstwa lateksu odkleiła się bez trudności. Ukazała się prawdziwa fizjonomia Lichfielda. Diana próbowała się cofnąć, ale starzec przytrzymał ją za włosy. Patrzyła z obrzydzeniem i przerażeniem na pozbawioną ciała twarz. Kilka pasemek wysuszonych mięśni zwisało tu i ówdzie. Na obdartym ze skóry podbródku widać było kilka kępek włosów, będących zapewne pozostałością brody. Wszystko to, co kiedyś żyło w jego twarzy, dawno już zgniło. Część twarzy była kompletnie pozbawiona ciała, widać było zmurszałe i nadjedzone przez robaki kości czaszki.

--Nie zostałem zabalsamowany -- powiedziała czaszka. -- W odróżnieniu od Constantii.

Wyjaśnienie przeraziło Dianę. Nie krzyczała, mimo, że potworność, którą widziała, usprawiedliwiałaby krzyk. Potrafiła zdobyć się tylko na cichy szloch i odsuwała głowę na tyle, na ile pozwalał jego uścisk.

--Wcześniej czy później musimy dokonać wyboru pomiędzy służeniem sobie, a służeniem sztuce -- powiedział Lichfield. Jego oddech nie pachniał już czekoladą, lecz zgnilizną.

Nie rozumiała.

--Umarli muszą wybierać uważniej niż żywi. Nie możemy tracić energii, jeśli mi pani wybaczy to wyrażenie, na czeze przyjemności. Pani nie lubi sztuki, jak sądzę. Prawda?

Potrząsnęła głową, mając nadzieję, że takiej odpowiedzi oczekiwał.

--Pani pragnie rozkoszy ciała, a nie ducha. I będzie ją pani miała.

--Dziękuję... kuję.

--Jeżeli pani ich pragnie, może je pani mieć.

Nagle ręka, która tak mocno trzymała jej włosy, puściła je, by dla odmiany uchwycić ją za

szyję. Lichfield przyciągnął Dianę do siebie, aby ją pocałować. Chciała krzyczeć, ale jego zgnily oddech odebrał jej siły.

Ryan znalazł Dianę leżącą na podłodze garderoby kilka minut przed drugą. Trudno było stwierdzić, co się stało. Nie było żadnych śladów przemocy. Nie można było znaleźć żadnych ran na jej ciele czy głowie. Nie można było także stwierdzić, że jest martwa. Wydawało się, że zapadła na rodzaj śpiączki. Być może poślizgnęła się i upadając uderzyła o coś głową. Cokolwiek się stało, Diana Duvall wypadła z gry. Godziny pozostały do generalnej próby kostiumowej, a Violę odwożono ambulansem na oddział intensywnej terapii.

--Im prędyj rozwali się to miejsce, tym lepiej -- powiedział Hammersmith. Pił podczas pracy w biurze. Calloway nigdy wcześniej nie widział, aby to robił. Butelka whisky stała na biurku obok napelnionej do połowy szklanki. Na papierach pokrywających biurko pełno było mokrych krążków znaczących kolejne odstawienia szklanki. Ręce biuralisty drżały.

--Jakie wiadomości ze szpitala?

--Ona jest piękną kobietą -- odparł Hammersmith, gapiąc się na szklankę. Calloway mógłby przysiąc, że siedzącemu naprzeciw mężczyźnie niewiele brakuje, aby się rozplakać.

--Hammersmith? Jak ona się czuje?

--Ma śpiączkę. Ale jej stan nie zagraża życiu.

--To już coś, mam nadzieję.

Hammersmith spojrział na Callowaya. Jego krzaczaste brwi nastroszyły się z gniewu.

--Ty gnoju! -- wrzasnął. -- Pieprzyłś ją, prawda? Bawiło cię to, co? Cóż, pozwól, że ci coś powiem. Diana Duvall jest warta tuzin takich jak ty. Tuzin!

--To dlaczego pozwoliłeś na wystawienie tego ostatniego przedstawienia, Hammersmith? Bo ją zobaczyłeś i pragnąłeś)H wymacać swoimi małymi, ciepłymi rączkami?

--Nigdy tego nie zrozumiesz. Masz mózg w spodniach. -- Wyglądał na autentycznie zgorzonego sugestią, że miał kiedyś zamiary wobec Diany.

--W porządku, niech ci będzie. Nadal nie mamy Violi.

--Dlatego kasuję przedstawienie -- rzekł Hammersmith powoli.

To się musiało stać. Bez Diany Duvall nie będzie "Wieczoru Trzech Króli". -- Może to zresztą lepiej. Pukanie do drzwi.

--Kto tam, do kurwy nędzy? -- zapytał niedelikatnie Hammersmith.

--Wejść.

Wszedł Lichfield. Calloway był niemal zadowolony, widząc znów tę dziwną postać. Miał zamiar zadać Lichfieldowi kilka pytań. Chciał wiedzieć, jak Diana się czuła, gdy staruszek wychodził, o czym rozmawiali. Wydawało mu się jednak, że lepiej będzie, jeśli porozmawiają na osobności, bez Hammersmitha w roli obserwatora. Wszelkie podejrzenia jakie miał wobec Lichfielda upadły, gdy zobaczył go w drzwiach. Jeżeli coś zrobił Dianie, to po co wracałby tu tak szybko i tak bardzo rozpromieniony?

--Kim pan jest? -- chciał wiedzieć Hammersmith.

--Richard Walden Lichfield. Byłem kiedyś administratorem w "Elysium".

--Och...

--To był kiedyś mój interes...

--Czego pan sobie życzy? -- przerwał Hammersmith zirytowany spokojem tamtego.

--Słyszałem, że przedstawienie jest w niebezpieczeństwie -- odparł Lichfield spokojnie.

--Żadne niebezpieczeństwo, ponieważ nie ma przedstawienia. Zostało odwołane.

--Tak? -- Lichfield spojrział na Callowaya.

--Czy pan się na to zgodził? -- zapytał reżysera.

--On nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie. Ma tylko prawo w nagłych przypadkach odwołać próby i skasować przedstawienie. To jest w jego kontrakcie. Teatr jest od dzisiaj zamknięty. I nie będzie już otwarty powtórnie.

--Owszem będzie -- rzekł Lichfield.

--Co? -- Hammersmith poderwał się na nogi. Calloway uświadomił sobie, że zawsze widział go siedzącego, nigdy stojącego. Był bardzo niski.

--Wystawimy "Wieczór Trzech Króli", tak jak zapowiedzieliśmy -- mruknął Lichfield. -- Moja żona bardzo chętnie zastąpi pannę Duvall w roli Violi.

Hammersmith zaczął się śmiać ordynarnym, obrzydliwym śmiechem. Zamilkł jednak, gdy po biurze rozszedł się zapach lawendy i w drzwiach ukazała się Constantia Lichfield, odziana w jedwabie i futro. Wyglądała tak pięknie, jak w dniu swej śmierci. Nawet Hammersmith wstrzymał oddech na jej widok.

--Nasza nowa Viola -- obwieścił Lichfield. Hammersmith po chwili odzyskał głos.

--Przecież ta kobieta nie opanuje roli w pół dnia.

--Dlaczego nie? -- odezwał się Calloway, nie odrywając wzroku od Constantii. Lichfield to szczęściarz. Constantia była niezwykle piękna. Mimo woli wstrzymywało się przy niej oddech w obawie, aby nie spłoszyć tego wspaniałego zjawiska.

Nagle odezwała się. Przemówiła słowami z Aktu 5., Sceny I:

"Jeśli do szczęścia jedyną przeszkodą
Jest ten strój męski nieprawnie noszony,
Wstrzymaj uściski, aż okoliczności
Czasu, wydarzeń i miejsca wykażą.
Że jestem Violą".

Miała delikatny i melodyjny głos płynący z głębi serca. Każdy wers wypowiedziany był z wielkim uczuciem i pasją.

I ta twarz. Tętniła życiem, wypowiedane słowa odbijały się na niej cudownie. Była czarująca.

--Przepraszam -- powiedział Hammersmith -- ale są określone ^zasady postępowania w takich przypadkach. Czy ona jest zarejestrowana w Związku Aktorskim?

--Nie -- odpowiedział Lichfield.

--Cóż, sam pan widzi, że to niemożliwe. Związek wyklucza takie osoby. Zabraliby nam chleb.

--Przecież to pana nie dotyczy, Hammersmith -- odezwał się Calloway -- co to pana, do kurwy, obchodzi? Pańska noga więcej nie postanie w teatrze, jeżeli już pan go zamknie.

--Moja żona oglądała próby. Jest doskonale przygotowana.

--To może być zrządenie losu -- rzekł Calloway z entuzjazmem. Patrzył zachwycony na Constantię.

--Zadziera pan ze związkiem, Calloway -- ostrzegł Hammersmith.

--Podejmę to ryzyko.

--Tak jak pan powiedział, to mnie nie dotyczy. Jeśli jednak jakiś mały ptaszek opowie im o

tym, zarzucają pana zgniłymi jajami.

--Hammersmith, niech jej pan da szansę. Niech pan da szansę nam wszystkim. Jeżeli związek na mnie napadnie -- to moja sprawa.

Hammersmith usiadł ponownie.

--Nikt nie przyjdzie na przedstawienie, zdaje pan sobie z tego sprawę? Diana Duvall była gwiazdą, obejrzeliby pańskie dęte przedstawienie tylko po to, aby ją zobaczyć. Ale ktoś nieznan... Cóż, to będzie najwyżej pański koniec. Niech pan się bierze do roboty, ja umyвам ręce. Wszystko jest na pańskiej głowie Calloway, niech pan o tym pamięta. Mam nadzieję, że za to obedrą pana ze skóry.

--Dziękuję -- powiedział Lichfield. -- Bardzo pan miły.

Hammersmith zaczął porządkować biurko, aby wygospodarować więcej miejsca dla szklanki i butelki. Spotkanie było skończone. Nic go nie obchodziły te ich wszystkie głupie pomysły.

--Wyjdźcie -- powiedział. -- Po prostu wyjdźcie.

--Mam kilka próśb -- powiedział Lichfield do Callowaya p wyjściu z biura. -- Są to uwagi do przedstawienia, które uwydatnią rolę mojej żony.

--Jakie?

--Dla wygody Constantii prosiłbym o znaczne zmniejszenie oświetlenia. Nie jest po prostu przyzwyczajona do gry przy tak intensywnym świetle.

--Dobrze.

--Prosiłbym także o zainstalowanie świateł podłogowych.

--Podłogowych?

--Dziwne to żądanie, wiem. Jednak ona czuje się o wiele lepiej ze światłami podłogowymi.

--Będą oślepiały aktorów -- zaproponował Calloway. -- Nie będą widzieli publiczności.

--Mimo wszystko... muszę żądać ich instalacji.

--OK.

--Po trzecie, prosiłbym, aby wszystkie sceny zawierające pocałunki, obejmowania się itd. zostały tak przeredagowane, żeby usunąć te wszystkie fizyczne kontakty.

--Wszystko?

--Wszystko.

--Dlaczego na Boga?

--Moja żona nie potrzebuje takiego dodatkowego udratyzowania, Terence.

Dziwna intonacja tego zdania zdumiała Callowaya. "Dodatkowego udratyzowania". Calloway przez chwilę patrzył Constantii prosto w oczy. Były jakby nawiedzone.

--Przedstawimy naszą nową Violę towarzystwu? -- zasugerował Lichfield.

--Dlaczego nie?

Trójka weszła do teatru.

Przeredagowanie wszystkiego tak, aby wykluczyć wszelkie kontakty fizyczne były proste. Na początku reszta zespołu odnosiła się z rezerwą do nowej koleżanki, ale jej bezpretensjonalne zachowanie i naturalny urok wkrótce ich podbiły. Poza tym jej obecność gwarantowała, że przedstawienie się odbędzie. O szóstej Calloway ogłosił przerwę. Zapowiedział próbę kostiumową na dziewiątą i radził im, aby wykorzystali czas przerwy i odprężyli się. Towarzystwo rozeszło się, na nowo kipiąc entuzjazmem. To co jeszcze

dwanaście godzin wcześniej wydawało się niemożliwe, teraz zaczynało przybierać konkretne kształty. Oczywiście jeszcze mnóstwo rzeczy należało poprawić... tysiące niedoróbek technicznych, kostiumy, które źle pasowały, słabe momenty realizacji. Jednak wszyscy byli dobrej myśli. Aktorzy byli szczęśliwsi niż kiedykolwiek dotąd podczas prób. Nawet Ed Cunningham powiedział jedną lub dwie mile rzeczy.

Lichfield znalazł Tallulah w palmiarni.

--Dziś w nocy...

--Tak, proszę pana.

--Nie musisz się bać.

--Nie boję się -- odparta -- co za pomysł. Tak jakby...

--To może trochę boleć, za co z góry przepraszam. Ciebie i nas wszystkich.

--Rozumiem.

--Oczywiście, kochasz teatr tak jak ja. Znasz paradoksy tego zawodu. Grać życie... och, Tallulah, grać życie... cóż za zdumiewająca rzecz. Czasami zastanawiam się, jak długo będę mógł jeszcze udawać.

--Robi pan to doskonale -- odrzekła stara.

--Tak sądzisz? Naprawdę tak myślisz? -- jej opinia wyraźnie dodawała mu otuchy. To było takie męczące, cały czas udawać życie, oddychać, chodzić, udawać, że się ma żyjące ciało. Wdzięczny Tallulah za te słowa, zbliżył się do niej.

--Chciałabyś umrzeć, Tallulah?

--Czy to boli?

--Tylko trochę.

--To mogłoby mnie uszczęśliwić.

--I powinno.

Zamknął jej oczy pocałunkiem. Po niecałej minucie Tallulah była martwa. Poddana się tchnieniu śmierci dobywającemu się z jego ust. Położył ją na wytartej kanapie i przekręcił klucz w drzwiach od palmiarni. Szybko ostygnie w zimnie wypełniającym pokój. Ożyje znów, zanim przybędzie publiczność.

O szóstej piętnaście Diana Duvall wysiadła z taksówki przed "Elysium". Było ciemno i zimno, ale Diana czuła się dobrze. Nic nie mogło jej dzisiaj zepsuć nastroju. Ani zimno, ani ciemność. Nie zauważona przez nikogo minęła plakaty ze swym zdjęciem i nazwiskiem, weszła do teatru i podążyła do swej garderoby. Tam znalazła otoczonego kłębamii papierosowego dymu Terry'ego.

--Terry.

Zatrzymała się na chwilę w drzwiach, pozwalając mu ochłonąć ze zdumienia. Zbladł, gdy ją zobaczył. Spodziewała się jednak nieco innej reakcji, spojrzała na niego twardo, po chwili jednak jej twarz złagodniała.

Calloway nie wiedział co powiedzieć. Bez dwóch zdań -- Diana wyglądała źle. Nie miała makijażu, a jej włosom przydałoby się mycie. Jeżeli opuściła szpital po to, aby wziąć udział w próbie generalnej, będzie musiał jej to wyperswadować.

--Co ty tutaj robisz? -- zapytał, gdy zamknęła za sobą drzwi.

--Nie załatwiłam jeszcze wszystkich spraw -- odparła.

--Posłuchaj... Muszę ci coś powiedzieć. "O Boże, to będzie ciężka rozmowa".

--Znaleźliśmy zastępstwo do roli Violi. -- Patrzyła na niego bez wyrazu. Mówił szybko, zacinając się. -- Wydawało nam się, że nie będziesz grać, rozumiesz. To nie jest stałe zastępstwo, ale na początek...

--Nie martw się -- przerwała. Szczeka z lekka mu opadła.

--Nie martw się?

--Co to ma wspólnego ze mną?

--Powiedziałaś, że wróciłaś, aby załatwić swoje sprawy... Przerwał. Rozpinała sukienkę. Ona nie może tego zrobić, nie może. Seks? Teraz?

--Wiele myślałam przez kilka ostatnich godzin. -- Rozpinała sukienkę do końca, zsunęła ją na biodra i pozwoliła opaść jej na ziemię. Miała biały biustonosz, który bezskutecznie próbowała odpiąć. -- Zdecydowałam się nie przejmować teatrem. Pomóż mi, dobrze?

Odwróciła się do niego plecami. Automatycznie odpiął biustonosz, nie bardzo wiedząc czy tego chce, czy nie. To zakrawało na paranoję. Przybyła, aby dokończyć to, co im przerwano; proste jak drut. Mimo dziwnych dźwięków wydobywających się z jej ust, i szklanych oczu, nadal była atrakcyjną kobietą.

Obróciła się. Calloway podziwiał jej pełne piersi. Wydawały się jakby bledsze niż zwykle, ale nadal były piękne. Spodnie nagle stały się dla niego zbyt ciasne. Diana prowokowała go coraz bardziej, gładząc rękami swe biodra, masując uda i krocze.

--Nie martw się o mnie -- rzekła. -- Zmieniłam zdanie. To czego naprawdę chcę...

Ręce, którymi jeszcze przed chwilą pieściła swe ciało, położyła na twarzy Callowaya. Były zimne jak lód.

--To czego chcę, to ty. Nie mogę jednocześnie uprawiać seksu i grać na scenie... W życiu każdego człowieka nadchodzi czas decyzji.

Oblizła usta. Mimo to, jej wargi pozostały suche jak przedtem.

--Wypadek spowodował, że zaczęłam się zastanawiać, na czym mi naprawdę zależy. I szczerze mówiąc... -- odpinała pasek w spodniach Callowaya -- gównu mnie obchodzi...

Teraz odpinała zamek.

--... ta, czy inna sztuka. Spodnie reżysera opadły.

--Pokażę ci, co mnie naprawdę interesuje.

Zdjęła jego slipki i wzięła członek w rękę. Zimno jej rąk podnieciło go jeszcze bardziej. Roześmiał się i zamknął oczy, gdy Diana uklękła u jego stóp.

Była jednak ekspertem w tej dziedzinie. Wnętrze jej ust było suche, pieściła go językiem. Poczul dziką rozkosz. To było niesamowite, wchłonęła go głębiej niż kiedykolwiek przedtem, podniecała wszelkimi znanymi sobie sposobami. Zwalniała i przyśpieszała, gdy zbliżał się kulminacyjny moment. Całkowicie był w jej władaniu.

Otworzył oczy i spojrzał na nią: jej twarz wyrażała ekstazę.

--Dobrze -- sapał. -- To wspaniale. O tak, o tak.

Nie zwróciła uwagi na jego słowa, nadal go pieściła. Nie mruczała z zadowolenia jak zwykle, nie oddychała ciężko. Pożerała jego ciało w absolutnej ciszy.

Wstrzymał na chwilę oddech, bo ogarnęło go straszliwe przeczucie.

Nadal miała zamknięte oczy. Obejmowała jego penisa wargami, kontynuując nieprzerwanie swą pracę. Minęło pół minuty, minuta, półtorej. Straszliwe przeczucie stało się przerażającą prawdą.

Nie oddychała, nie przerywała ani na moment, żeby zaczerpnąć powietrza.

Calloway zeszytywniał, poczuł, że jego członek wiotczeje. Diana nie przerywała, nadal pieściła jego genitalia. W jego umyśle narodziła się myśl: "Ona nie żyje. Trzyma mnie w ustach, zimnych ustach i jest martwa". Dlatego przyszła, ożyła w kostnicy i wróciła tu. Miała zamiar skończyć to, co zaczęła... Sztuka nic ją nie obchodziła. To była jej scena, jej rola. Będzie ją grała przez wieki.

Calloway nie mógł nic zrobić, patrzył tylko na dół, jak to martwe ciało usiłuje dać mu rozkosz.

Nagle Diana jakby wyczuła jego przerażenie. Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Jak mógł się dać tak oszukać? Jak mógł nie dostrzec tego, że ona jest martwa? Delikatnie wyjęła penisa z ust.

--Co się stało? -- zapytała. Ciągle udawała życie.

--Ty... ty nie... oddychasz. Opuściła głowę. Puściła go.

--Kochanie -- powiedziała -- nie jestem dość dobra w odgrywaniu tej roli, prawda?

Jej głos był głosem upióra. Cienkim i nieszczęśliwym. Jej skóra, która na pierwszy rzut oka wydawała się lśniaco biała, była teraz woskowożółta.

--Jesteś martwa? -- zapytał.

--Obawiam się, że tak. Umarłam we śnie dwie godziny temu. Jednak musiałam przyjść, Terry, aby załatwić swoje sprawy. Dokonałam wyboru. Powinieneś być z tego zadowolony. Jesteś zadowolony, prawda?

Podniosła się i sięgnęła po torebkę, którą zostawiła na toalecie. Calloway popatrzył na drzwi, usiłując bezskutecznie przewyciężyć bezwład nóg. Swobodę ruchu ograniczały również opuszczone do kostek spodnie. Jeżeli spróbuje zrobić krok, na pewno upadnie.

Odwróciła się znów do niego. Trzymała w dłoni coś połyskującego i ostrego. Nie potrafił rozpoznać co to. Cokolwiek to jednak było, przeznaczone zostało dla niego.

Od czasu, gdy zbudowano w 1934 roku krematorium, cmentarz coraz bardziej podupadał. Grobowce porozbijano, tu i ówdzie z ziemi wystawały kawałki trumien, a nagrobki były połamane i pomalowane różnokolorowymi sprayami. Bardzo niewielu ludzi przychodziło teraz, aby porządkować groby; nie wszyscy mieli dość nerwów, aby oglądać skutki wandalizmu.

Nie zawsze tak było. Wiele znanych i wpływowych rodzin miało tu swe mauzolea, kapliczki i grobowce. Mieli tu swoje miejsca ojcowie miasta, przemysłowcy i dygnitarze, wszyscy, którzy coś znaczyli.

Aktorka Constantia Lichfield także została pogrzebana tutaj /"Dopóki Dzień się nie złamie i Cienie nie odejdą"/. Jednak o jej grób ktoś się troszczył.

Nikt nie kręcił się po cmentarzu tej nocy. Było zbyt zimno dla zakochanych. Nikt nie widział, jak Charlotte Hancock otwierała swój grób. Jej wyjściu na spotkanie księżycy towarzyszył tylko trzepot gołębih skrzydeł. Jej mąż Gerard leżał razem z nią, jednak był mniej świeży niż ona, ponieważ zmarł trzynaście lat wcześniej. Joseph Jardine, przyjaciel rodziny, leżał niedaleko od Hancocków, podobnie jak Marriott Fletcher i Annę Snęli, i bracia Peacock... / lista nie miała końca /.

W rogu Alfred Crawshaw /kapitan 17 pułku lansjerów /pomagał wstać swej ukochanej żonie Emmie z ich butwiejącego łóża. Wszędzie przez szpary w popękanych płytach nagrobnych wyglądały twarze. Czy to nie Kezia Reynolds ze swym dzieckiem, które umarło,

żyjąc jeden dzień?

A to przecież Martin van der Linde / "Pamięci Błogosławionego" /, którego żony nigdy nie znaleziono. Tam powstają Rosa i Selina Goldfinch, a tam Thomas Jerrey i...

Zbyt wiele nazwisk, aby je wszystkie wymienić. Zbyt wiele rozkładających się ciał. Wystarczy powiedzieć, że powstawali ubrani w niegdyś eleganckie, a teraz nadzarte przez czas i robactwo stroje, z twarzami pozbawionymi piękna. Ciągłe nadchodzili, opuszczali cmentarz tylną bramą i ruszali do "Elysium". Z daleka słychać było jadące samochody. Nad ich głowami przeleciał odrzutowiec. Jeden z braci Peacock zagapił się na przelatującego olbrzyma i przewróciwszy się roztrzaskał sobie szczękę. Podniesiono go troskliwie i poprowadzono. Nic wielkiego się nie stało. Czym byłoby Zmartwychwstanie bez niespodzianek?

Przedstawienie się zaczęło.

"Jeżeli muzyka jest pożywieniem miłości, grajmy.

Daj mi jej zbyt dużo, aż do przesytu;

To spowoduje, że stracę apetyt i umrę".

Nie znaleziono Callowaya za kurtyną, jednak Ryan otrzymał od Hammersmitha polecenie, które przekazał mu wszechobecny pan Lichfield, aby zaczynać niezależnie do tego, czy reżyser jest, czy nie.

--Na pewno jest na górze, w loży -- powiedział Lichfield. -- Widzę go stąd.

--Uśmiecha się? -- zapytał Eddie.,

--Od ucha do ucha.

--No to go olewam.

Aktorzy się roześmiali. Dzisiejszego wieczora mieli powody do radości. Przedstawienie przebiegało bez zgrzytów i -- mimo że nie widzieli publiczności z powodu zainstalowanych świateł podłogowych -- wyczuwali jej przychyłość. Aktorzy zeszli ze sceny podekscytowani.

--Wszyscy siedzą w łóżach -- rzekł Eddie -- ale pańscy przyjaciele Lichfield zachowują się świetnie. Są cisi, ale szeroko się uśmiechają.

Akt I, Scena II. Pierwsze ukazanie się Constantii Lichfield w roli Violi spotkało się z ogromnym aplauzem. Wielkim aplauzem.

Przypominało to bicie w dziurawe bębny lub walenie jednym wyschniętym kijem o drugi. Hojne, obfite brawa.

I, na Boga, ona potrafiła wykorzystać tę okazję. Rozpoczęła w wielkim stylu, wkładając w rolę całą duszę. Nie musiała nawet gestami podkreślać głębi swych przeżyć, wystarczyło że deklamowała cudowne wersy z tak wielką mądrością i uczuciem, że prosty, nic nie znaczący gest jej ręki, wart był tysiąca gestykulacji innych aktorów. Po jej pierwszym wejściu każde następne witane było tak samo entuzjastycznie. Po gorących oklaskach następowała niemal klasztorna cisza.

Za kulisami, między wszystkimi aktorami powstała jakaś nić porozumienia. Zrozumieli, że ich dążenia są wspólne. Wszyscy wyczuwali sukces, który wydawał się być cudem. Jeszcze wczoraj nie mogli nawet marzyć o czymś takim.

Jeszcze raz! Oklaski! Oklaski!

Do siedzącego w biurze Hammersmitha docierały tylko strzępy objawów uznania widowni. Nie ma się zresztą czemu dziwić. Biuralista był zdrowo pijany. Właśnie osuszał ósmego drinka, gdy otworzyły się drzwi. Podniósł wzrok i stwierdził, że gościem jest ten plebejski Calloway.

"Chodź i wypowiedz swój triumf -- pomyślał Hammersmith. -- Powiedz, jak bardzo się myliłem".

--Czego chcesz?

Intruz milczał. Hammersmithowi wydawało się, że kątem oka widzi szeroki uśmiech na twarzy Callowaya. Uśmiech samozadowolenia.

--Przypuszczam, że już słyszałeś? Przytaknięcie.

--Umarła -- rzekł Hammersmith. -- Umarła kilka godzin temu, nie odzyskując przytomności.

--Nie powiedziałem aktorom. Nie są tego warci.

Calloway nic nie odpowiedział. Czy nic go to nie obchodziło? Czy nie widzi, że to koniec świata? Kobieta umarła. Umarła w "Elysium". Będzie oficjalne śledztwo, sprawdzą zabezpieczenia i ubezpieczenie. Dochodzenie może ujawnić pewne niewygodne fakty.

Opróżnił szklankę do dna, nie przejmując się obecnością Callowaya.

--Twoja kariera przysiadzie po tym, synu. Nie z mojego powodu, o nie. Calloway nadal milczał.

--Nie obchodzi cię to? -- zapytał Hammersmith. Chwila ciszy, po której rozległa się odpowiedź reżysera:

--Gównu mnie to obchodzi!

--Jesteś tylko podskakującym asystentem reżysera. Wszyscy wy, pieprzeni reżyserzy, nimi jesteście. Jedno dobre przedstawienie i czujecie się bogami. Pozwól, że ci coś powiem na ten temat...

Spojrzał na Callowaya. Był już jednak tak pijany, że widział niezbyt ostro. W końcu jednak skoncentrował się.

Calloway, ta wstrętna pluskwa, był nagi od pasa w dół. Miał na sobie tylko buty i skarpetki, nie było widać spodni, ani majtek. Cała ta scena byłaby nawet komiczna, gdyby nie wyraz twarzy reżysera. Najwyraźniej oszalał: przewracał oczami, z ust i nosa ciekła mu ślina i śluz, język zwisał na brodę jak dyszącemu psu.

Hammersmith odstawił szklankę i spojrzał niżej. Koszula Callowaya była zakrwawiona. Jego szyja była rozcięta. Rana biegła niemal od prawego do lewego ucha, z którego sterczał należący do Diany Duvall pilnik do paznokci. Jego ostrze z pewnością sięgało mózgu. Reżyser był niewątpliwie martwy.

Jednak stał, mówił i chodził.

Z teatru dobiegła kolejna fala oklasków. Wydawało się, że dźwięk ten dobiega jakby z innego świata. Ze świata, do którego Hammersmith nigdy nie należał. Nigdy nie został aktorem, chociaż Bóg wie, że próbował, a dwie napisane przez niego sztuki były okropne. Starał się czytać dużo książek i nowości ze świata teatru, ABY NIE TRACIĆ kontaktu ze sceną. Za brak artystycznych zdolności nienawidził samego siebie do tego stopnia, że w końcu wrogiem stał się dla niego każdy, kto te zdolności posiadał.

Oklaski umilkły. Calloway ruszył w stronę Hammersmitha, tak jakby dostał niesłyszalne polecenie z zewnątrz. Maską, którą stała się nagle jego twarz, była jednocześnie groteskowa i przerażająca. Ociekał krwią i śmiał się. Hammersmith skulił się w kącie pokoju za biurkiem. Calloway wskoczył na nie / wyglądał bardzo śmiesznie z dyndającymi genitaliami / i złapał Hammersmitha za krawat.

--Filister -- powiedział Calloway, który nigdy nie znalazł Hammersmitha naprawdę. Złamał mu kark -- chrup! -- w momencie, gdy z teatru znów dobiegły wiwaty.

"Wstrzymaj uściski, aż okoliczności
Czasu, wydarzeń i miejsce wykażą,
Że jestem Violą".

Słowa te wypowiedziane przez Constantię były odkryciem czegoś nowego. Zupełnie jakby "Wieczór Trzech Króli" był nową, pierwszy raz graną sztuką i jakby rola Violi była napisana dla Constantii Lichfield. Aktorzy, którzy grali wraz z nią, czuli się przytłoczeni jej kreacją.

Ostatni akt zbliżał się do gorzkiego końca. Publiczność była całkowicie oczarowana i słuchała słów Szekspira z zapartym tchem.

Księżę mówił:

"Daj mi rękę.

I daj się ujrzeć w twych szatach niewieścich".

Podczas prób zrezygnowano z tego wersu, aby spełnić żądanie Lichfielda, który nie chciał, żeby dotykano jego żony. Jednak w gorączce przedstawienia zapomniano o tym zakazie. Porwany emocją aktor zbliżył się do Constantii. Ona, również zapomniawszy się, wyciągnęła do niego rękę.

Z boku Lichfield szepnął:

--Nie. -- Jednak nikt go nie usłyszał.

Księżę chwycił rękę Violi. Śmierć i życie trzymały się za rękę. Dłoń Constantii była zimna, pozbawiona pulsu. Jednak tu, na zalanej światłem scenie księżę nie zwrócił na to uwagi.

Byli równi, życie i śmierć, i nikt nie mógłby wskazać różnicy między nimi.

Lichfield za kurtyną odetchnął głęboko i nawet lekko się uśmiechnął. Obawiał się tego dotyku, bał się, że to złamie rytm przedstawienia. Jednak Dionizos najwyraźniej im sprzyjał dzisiejszej nocy. Wszystko będzie dobrze. Czuł to.

Sztuka miała się ku końcowi. Wyprowadzono Malvolia, który nawet pokonany nadal miał groźby. Jeden po drugim, aktorzy opuszczali scenę, pozwalając kłownowi zakończyć przedstawienie.

"Dawno już t emu jak ziemia stworzona

Choć deszcz i wiatry, choć wiatr i deszcz

A nam cóż to? Komedia skończona

Gracją będziemy tak w koło -- dzień w dzień".

Światła zaczęły ciemnieć, aż zgasły zupełnie. Opadła kurtyna. Rozległy się gwałtowne wiwaty i oklaski. Cały zespół stał za kurtyną; wszystkie twarze były rozjaśnione i szczęśliwe. Premiera przyniosła sukces. Kurtyna uniosła się, aplauz wzrósł.

Calloway dołączył do Lichfielda. Ubrał się już i zmył krew z szyi.

--Cóż, osiągnęliśmy wspaniały sukces -- powiedziała czaszka -- to naprawdę wielka szkoda, że teatr zostanie wkrótce zamknięty.

--To prawda -- przytaknęło ciało. Aktorzy wołali ze sceny, aby Calloway do nich dołączył. Oklaskiwali go i zachęcali, aby się pokazał. Reżyser położył rękę na ramieniu Lichfielda.

--Pójdziemy razem, proszę pana -- rzekł.

--Nie, nie. Ja nie mogę.

--Pan musi. To w równej mierze pana triumf, jak mój.

Lichfield przytaknął i wyszli razem, aby się uklonić publiczności.

Tallulah pracowała na tyłach sceny. Po śnie w palmiarni czuła się odświeżona. Tak wiele nieprzyjemnych doznań odeszło wraz z życiem. Nie miała już bólów reumatycznych ani migreny. Nie trzeba już było z wysiłkiem oddychać, nie musiała przemęczać siedemdziesięcioletnich płuc. Sprzątała energicznie, zgarniając na kupę odpadki, które pozostały po próbach: skrawki materiału, deseczki, kawałki dekoracji. Gdy sterta była już wystarczająco duża, zapaliła zapalkę i rzuciła ją na górę śmieci.

"Elysium" zaczynało się palić. Ktoś przekrzykiwał grzmot oklasków.

--Cudownie, kochani, cudownie!

To był głos Diany, rozpoznali go natychmiast, mimo, że jej nie widzieli. Stała przed pierwszym rzędem i robiła z siebie idiotkę.

--Głupia dziwka -- powiedział Eddie.

--O kurczę! -- jęknął Calloway.

Stała teraz przy samej scenie i mówiła do niego:

--Masz to, czego pragnąłeś, prawda? Czy ta twoja nowa kochanka jest dobra? Jest dobra?

Starła się wejść na scenę. Dotknęła ręką gorącej obudowy lampy. Palona skóra zaskwierczała.

--Na rany Boga, niech ją ktoś powstrzyma -- krzyknął Eddie. Diana nie zdawała sobie najwyraźniej sprawy z tego, co się dzieje z jej ręką. Nadal się do nich uśmiechała. Na scenę wionął smród palonego ciała. Aktorzy złamali szeregi i zapomnieli o owacjach.

--Zgasić światła! -- wrzasnął ktoś.

Chwilę później światła zgasły. Diana upadła z dymiącymi rękami. Jeden z aktorów zemdlął, następnemu wyraźnie zbierało się na wymioty. Za ich plecami słychać było łakomy trzask płomieni, jednak nikt nie zwracał na to uwagi.

Gdy zgasły światła podłogowe, aktorzy dokładniej zobaczyli publiczność. Parter był pusty, ale balkon i loże szczelnie wypełniali widzowie. Ktoś zaczął klaskać i aplauz wybuchł znowu. Jednak teraz tylko kilku aktorów poczuło dumę z tego powodu. Nawet z odległej sceny i mimo zmęczonych światłami oczu, aktorzy zdali sobie sprawę z tego, że cała ta publiczność jest martwa. Niektórzy powiewali jedwabnymi chusteczkami, trzymanymi w zgnitych dłoniach, inni po prostu klaskali kością o kość.

Calloway uśmiechnął się i jeszcze raz głęboko uklonił się, przyjmując owacje z wdzięcznością. Podczas piętnastoletniej pracy w teatrze jeszcze nigdy nie spotkał tak życzliwej publiczności. Dziękując za uznanie, Richard i Konstancja Lichfield postąpili dwa kroki do przodu i skłonili się głęboko.

Żyjący aktorzy rozproszyli się w przerażeniu. Zaczęli krzyczeć i modlić się, biegali po scenie jak szaleni. Przypominało to wszystko farsę. I podobnie jak w farsie, nie było wyjścia z tej sytuacji. Pierwsze płomienie pojawiły się na tyłach sceny. Sięgały już dachu, falując niespokojnie i żarłocznie. Z przodu umarli, za plecami śmierć! Powietrze pociemniało od dymu, trudno było cokolwiek zobaczyć. Ogień" już kogoś dosięgnął!

Czyjaś toga zaczęła się palić jasnym płomieniem. Ofiara wrzeszczała przeraźliwie. Ktoś inny próbował walczyć z żywiołem przy pomocy gaśnicy. Wszystko to jednak było bezcelowe i bezsensowne. Wkrótce płomienie ogarnęły dach. Większość publiczności opuściła loże. Spokojnym krokiem powracali do swych grobów. Spieszyli się, aby opuścić teatr przed

pojawieniem się straży pożarnej. Ich twarze oświetlała luna pożaru oznaczającego koniec Teatru "Elysium". Ostatnie przedstawienie dobiegło końca. Było dobre, dlatego cieszyli się, wracając do domów. Plotkowali wesoło.

Ogień płonął przez całą noc, mimo nadludzkich wysiłków straży pożarnej. Zaczął przygasać dopiero nad ranem i strażacy pokonali go ostatecznie około czwartej rano. Pożar całkowicie zniszczył Teatr "Elysium".

W ruinach znaleziono kilka ciał w stanie wykluczającym łatwą identyfikację. Przeprowadzono badania uzębienia i stwierdzono, że jedno z ciał należy do Gilesa Hammersmitha/dyrektora /, drugie do Ryana Xaviera / asystenta reżysera /, a trzecie, co zdumiało wszystkich, do Diany Duvall. "Gwiazda serialu "Ukochane dziecko" spłonęła" -- napisali dziennikarze. Po tygodniu zapomniano o niej. Nikt nie ocalał. Kilku ciał nigdy nie znaleziono.

Stali obok autostrady i patrzyli na przejeżdżające samochody. Był wśród nich oczywiście Lichfield i była Constantia, jak zawsze promienna i cudowna Calloway zdecydował, że pójdzie z nimi. Podobnie uczynił Eddie i Tallulah. Cztery inne osoby dołączyły do nich. To była pierwsza noc ich wolności. Stali teraz, wędrowną trupą, na autostradzie. Eddie udusił się w dymie, ale jego towarzysze mieli poważniejsze obrażenia. Spalone ciała, złamane kończyny. Jednak publiczność, dla której będą grać, z pewnością wybaczy im te drobne ułomności.

--Niektórzy żyją dla miłości -- powiedział Lichfield do swych nowych przyjaciół. -- Inni żyją dla sztuki. Cieszę się, że wybraliście tę drugą możliwość.

Rozległy się pomruki aprobaty.

--Witajcie w nowym świecie, wy, którzy nigdy nie umarliście!

Co jakiś czas oświetlały ich światła pędzących autostradą samochodów. Z daleka wyglądali jak normalni, żyjący mężczyźni i kobiety. Zresztą, czyż udawanie nie było ich zawodem? Tak udawać życie, aby niczym się nie różniło od prawdziwego. Ich nowa publiczność, oczekująca w grobowcach, kaplicach i kościołach z pewnością doceni ich umiejętności. Kto bardziej doceni udawanie emocji i bólu niż umarli, którzy kiedyś to odczuwali?

Umarli potrzebują rozrywki nie mniej niż żyjący, a są naprawdę zaniedbywaną publicznością.

Ta grupa nie będzie grała dla pieniędzy. Będą grali z miłości do sztuki. Lichfield powiedział im to zupełnie jasno. Nie będą służyli Apollinowi.

--A teraz -- zapytał -- którą drogę wybieramy; na północ, czy na południe?

--Na północ -- odparł Eddie. -- Moja matka jest pochowana w Glasgow. Umarła zanim zacząłem grać. Chciałbym, aby mnie zobaczyła.

--Więc na północ -- zdecydował Lichfield. -- Czy poszukamy jakiegoś środka lokomocji?

Poprowadził ich w stronę restauracji dla podróżujących, której neon rozpraszał nieco ciemność. Był teatralnie kolorowy: szkarłatno-cytrynowo-kobaltowo-biały. Automatyczne drzwi baru sapnęły i ukazał się w nich podróżny niosący hamburgery i ciastka dzieciom, które czekały w samochodzie.

--Na pewno jakiś życzliwy kierowca znajdzie dla nas miejsce -- odezwał się Lichfield.

--Dla nas wszystkich? -- zdziwił się Calloway.

--Na przykład ciężarówka zabrałaby wszystkich. Nie możemy żądać zbyt wiele, jesteśmy teraz kimś w rodzaju żebraków. Taki już kaprys naszych patronów.

--Zawsze możemy ukraść samochód -- wtrąciła Tallulah.

--Nie ma potrzeby kraść. To możemy zrobić tylko w ostateczności -- zaproponował Lichfield.

-- Constantia i ja pójdziemy i poszukamy szofera.

Wziął żonę za rękę.

--Nikt nie odmawia pięknej kobiecie -- rzekł.

--Co mamy zrobić, gdy ktoś zapyta nas, co tu robimy? -- Zapytał Eddie nerwowo. Nie był przyzwyczajony do swej nowej roli. Potrzebował zabezpieczenia. Lichfield odwrócił się do nich. Jego głos zagrzmiał w ciemności.

--Co macie robić? Grać życie, oczywiście! I uśmiechać się!

W GÓRACH I MIASTACH

Nie minął tydzień ich podróży do Jugosławii, a Mick już miał dosyć politycznej bigoterii swego kochanka. Przecież go ostrzegano. Powiedziano mu na kąpielisku, że Judd ma bardziej prawicowe poglądy niż Hun Atylla. Jednak facet, który go ostrzegł, był jednym z ekskochanków Judda i dlatego Mick sadził, że nie jest obiektywny. Powinien był jednak go posłuchać. Nie siedziałby teraz w volkswagenie, który wydawał mu się nie większy niż trumna i nie jechałby tą nie mającą końca drogą. Judd bez przerwy przedstawiał swoje poglądy na sowiecki ekspansjonizm. O Boże, jakież on był nudny! On nie rozmawiał, on wykladał, w nieskończoność wykladał. We Włoszech przekonywał Micka, że komuniści wykorzystali głosy ludu. Teraz, w Jugosławii, Judd naprawdę się zapalił i Mick miał ochotę rozwalić jego zadufany łeb młotkiem.

Miał go dosyć wcale nie dlatego, że się nie zgadzał z jego poglądami. Niektóre z przytoczonych argumentów / te, które Mick pojął / wydawały się całkiem sensowne. Zresztą, co on wie? Jest tylko nauczycielem tańca. Judd natomiast był dziennikarzem, człowiekiem wykształconym. Wydawało mu się, jak zresztą większości dziennikarzy, że powinien mieć gotową opinię na temat wszystkiego, co się działo na świecie. Szczególnie fascynowały go kwestie polityczne. Mógł o tym rozprawić godzinami. Babrał się w tym politycznym bajorku i ba-brał, a ty babrałeś się razem z nim. Temat był dla Judda niewyczerpany, potrafił pod politykę podciągnąć dosłownie wszystko. Wszystko bowiem, według Judda, miało swe odbicie w polityce. Sztuka jest upolityczniona. Seks jest upolityczniony. Religia, handel, ogrodnictwo, jedzenie, picie i oddychanie też są upolitycznione.

Jezu, on był wykańczające, zabójczo, śmiertelnie nudny.

Co gorsza, Judd zdawał się nie dostrzegać znudzenia Micka, a nawet jeśli je widział, to najwyraźniej nic go to nie obchodziło. Po prostu kontynuował swą tyradę, argumenty stawały się coraz gorętsze, a zdania wydłużały się z każdą przebytą przez nich milą.

Mick doszedł do wniosku, że Judd jest po prostu samolubnym pierdołą. Zdecydował, że rozstanie się z nim, jak tylko ich miesiąc miodowy dobiegnie końca.

Judd dosyć szybko zdał sobie sprawę z tego, że Mick absolutnie nie jest odpowiednim dla niego partnerem do dyskusji. Facet nie wykazywał żadnego zainteresowania ekonomią i polityką krajów, przez które przejeżdżali. Nie obchodziła go sytuacja ekonomiczna Włoch. Ziewał, tak ziewał, gdy Judd próbował rozmawiać o rosyjskim traktowaniu pokoju na świecie. Mick był po prostu damą, to najtrafniejsze słowo. Mimo, iż nie nosił eleganckich sukni i biżuterii, to jednak był damą. Wystarczało mu, że wyglądał przez okno jadącego samochodu i patrzył na ruiny kwitnących niegdyś kultur. Był ograniczony. Po prostu był ładny i zadbany, ale nic więcej. Miesiąc miodowy.

Droga prowadząca z Belgradu do Nowego Pazaru była, jak na jugosłowiańskie standardy, całkiem niezła. Nawierzchnia nie miała tylu dziur, co drogi, którymi podróżowali dotychczas. Nowy Pazar leżał w dolinie rzeki Raska, na południe od miasta nazwanego imieniem rzeki. Nie były to tereny często odwiedzane przez turystów. Oprócz dobrej drogi nie było tu żadnych innych udogodnień. Mick jednak koniecznie chciał zobaczyć klasztor w Sopocani leżący na zachód od miasta. Po dyskusji Judd się zgodził.

Podróż była męcząca. Po obu stronach drogi ciągnęły się wysuszone i piaszczyste pola. Lato było bardzo gorące i susza ogarnęła spory obszar kraju. Zboże wyschło, a inwentarz

domowy zarznięto i zjedzono, aby uchronić go przed śmiercią z pragnienia. Kilka twarzy, które dostrzegli mijając wioski, sprawiało przygnębiające wrażenie. Nawet dzieci były posępne. Zbyt wcześnie zwały się na nie troski godne dorosłych ludzi.

Po kłótni w Belgradzie nie odzywali się do siebie. Jednak prosta droga, którą jechali, była tak nudna, że zmusiła ich do rozmowy. Gdy prowadzenie samochodu nie wymaga uwagi, umysł zaczyna szukać innego zajęcia. Można się na przykład pokłócić.

--Po co do cholery chcesz zobaczyć ten klasztor? -- zapytał Judd. To było niewątpliwe zaproszenie do rozmowy.

--Skoro przejechaliśmy już tyle... Mick starał się mówić tonem konwersacyjnym. Nie miał ochoty na argumentację.

--Pieprzona Dziewica, Tak?

Powstrzymując wybuch, Mick podniósł do oczu przewodnik i przeczytał głośno:

--"... być może najwspanialsze dzieło serbskich malarzy. Nadal znajduje się w dobrym stanie. Specjaliści sądzą, że może być to największe arcydzieło ze szkoły Raska: Sen Dziewicy".

Cisza.

--Mam już dosyć kościołów -- powiedział Judd.

--To arcydzieło.

--Według tej cholernej książki wszystko jest arcydziełem. Mick czuł, że powoli traci panowanie nad sobą.

--Tylko dwie i pół godziny jazdy, aby zobaczyć najbardziej...

--Powiedziałem ci, mam już dosyć kościołów. Mdl mi od panującego tam smrodu. Stare kadzidło, stare kłamstwa i gadki...

--To krótka wycieczka. Potem wrócimy i będziesz mi mógł urządzić kolejny wykład na temat subwencji na rolnictwo w Sandzak.

--Staram się po prostu nakłonić cię do inteligentnej rozmowy, zamiast tego objeżdżania pieprzonych, serbskich arcydzieł...

--Zatrzymaj się!

--Co?

--Zatrzymaj się!

Judd zatrzymał volkswagena na poboczu. Mick wysiadł. Mimo lekkiego wiatorku było potwornie gorąco. Mick odetchnął głęboko i stanął na środku drogi. Droga była pusta. Ani samochodów, ani pieszych. Góry lśniły w blasku słońca. Na polach rosły dzikie maki. Mick przeszedł na drugą stronę drogi, pochylił się i zerwał kwiat.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi samochodu.

--Po co stanęliśmy? -- chciał wiedzieć Judd. Z jego głosu przebijał gniew. Nadal chciał się kłócić. Pragnął tego. Mick przyglądał się kwiatom. Płatki odpadały za najlżejszym dotknięciem. Zbliża się koniec lata. Małe plamy czerwieni na szarej ziemi.

--Zadalem ci pytanie -- znów odezwał się Judd.

Mick się obejrzał. Judd stał obok samochodu ze zmarszczonym czołem. Jakiś był męski i przystojny. Kobiety nie mogły uwierzyć, że jest pedałem. Duże, czarne, wypielęgnowane starannie wąsy i oczy, które zawsze były inne. Nie można było się nim znudzić. Dlaczego tak ładny i przystojny mężczyzna jak Judd musi być" tak niewrażliwym gównem?

Judd także patrzył taksujące na ładnego chłopca stojącego po drugiej stronie drogi. Chciało mu się rzygnąć, gdy widział łzawe gesty Micka. To pasowało może do szesnastoletniej dziewczicy, ale nie do dwudziestopięcioletniego pederasty.

Mick rzucił kwiat i wyciągnął koszulkę ze spodni. Zdjął ją, ukazując światu szczuple ciało. Wzburzył sobie włosy, spojrzął na Judda i uśmiechnął się szeroko. Judd obserwował go uważnie. Niezbyt muskularne, ale ładne ciało. Na brzuchu widniała blizna po operacji wyrostka robaczkowego. Szyję Micka otaczał delikatny, złoty łańcuszek. Mimo woli Judd odwzajemnił uśmiech chłopaka. Napięcie między nimi opadło.

Mick odpinał pasek od spodni.

--Chcesz się pieprzyć? -- zapytał, nadal się uśmiechając.

--To bez znaczenia -- padła odpowiedź.

--Dlaczego?

--Nie pasujemy do siebie.

--Chcesz się założyć?

Odpinał zamek i odwrócił się do pól rozciągających się obok drogi. Judd patrzył jak Mick ściąga spodnie. Jego plecy miały kolor zboża. Pieprzenie się na powietrzu było niebezpieczne. Nie byli w San Francisco ani nawet w Hampstead. Judd nerwowo rozejrzał się po drodze. Nadal była pusta. Mick obejrzał się i odchodząc coraz dalej w pole machał na Judda ręką. Diabli tam... nikogo nie było widać. Tylko bezludne, pokryte do połowy lasem wzgórza, których mamę, ludzkie sprawy nic nie obchodzą. Judd ruszył za Mickiem, odpinając koszulkę. Spod stóp uciekały spłoszone myszy polne, zdumione obecnością giganta, który zakłócił ich spokojne życie. Judda rozbawiła ich paniczna ucieczka. Nie chciał ich skrzywdzić, ale skąd one mogły o tym wiedzieć? Może, gdy tak idzie przez pole, jest sprawcą setek zabójstw. Zabija myszy, żuki, glisty i różne robaki. Dotarł do leżącego, nagiego Micka. Chłopak wystawiał swe genitalia ku słońcu, leżał na zgniecionym zbożu i ciągle się uśmiechał.

To było dobre, bardzo dobre i sprawiło jednakową przyjemność im obu. Kochali się namiętnie i czule, pełni pożądania, które natychmiast musiało być zaspokojone. Tulili się do siebie, pieścili się i całowali, z ciał utworzyli węzeł, który tylko orgazm mógł rozwiązać. Pokaleczyli sobie plecy i pośladki o ostre kłosa zboża. W czasie spełnienia usłyszeli miarowe posapywania silnika traktora. Zdążyli się już jednak zaspokoić.

Wrócili do volkswagena. We włosach, w uszach, między palcami nóg -- wszędzie mieli ziarna pszenicy. Uśmiechali się łagodnie. Zawarli rozejm. Nie będzie on może zbyt trwały, ale na pewno zapewni im spokój na kilka godzin.

Samochód zamienił się w istny piekarnik. Otworzyli wszystkie okna i ruszyli do Nowego Pazaru. Była czwarta, a im została jeszcze godzina drogi.

Gdy wsiadali do samochodu, Mick powiedział:

--Zapomnijmy o klasztorze, dobrze? Judd spojrzął zaskoczony.

--Myślałem...

--Nie mógłbym znieść jeszcze jednej pieprzonej Dziewicy... Roześmiali się, pocałowali gorąco, aby jeszcze raz poczuć swój smak.

Nazajutrz także świeciło słońce, ale dzień nie był już taki upalny. Na niebie pojawiło się nawet kilka chmur. Ranne powietrze działało bardzo orzeźwiająco -- jak eter lub mięta.

Vaslav Jelovsek patrzył na gołębie igrające z przejeżdżającymi samochodami. Część

jadących samochodów należała do wojska. Chłodne powietrze poranka tylko nieznacznie łagodziło podniecenie. Podniecenie, które odczuwał dzisiaj każdy mieszkaniec Popolacu. Wydawało się, że gołębie wyczuwają to podniecenie i w jakiś sposób je dzielają. Umykały spod kół samochodowych w ostatniej chwili, jakby igranie ze śmiercią sprawiało im przyjemność.

Jelovsek spojrział na niebo. Nic się nie zmieniło od świtu. Warstwa chmur wisiała nisko. Nie było to najlepsze dla obchodów. Przyszło mu na myśl angielskie zdanie, które usłyszał od przyjaciela: "mieć głowę w chmurach". Domyślał się, że to znaczyło żyć w świecie marzeń. Pomyślał złośliwie, że to jest wszystko, co świat Zachodu jest w stanie powiedzieć o chmurach. Znaczenie tego zdania może być przecież zupełnie inne. Czy tu, wśród tych tajemniczych wzgórz, nie tworzy się niezwyklej rzeczywistości pasującej do tego zdania? Żyjące przysłowie.

Głowa w chmurach.

Na placu zatrzymał się pierwszy kontyngent. Jedna czy dwie osoby były nieobecne z powodu choroby, ale zastąpili je natychmiast ochotnicy. Co za zapal! I jakie szerokie uśmiechy na twarzach tych, których nazwiska zostały wyczytane. Kazano im dołączyć do formującej się na placu kolumny. Doskonała organizacja. Wszyscy mieli co robić i wiedzieli jak to robić. Nie było przepychanek. Wszystko odbywało się przy akompaniamencie pełnych zapалу głosów. Z podziwem patrzył na pracę. Ustawianie i wiązanie przebiegało niezwykle sprawnie. Zapowiada się długi i ciężki dzień. Vaslav był na placu już na godzinę przed świtem. Popijał od czasu do czasu kawę z importowanego, plastikowego kubka i sprawdzał prognozy pogody nadchodzące z Pristiny i Mitrovic. Popatrywał co chwila na coraz jaśniejsze niebo. Pił właśnie szóstą kawę, zbliżała się siódma godzina. Po drugiej stronie placu stał Metzinger. Wyglądał na tak samo zmęczonego i zaniepokojonego jak Vaslav.

Stali na placu jednakowo długo. Teraz jednak nie odzywali się do siebie, jakby zapomnieli o wcześniejszym partnerstwie. Tak już pozostanie aż do końca zawodów. W końcu Metzinger pochodził z Podujeva. Musiał reprezentować swoje miasto w nadchodzącej walce. Jutro wymienią wrażenia, jednak dzisiaj muszą się zachowywać tak, jakby się nie znali. Nie wolno im nawet uśmiechać się do siebie. Dzisiaj są partyzantami troszczącymi się tylko o zwycięstwo swego rodzinnego miasta

Ku zadowoleniu Metzingera i Vaslava utworzono już pierwszy oddział reprezentujący Popolac. Kontrola bezpieczeństwa została przeprowadzona w sposób bardzo drobiazgowy. Oddział opuścił plac, rzucając wielki cień na front ratusza.

Vaslav połknął łyk słodkiej kawy i wydał z siebie cichy pomruk zadowolenia. Co za dni, co za wspaniałe dni. Dni chwały, powiewających wysoko flag, wzruszających widoków. Dni, których wspomnienie może wypełnić resztę życia. Wspaniałe posmak niebios. Niech Ameryka zabawia się swymi animowanymi myszkami, zamkami z czekolady i kultem techniki. Jego, Vaslava, takie rzeczy nie bawią. Największy cud świata ukryty jest tutaj, wśród wzgórz. Och, cóż za wspaniałe dni.

Na głównym placu Podujeva rozgrywała się podobna scena. Nastrój tu panujący nie był jednak tak radosny. Było to zrozumiałe. Nita Obrenovic, ukochana organizatorka, zmarła w tym roku. Ostatniej zimy skończyła dziewięćdziesiąt cztery lata. Osierociła miasto, pozbawiając je swej energii i trafności opinii. Nita pracowała z mieszkańcami Podujeva przez ponad sześćdziesiąt lat, planując zawody i wymyślając ciągle coś nowego. Całą swą energię

wkładala w przygotowywanie obchodów wspanialszych od poprzednich.

W tym roku umarła i wszystkim bardzo jej brakowało. Mimo nieobecności Nity wszystko odbywało się w wielkim porządku, jednak, niestety, nie tak sprawnie i Podujevo miało dwadzieścia pięć minut spóźnienia. Córka Nity kierowała przygotowaniem, nie miała jednak w sobie energii i staranności matki. Była, krótko mówiąc, zbyt delikatna do tej roboty. Ta praca wymagała umiejętności maga i przywódcy ludu jednocześnie...Niewykluczone, że za dwa, trzy lata córka Nity znajdzie właściwą metodę postępowania i będzie w stanie w pełni zastąpić matkę. Dzisiaj jednak Podujevo nie było najlepiej zorganizowane. Przeoczono zabezpieczenia, nerwy zastąpiły spokój i ufność minionych lat. Mimo wszystko, pierwszy oddział opuścił Podujevo za sześć ósma i ruszył do wyznaczonego punktu zbornego, aby tam oczekiwać na nowego przywódcę.

Mick obudził się równo o siódmej, mimo że ich prosto umeblowany pokój w hotelu Belgrad nie był wyposażony w budzik. Leżał na swym łóżku i słuchał regularnego oddechu Judda, dochodzącego z drugiej strony pokoju. Przyćmione światło poranka wpadło do pokoju przez cienkie zasłony, nie zachęcając raczej do wczesnego wstawania. Po kilku minutach bezmyślnego gapienia się na popękaną farbę pokrywającą sufit, Mick wstał i podszedł do okna. Nieciekawy dzień -- doszedł do wniosku. Niebo było zachmurzone. Nowy Pazar w szarym świetle poranka przedstawiał smutny i beznadziejny widok. Jednak daleko za miastem Mick dostrzegł wzgórze, które oświetlało słońce. Słońce muskało grzbiety wzniesień, oświetlało zielone lasy, jakby zapraszając na wycieczkę.

Może dzisiaj pojedą do Kosovskiej Mitrovicy, na południe? Zdaje się, że był tam targ i muzeum. Później będą mogli jechać dalej doliną Ibar, aż do wzgórz. Wzgórze? Tak, zdecydował, że dzisiaj jadą w góry. Było piętnaście po ósmej.

Korpusy w Popolacu i Podujevie były gotowe przed dziewiątą. W wyznaczonych miejscach czekały na nie pozostałe wojska. Vaslav Jelovsek osłonił oczy dłońmi i spojrzął w niebo. Nie było wątpliwości, że w ciągu ostatniej godziny chmury wyraźnie się podniosły i w niektórych miejscach pojawi się błękit. Gdzieś tam przeświecało słońce. Nie będzie to może najlepszy dzień na zawody, ale nie powinno być źle.

Mick i Judd zjedli na śniadanie jajka na szynce i napili się dobrej, czarnej kawy. Pogoda z minuty na minutę stawała się coraz lepsza i wraz z nią poprawiły się nastroje. Dojadą do Kosovskiej Mitrovicy około dwunastej, a górski zamek Zvecan powinni osiągnąć po południu. Około dziesiątej trzydzięci wyjechali z Nowego Pazaru i drogą Srbovac ruszyli na południe w stronę doliny Ibar. Nie była to najlepsza droga, ale wyboje i dziury nie były w stanie popsuć ich dobrego nastroju.

Droga była praktycznie pusta, jeśli nie liczyć sporadycznie napotykanych pieszych. Po obu jej stronach ciągnęły się pola kukurydzy, a w głębi zaczęły się już pojawiać niewielkie wzgórza o pokrytych gęstym lasem zboczach. Poza ptakami, nie dostrzegli śladu zwierząt. Przejechali kilka mil. Nie było już żadnych pieszych. Minęli tylko farmę, która okazała się być zamknięta i opuszczona. Czarne świnie biegały po zagrodzie. Nie miał ich kto nakarmić. Pranie wisiało na sznurze, ale nie miał go kto zebrać.

Ta podróż w góry wyraźnie posłużyła ich wzajemnym stosunkom. Po pewnym czasie zaczęli jednak odczuwać nieokreślony niepokój.

--Czy nie powinno być jakiegoś drogowskazu do Mitrovicy, Mick? Mick zerknął na mapę.

--Może...

--... może jedziemy złą drogą?

--Gdyby był jakiś znak, to bym go zobaczył. Wydaje mi się, że powinniśmy spróbować zjechać z tej drogi, aby jechać bardziej na południe i dostać się do doliny Ibar.

--Jak mamy zjechać z tej cholernej drogi?

--Było kilka skrętów...

--Polnych dróg...

--To chyba lepsze niż jechać tam, gdzie teraz jedziemy. Judd zacisnął usta.

--Papierosa -- poprosił.

--Skończyły się milę temu.

Wzgórza przed nimi stawały się coraz okazalsze. Wydawały się nie zamieszkane. Nie było widać ani jednej smużki dymu, było cicho.

--Dobra -- rzekł Judd -- skręcamy na następnym skrzyżowaniu. To lepsze niż dalej telepać się tą drogą.

Nagle nawierzchnia się popsuła, dziury stały się istnymi kraterami, a wyboje górami.

Nagle:

--Tam!

Skręt. Nareszcie skręt Nie była to oczywiście żadna duża droga. Prawdę mówiąc, był to zwykły polny trakt. Stanowiło to jednak jakąś alternatywę dla nie kończącej się drogi, którą jechali.

--To się zaczyna robić jakieś cholerne safari -- powiedział Judd, gdy volkswagen zaczął podskakiwać i jęczeć na wybojach.

--Gdzie twoja żyłka do przygód?

--Zapomniałem ją zapakować.

Wspinali się teraz. Droga prowadziła pod górę. Las otoczył ich ze wszystkich stron. Drzewa rosły tak blisko drogi, że ich korony przysłaniały niebo. Nagle rozległ się wesóły i optymistyczny śpiew ptaka, jednocześnie poczuli zapach świeżo rozkopanej ziemi. Przed maską przebiegł lis; zatrzymał się na sekundę, aby popatrzeć na trzęsący się samochód. Później, spokojnie i dostojnie, jakby się ich w ogóle nie bał, zniknął między drzewami. Dokądkolwiek jechali, było to lepsze niż droga, którą opuścili. Tak przynajmniej uważał Mick. Niedługo się zatrzymają i poszukają miejsca, z którego będzie można zobaczyć dolinę, a może nawet Nowy Pazar.

Dwaj mężczyźni nadal posuwali się leśną drogą. Mieli jeszcze godzinę jazdy do Popolacu, gdy głowa kontyngentu została uformowana i wymaszerowała, aby dołączyć do reszty ciała.

Miasto było kompletnie puste. Nawet chorzy i starzy nie zaniedbali swego obowiązku. Nikt nie odmówił udziału w zawodach. Żaden z obywateli, nawet mali i słabi, kulawi, ciężarne kobiety, nikt nie wyparł się reprezentowania swego dumnego miasta. Wszyscy ruszyli do punktu zbornego. Takie było prawo, któremu się podporządkowali. Nie trzeba go było zresztą egzekwować. Każdy chciał tam być i widzieć zawody, widzieć straszne zmagania. Konfrontacja bez litości. Miasto przeciw miastu. Tak więc oba miasta ruszyły w góry. Do północy obywatele obu miast zbiorą się w okrytym tajemnicą miejscu w górach. Spotkają się, aby, ukryci przed oczami świata, odbyć ceremonialną bitwę. Tysiące serc biło przyśpieszonym rytmem. Tysiące ciał napinało się i splywało potem, gdy obywatele bliźniaczych miast zajmowali wyznaczone

pozycje. Masa ludzi miażdżyła wszystko, co napotkała na swej drodze, zabijała zwierzęta, zmieniała trawy w pył, łamała krzewy i obalała drzewa. Ziemia drżała, gdy przechodzili, a góry odbijały echo tysięcznych stąpań.

W ciele Podujeva nagle pojawiły się pewne problemy techniczne. Mała usterka wystąpiła na lewym boku. W konsekwencji pojawiły się problemy z obrotowym połączeniem biodra. Okazało się to poważniejsze, niż myślano na początku. Ruch stracił swą płynność. Wystąpiło poważne napięcie w tej części ciała. Starano się je zlikwidować wszelkimi siłami. Zawody w końcu wymyślono po to, aby przewycięzać takie trudności. Jednak niebezpieczeństwo było bliższe, niż ktokolwiek odważyłby się przyznać. Obywatele nie byli już tak wy-trenowani i sprawni jak kiedyś. Dekada marnych zbiorów i nieurodzaju odbiła się na sprawności fizycznej mieszkańców. Kości i mięśnie nie miały już siły. Źle zabezpieczony bok sam w sobie nie stanowił niebezpieczeństwa, jednak nie wróżył nic dobrego w zbliżającej się walce. Jeżeli ciała reszty uczestników były tak samo słabe, śmierć może dziś zebrać potworne żniwo.

Zatrzymali samochód.

--Słyszysz?

Mick potrząsnął głową. Nie miał najlepszego słuchu. Bywał na zbyt wielu hałaśliwych koncertach rockowych i dyskotekowych.

Judd wysiadł z samochodu. Ptaki ucichły, a on znów usłyszał ten dźwięk. Nie był to zwykły hałas. Zdawał się dochodzić z głębi ziemi, tak jakby drżały otaczające ich góry.

--Może to burza?

--Nie, to zbyt rytmiczne. Znów się pojawiło. Judd poczuł drżenie ziemi. Grzmot. Tym razem Mick również usłyszał. Wychylił się przez okno samochodu.

--To gdzieś przed nami. Teraz słyszę. Judd przytaknął.

Grzmot.

Ziemia znów zadrżała.

--Co to jest, do diabła? -- zapytał Mick.

--Cokolwiek to jest, chcę to zobaczyć... Judd, uśmiechając się, wrócił do volkswagena.

--Brzmi prawie jak armaty -- powiedział, zapalając samochód.

--Duże armaty.

Przez swą rosyjską lornetkę Vaslav Jelovsek zobaczył, jak główny sędzia unosi pistolet startowy. Dostrzegł biały dymek wylatujący z lufy, a w chwilę później usłyszał echo strzału.

Zawody się rozpoczęły.

Spojrzał na bliźniacze wieże Popolacu i Podujeva. Głowami prawie dotykały chmur. Wyglądały zupełnie tak, jakby ze wszystkich sił naprężały się, aby dosięgnąć nieba. Było w tym widoku coś groźnego i zapierającego oddech.

Dwa miasta stały naprzeciw siebie gotowe rozpocząć rytualną walkę.

Wydawało się, że Podujevo ma mniejsze szansę. W jego postawie była jakaś niepewność i wahanie. Ale to chyba nic poważnego, po prostu jakiś brak koordynacji ruchów. Kilka kroków i miasto będzie poruszało się rytmicznie, kilka kroków i jego mieszkańcy staną się jednością, jednym, wielkim, groźnym jak sama śmierć potworem. Potworem gotowym zmierzyć się ze swym przeciwnikiem.

Strzał spłoszył ptaki siedzące na drzewach. Ptaki wzniosły się w powietrze, ćwierkając jakby dla uczczenia wielkich zawodów.

--Słyszałeś strzał? -- zapytał Judd. Mick przytaknął.

--Ćwiczenia wojskowe...? -- Judd uśmiechnął się. Już widział te nagłówki -- "Raport z tajnych manewrów wojskowych w głębi Jugosławii". "Rosyjskie czołgi". "Ćwiczenia taktyczne w tajemnicy przed Zachodem". Przy odrobinie szczęścia może dzięki temu zrobić karierę.

Grzmot.

Grzmot.

Ptaki poderwały się spłoszone. Grzmoty były coraz głośniejsze. To rzeczywiście brzmiało jak armaty.

--To za tym grzbietem... -- powiedział Judd, wskazując górę.

--Sądzę, że nie powinniśmy iść dalej.

--Muszę to zobaczyć.

--Ja nie. Na pewno nie jesteśmy pożądanymi obserwatorami.

--Skąd wiesz?

--Wyrzucą nas, deportują... nie wiem... po prostu myślę. Grzmot.

--Muszę to zobaczyć.

Ledwo to powiedział, kiedy usłyszeli wrzaski.

Krzyczało Podujevo. Był to krzyk agonii. Ktoś padł z przemęczenia na słabym boku. I tak się zaczęło. Ktoś stracił sąsiada, później ten sąsiad -- swego sąsiada i tak dalej. Chaos wdarł się w ciało miasta. Rozszerzający się bałagan zachwiał gwałtownie całą strukturą miasta.

Arcydzieło stworzone przez obywateli Podujeva z ich własnych ciał zaczęło się rozpadać, aż wreszcie rozleciało się zupełnie. Z uszkodzonego boku wysypali się ludzie. Przypominali lejącą się z rany krew. Spadając na ziemię, roztrzaskiwali się o nią, łamali sobie kończyny i umierali w strasznych męczarniach. Wielka głowa, która jeszcze tak niedawno sięgała chmur przechyliła się niebezpiecznie na bok. Dziesięć tysięcy ust ryknęło jednocześnie w obłędym strachu. Był to krzyk bez słów, żalosa skarga do niebios. Krzyk rozpacz, krzyk ostrzeżenia i pewności zagłady. Krzyk żalu, że nadeszły dni krwi i śmierci.

--Słyszałeś to?

Mimo siły tego głosu nie mieli wątpliwości, że krzyczał człowiek. Judd poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Spojrzał na bladego jak papier Micka.

Judd zatrzymał samochód.

--Nie! -- powiedział Mick.

--Słuchaj... na Boga...

Krzyk umierającego znów wypełnił powietrze. Dochodził z niewielkiej odległości.

--Musimy jechać dalej -jęknął Mick.

Judd potrząsnął głową. Spodziewał się ujrzeć za wzgórzem połowę rosyjskiej armii, ale to, co słyszał, było ludzkim okrzykiem. Zbyt ludzkim jak na czołgi. Przypominało mu to skargi pochłoniętych przez piekło, które słyszał w nocnych koszmarach w czasach dzieciństwa. Straszne, nie kończące się cierpienia, którymi straszyla go matka, gdy nie chciał chodzić na religię. Odezwał się w nim strach, którego nie czuł od dwudziestu lat. Nagle znów usłyszał ten krzyk. Wydało mu się, że za wzgórzem stoi jego matka po to, aby wymierzyć mu zasłużoną karę i wtrącić go do piekła.

--Jeżeli ty nie pojedziesz, to ja to zrobię.

Mick wysiadł z samochodu i obszedł go dookoła, nerwowo się rozglądając. Nagle zamrugał

oczami z niedowierzaniem. Obrócił się do samochodu z twarzą białą jak śnieg.

Jego kochanek ciągle siedział w samochodzie z twarzą ukrytą w dłoniach, starając się odepchnąć od siebie koszmary.

--Judd...

Judd powoli podniósł głowę. Mick patrzył na niego dzikim wzrokiem. Twarz miał mokrą od zimnego potu. Judd spojrział na drogę za Mlekiem. Kilka metrów za plecami młodzieńca droga gwałtownie ciemniała. Płynęła tamtędy istna rzeka krwi. Mózg Judda próbował znaleźć jakieś inne wytłumaczenie od tego narzucającego się. Bezskutecznie jednak. To niewątpliwie była krew, nieprawdopodobna ilość krwi. Nagle wiatr przyniósł specyficzny zapach wnętrza ludzkiego ciała: na pół słodki, na pół gorzki.

Mick potykając się podbiegł do samochodu i konwulsyjnie szarpiąc klamkę, próbował otworzyć drzwi. Drzwi otworzyły się. Chłopak opadł na siedzenie i rozejrzał się dzikim wzrokiem.

--Zawracaj -- powiedział.

Judd sięgnął do stacyjki. Fala krwi omywała już przednie koła samochodu. Z przodu cała ziemia była czerwona.

--Ruszaj, kurwa, ruszaj!

Judd nie próbował uruchomić samochodu.

--Musimy się rozejrzeć -- powiedział bez przekonania -- musimy.

--Nic nie musimy -- krzyknął Mick -- spieprzajmy stąd. To nie nasza sprawa...

--Może to katastrofa lotnicza...

--Nie ma dymu.

To głosy ludzi.

Mick chciał stąd uciec jak najprędzej. Mógł czytać o tragediach i wypadkach w gazecie, mógł oglądać czarno-białe zdjęcia, ale nie potrafił sam temu stawić czoła. Było to zbyt krwawe, zbyt świeże i niespodziewane.

Nie wiadomo, co było na końcu drogi, co się tam stało i co spowodowało tę rzekę krwi.

--Musimy...

Judd zapalił samochód, Mick zaczął cicho szlochać. Volkswagen ruszył do przodu, brodząc w potokach krwi.

--Nie -- zaprotestował bardzo cicho Mick -- proszę, nie...

--Musimy -- odparł Judd. -- Musimy. Musimy...

Popolac powoli odzyskiwał siły po walce. Patrzył tysiącami oczu na agonię swego rytualnego wroga: tysiące ciał roztrzaskanych na zawsze, zaplątanych w kilometry sznura. Popolac cofnął się chwiejnie, machając rękami dla utrzymania równowagi. Nadal trzymał się na nogach przerażony strasznym widokiem u swych stóp. Po chwili miasto odwróciło się od krwawej miazgi Podujeva i odeszło w góry.

Cień odchodzącego olbrzyma padł na volkswagena i krwawą drogę, po której się poruszał. Mick niczego nie dostrzegł przez załamane oczy, a Judd, myślący tylko o tym, co zobaczy za następnym zakrętem, zauważył tylko, że coś przysłoniło na chwilę słońce. Może to była chmura, a może stado ptaków. Gdyby spojrział do góry, dostrzegłby znikającą w dali ogromną głowę szalonego i zwycięskiego Popolacu. Przekroczyłoby to niewątpliwie jego zdolność rozumowania i na pewno nie pomogłoby mu zapomnieć o koszmarach z dzieciństwa.

Mick i Judd, będąc mimowolnymi świadkami rozgrywki bliźniaczych miast, byli tak samo bliscy utraty rozsądku jak ich mieszkańcy.

Pokonali ostatni zakręt i ich oczom ukazały się ruiny Podujeva. Nigdy w życiu nie widzieli nic równie potwornego i brutalnego.

Być może podczas obu wojen światowych leżało obok siebie na polach bitew tak wiele ciał. Jednak na wojnie bili się mężczyźni, a tutaj bardzo wiele ciał należało do kobiet i dzieci. Miejscami ciała te tworzyły prawdziwe pagórki. Wyglądało na to, że ci wszyscy ludzie zginęli w wyniku działania prostego prawa grawitacji.

Widok mógł doprowadzić do obłądzenia. W obliczu tego, co widzieli, umysł odmawiał posłuszeństwa, rozsądek nie potrafił tego zaakceptować, gorączkowo szukając jakiegoś sensownego wytłumaczenia. Mick i Judd powtarzali się mimo woli:

--To się nie stało. To tylko straszny sen, a nie rzeczywistość.

Jednak była to prawda. To co widzieli, to była prawdziwa śmierć.

Podujevo upadło.

Trzydzieści osiem tysięcy siedmuset sześćdziesięciu pięciu obywateli roztrzaskało się o ziemię, tworząc nieforemne sterty ciał. Ci, którzy nie zginęli w wyniku upadku lub uduszenia, umierali teraz. Przeżyło tylko kilku obserwatorów, którzy uciekli wcześniej ze swych domów, aby obserwować zawody. Tych kilku ocalałych stało teraz i w niemym przerażeniu patrzyło na masakrę, próbując przekonać siebie samych, że to tylko senny koszmar.

Judd pierwszy wyszedł z samochodu. Ziemia była lepka od krzepnącej krwi. Spojrzał na gigantyczną rzeźnię. Nie było wraku żadnego samolotu, nie było ognia, ani smrodu paliwa -- po prostu dziesiątki tysięcy ciał jednakowo ubranych mężczyzn, kobiet i dzieci. Niektóre z ciał miały nałożony rodzaj skórzanej uprzęży, która z kolei była połączona z nieskończenie długim sznurem. Podeszedł bliżej. Widział teraz dokładniej niezwykle system węzłów, pasków i sznurów. Z jakiegoś powodu ci ludzie zostali razem powiązani: jeden przywiązany do drugiego. Niektórzy mieli na swych barkach jakby jeźdźców i odpowiednią do tego uprzęż. Inni byli po prostu powiązani ramię w ramię, tworząc żywy mur. Jeszcze inni mieli na sobie uprzęż zmuszającą ich do zwinięcia się w kulę. Wszyscy byli ze sobą połączeni. Wydawało się, że ludzie ci po prostu poszaleli i zabawiali się w jakąś równie szaloną grę.

Kolejny strzał.

Mick podniósł głowę.

Z góry schodził ubrany w szary płaszcz człowiek z rewolwerem... Metodycznie i spokojnie dobijał rannych. Był to straszliwy akt miłosierdzia, ale mężczyzna wykonywał swą robotę metodycznie, wyszukując najpierw dzieci. Opróżniał rewolwer, nabijał powtórnie, opróżniał, nabijał, opróżniał...

Mick się poderwał.

--Co to jest?! -- wrzasnął piskliwym ze zdenerwowania głosem, przekrzykując jęki rannych.

Mężczyzna przerwał na chwilę swe przerażające zajęcie i podniósł szarą jak jego płaszcz twarz.

--Hę? -- mruknął pytająco, patrząc z dezaprobatą na dwóch intruzów.

--Co tu się stało?! -- krzyknął Mick do niego. Należało krzyczeć, trzeba było na niego krzyczeć. Może go to zawstydzi. Dobrze byłoby go zawstydzić.

--Powiedz nam... -- prosił Mick. Jego głos stawał się coraz bardziej płaczący. -- Na Boga, powiedz. Wyjaśnij.

Szary człowiek potrząsnął głową. Nie rozumiał ani słowa z przemowy tego młodego idioty. Wiedział, że chłopaki mówią po angielsku, ale to wszystko. Mick ruszył w kierunku mężczyzny z rewolwerem, czując na sobie wzrok tysięcy zmarłych: oczy świecące jak czarne perły w zamaskowanych twarzach śledziły go uważnie -- oczy w głowach jęczących, oczy w głowach milczących, martwych.

Tysiące oczu.

Doszedł do szaro ubranego faceta, którego rewolwer był już prawie pusty. Zerwał mu okulary i wyrzucił je. Mężczyzna płakał.

Coś poruszyło się pod nogami Micka. Nie chciał patrzeć, ale o coś dotykało jego buta i Mick odruchowo spojrział. U jego stóp leżał rozkrzyżowany młody chłopak. Był potwornie poraniony. Miał zmiażdżone właściwie wszystkie kończyny. Chciał rewolweru mężczyzny. Chciał karabinu maszynowego, miotacza płomieni, czegokolwiek, co skróciłoby jego agonię.

Mick podniósł wzrok i zobaczył jak mężczyzna w szarym płaszczu podnosi rewolwer.

--Judd! -- zawołał Mick, w tym samym jednak momencie mężczyzna włożył lufę do ust i pociągnął za spust. Zachował ostatnią kulę dla siebie. Czaszka pękła jak skorupka jajka. Ciało zwiotczało i mężczyzna runął na ziemię, ciągle trzymając lufę między wargami.

--Musimy... -- zaczął Mick nie wiadomo do kogo. -- Musimy... Co musieli? Co musieli zrobić w tej sytuacji?

--Musimy...

Judd stanął za nim.

--Pomoc... -- powiedział do Micka.

--Tak. Musimy wezwać pomoc. Musimy...

--Jechać.

Jechać! To było to, co musieli zrobić. Pod jakimkolwiek pretekstem, nawet najbliższym, musieli odjechać stąd. Wydostać się z tego pola bitwy, wydostać się z tego ogromnego cmentarzyska zmasakrowanych ciał.

--Musimy zawiadomić władze. Znaleźć miasto. Sprowadzić pomoc...

--Księży -- Mick. -- Oni potrzebują księży.

Absurdem była sama myśl o ostatnim sakramencie dla tak wielu ludzi. Potrzeba by armii księży, rzeki święconej wody i głośników, aby udzielić rozgrzeszenia.

Odwrócili się od pola bitwy, objęli się i ruszyli do samochodu.

Ktoś w nim siedział.

Vaslav Jelovsek zajmował miejsce kierowcy i próbował uruchomić volkswagena. Przekręcił kluczyk raz. Drugi raz. Za trzecim razem silnik kaszlnął i zaczął pracować. Koła zabudowały w czerwonym błocie, gdy włączył wsteczny bieg i dodał gazu. Vaslav zobaczył, jak Anglicy klnąc biegają do samochodu. Nie zamierzał kraść samochodu, miał po prostu robotę do wykonania. Był sędzią, był więc odpowiedzialny za zawody i bezpieczeństwo zawodników. Jedno z walczących miast padło. Musi zrobić wszystko, aby Popolac uniknął losu Podujeva. Musi go śledzić i przekonać. Uspokoić ciepłymi słowami i obietnicami. Jeżeli zawiedzie, może dojść do drugiej tragedii o tych samych rozmiarach. Jego sumienie było już wystarczająco obciążone.

Mick ciągle biegł za volkswagenem, krzycząc do Jelovska.

Złodziej nie zwracał na to uwagi, skoncentrowawszy się na prowadzeniu samochodu. Nagle Mick zatrzymał się. Samochód zaczął przyśpieszać. Mick stał wściekły na środku drogi. Był zbyt zadyszany, aby wrzeszczeć ze złości. Pochylił się i oparłszy ręce na kolanach, odzyskiwał siły.

--Bękart! -- powiedział Judd.

Mick spojrział na drogę. Ich samochodu nie było już widać.

--Ten skurwysyn nawet nie umie dobrze prowadzić.

--Musimy... Musimy... go... złapać... -- wydyszał Mick.

--Jak?

--Na nogach...

--Nawet nie mamy mapy... Została w samochodzie.

--Jezu... Chryste... Wszchemogący...

Ruszyli razem drogą. Po kilkudziesięciu metrach rzeka krwi kończyła się. Widać było tylko kilka krzepnących z wolna strumyków. Mick i Judd ruszyli za krwawymi śladami opon.

Droga ze Srbovace była pusta. Ślady opon prowadziły w lewo.

--Pojechał w góry -- odezwał się Judd, gapiąc się na zielone ^ szczyty. -- On oszalał.

--Wracamy drogą, którą przyjechaliśmy?

--Będziemy szli całą noc.

--Może złapiemy okazję?

Judd potrząsnął głową zrezygnowany i zagubiony.

--Nie rozumiesz Mick, że wszyscy w okolicy wiedzą, co się tu stało? Ludzie opuszczają swe farmy, gdy mieszkańcy okolicy dostają szału. Nie będzie żadnych okazji ani samochodów. Nikogo tu nie będzie, no może kilku takich durniów-turystów jak my. Ale turysta nas nie zabierze.

Miał rację. Wyglądali jak rzeźnicy; cali byli upaprani krwią, ich twarze lśniły od potu, a oczy były szalone.

--Musimy iść -- dokończył Judd -- tą drogą, którą on odjechał.

Wskazał na szosę. Wzgórza pociemniały. Słońce szybko chyliło się ku zachodowi.

Mick wzruszył ramionami. Mieli przed sobą co najmniej całą noc marszu. Jednak pragnął iść gdziekolwiek, byle tylko oddalić się od tego zbiorowego grobowca, który pozostawili za plecami.

W Popolacu zapanował spokój. Zamiast paniki pojawiła się obojętność i niema akceptacja. Powiązani w jeden żyjący organizm, równi jeden drugiemu, obywatele poczuli się silni. Byli teraz jednym ciałem, mózgiem i duszą. Stali się w jednej chwili całością, gigantem obdarzonym jednym mózgiem. Indywidualność każdego z obywateli zastąpiona została przez myślenie zbiorowe, powstałe dzięki telepatycznemu sprzężeniu umysłów. Tysiące głosów stało się jednym głosem.

I ten głos powiedział:

--Idź. Powiedział:

--Oddal się. Nie chcę widzieć tej okropności u mych stóp.

Popolac obrócił się i ruszył w stronę wzgórza. Jego jeden krok miał pół mili. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w tej żywej wieży -- wszyscy byli ślepi. Widzieli wszystko

oczyna miasta. Myśleli, jak myślało miasto, sami będąc bezmyślnymi. Wierzyli, że są nieśmiertelni dzięki swej powolnej, ale nieugiętej sile. Ogromni, szaleni i nieśmiertelni.

Po dwóch milach marszu Mick i Judd poczuli zapach benzyny. Kilkanaście metrów dalej znaleźli swego volkswagena. Leżał w rowie obok drogi. Nie palił się. Drzwi obok miejsca kierowcy były otwarte. Na progu leżał Vaslav Jelovsek. Miał spokojną i pogodną twarz. Nie miał żadnych widocznych obrażeń poza dwoma skaleczeniami na twarzy. Delikatnie wyciągnęli złodzieja z samochodu i położyli na poboczu. Jęknął cicho, gdy go przenosili. Mick zrolował swój sweter i podłożył Vaslavowi pod głowę. Zdjęli mu marynarkę i krawat. Nagle Jelovsek otworzył oczy. Spojrzał na nich.

--Dobrze się czujesz? -- zapytał Mick. Mężczyzna nic nie odpowiedział. Wydawało się, że nic nie rozumie. Nagle:

--Anglicy? -- zapytał. Miał fatalny akcent, ale sens pytania był jasny.

--Tak.

--Słyszałem wasze głosy. Angielskie. Zmarszczył brwi i drgnął.

--Czy pana coś boli? -- zapytał Judd. Mężczyźnie pytanie wydało się zabawne.

--Czy mnie coś boli? -- powtórzył. Jego twarz wyrażała dziwną mieszaninę uczuć: bólu i ulgi.

--Umrę -- powiedział przez zaciśnięte zęby.

--Nie -- zaproponował Mick -- nic panu nie jest... Mężczyzna potrząsnął głową stanowczo.

--Umrę -- powtórzył jeszcze raz z determinacją. -- Chcę umrzeć...

Judd kucnął obok głowy rannego. Głos Vaslava przez chwilę był cichszy.

--Powiedz nam, co mamy robić -- rzekł. Mężczyzna zamknął oczy. Judd potrząsnął nim brutalnie.

--Powiedz! -- krzyknął. Jego współczucie ulotniło się zupełnie,

--Opowiedz nam o wszystkim.

--O tym? -- odparł mężczyzna, nadal nie otwierając oczu. -- To był upadek, to wszystko.

Po prostu upadek.

--Jaki upadek?

--Miasta. Podujeva. Mojego miasta.

--Skąd spadło to miasto?

--Samo się przecież przewróciło. Mężczyzna niczego im nie tłumaczył. Jego odpowiedzi jeszcze bardziej wszystko zagmatwały.

--Gdzie jechałeś? -- zapytał Mick, starając się nadać głosowi spokojne brzmienie.

--Za Popolacem -- odparł ranny.

--Popolac? -- spytał Judd. Mick zaczynał coś rozumieć.

--Popolac to drugie miasto. Jak Podujevo. To bliźniacze miasta. Widziałem to na mapie...

--Gdzie to miasto jest teraz? -- chciał wiedzieć Judd.

Wydawało się, że Vaslav Jelovsek zamierza powiedzieć prawdę. Jego twarz wyrażała wahanie. Wola życia walczyła w nim z chęcią śmierci. Co to ma za znaczenie, gdy teraz zdradzi tajemnicę? I tak już nigdy nie będzie zawodów. To wszystko już się skończyło.

--Spotkały się, aby walczyć -- zaczął bardzo cicho -- Popolac i Podujevo. Spotykają się zawsze co dziesięć lat...

--Walczyć? -- przerwał Judd. -- Twierdzisz, że wszyscy ci ludzie zginęli w walce? Vaslav

potrząsnął głową.

--Nie, nie. Oni spadli. Mówilem ci.

--Jak one walczą, te miasta? -- zapytał Mick.

--Idą w góry -- to była jedyna odpowiedź.

Vaslav otworzył oczy. Twarze mężczyzn, którzy się nad nim pochylali były blade i wyczerpane. Ci niewinni cudzoziemcy także cierpieli. Zasłużyli na wyjaśnienia.

--Jako olbrzymy -- kontynuował Vaslav. -- Walczą jako olbrzymy. Tworzą ciało ze swoich ciał, rozumiecie? Ściągną, kości, mięśnie, oczy, nos, zęby, wszystko to zbudowane jest z ciał mężczyzn i kobiet

--On bredzi -- powiedział Judd.

--Idźcie w góry -- odparł mężczyzna -- zobaczycie sami, że to prawda.

--Przypuścimy, że nawet... zaczął Mick.

--Są dobrzy w tym udawaniu olbrzymów -- przerwał mu Jelovsek. Mają całe stulecia doświadczeń. Każdy olbrzym był większy od swego poprzednika sprzed dziesięciu lat. Jedno miasto zawsze chciało być większe od drugiego. Wiązano ich razem i skuwano, tak aby się razem trzymali. Ściągną... Wiązadła... W brzuchu olbrzymia było jedzenie i były jelita, aby odprowadzić nieczystości. Ci, którzy mieli najlepszy wzrok siadali w głowie, jako oczy, ci z najlepszym i najdonośniejszym głosem -- w krtani i ustach. Nie uwierzycie, jak bardzo to wszystko było skomplikowane.

--Ja nie wierzę -- powiedział Judd podnosząc się.

--Temu ciału myśmy nadali kształt -- powiedział cicho, prawie szeptem, Vaslav. -- To życie z naszych istnień. Zapadła cisza. Małe chmury płynęły spokojnie po niebie.

--To cud -- powiedział. Zabrzmiało to, tak jakby dopiero teraz po raz pierwszy zdał sobie sprawę z nienormalności tych zawodów.

--To cud.

Wystarczyło. Tak. Starczyło całkowicie.

Powiedziawszy to, zamknął usta i umarł.

Mick odczuł jego śmierć bardziej niż śmierć tysięcy ofiar w dolinie. A może po prostu śmierć Vaslava przepelniła już naczynie?

Nie było już istotne, czy historia, którą opowiedział Vaslav była prawdziwa, czy nie. Wyobrażenia Micka była zbyt ograniczona, aby to objąć. Nie potrafił objąć umysłem tego wszystkiego. Przytłoczył go rozmiar tragedii, której dziś był świadkiem.

Stali na drodze, nad ich głowami przepływały obojętne na wszystko chmury.

Zmierzchało.

Popolac nie miał siły, aby iść dalej. Czuł się potwornie wyczerpany. Niektórzy składający się na to ogromne ciało ludzie umarli. Nie było to zabójcze dla całego miasta, ale jednak bolesne. Jeżeli śmierć następowała wewnątrz, ludzie po prostu wisieli w swych uprzężach, jeśli na powierzchni ciała, spadali w dół, między drzewa porastające góry.

Gigant nie potrafił współczuć. Chciał tylko iść dalej.

Gdy słońce zaszło, Popolac odpoczął chwilę. Usiadł na niewielkim pagórku, podpierając ogromną głowę gigantycznymi rękoma.

Na niebie zaczęły migotać gwiazdy, nadchodziła miłosierna noc, przykrywając rany dnia i oślepiając oczy, które zbyt dużo widziały.

Popolac wstał i znów ruszył, stawiając krok za krokiem. Już niedługo wyczerpią się jego siły i olbrzym położy się w jakiejś spokojnej dolinie aby wyzionąć ducha. Na razie jednak musi iść, krok za krokiem, dopóki noc nie przysłoni mu oczu.

Mick chciał pochować ciało złodzieja samochodu gdzieś pod lasem. Judd twierdził, że pochowanie ciała może się wydawać podejrzane. A zresztą, czyż nie kuriozalne byłoby grzebanie jednego ciała, gdy obok leżały ich tysiące? Zostawili więc ciało na poboczu. Samochód jeszcze głębiej ugrzązł w błocie przydrożnego rowu.

Znów ruszyli w stronę wzgórza.

Robiło się coraz zimniej a Mick i Judd zgłodnieli też porządnie. Wszystkie domostwa, które mijali, były opuszczone i zamknięte.

--Co on miał na myśli? -- zapytał Mick, gdy bezskutecznie pukali do kolejnych zamkniętych drzwi.

--Mówił to w przenośni?...

--To wszystko o olbrzymach?

--To były bzdury...

--Nie sądzę.

--A ja wiem. Mowa przedśmiertna, którą pewnie przygotowywał przez lata.

--Nie sądzę -- powtórzył Mick i ruszył z powrotem w stronę drogi.

--Naprawdę? -- Judd szedł za nim.

--Nie nabierał nas.

--Czy chcesz powiedzieć, że wierzysz w ukrywające się w górach olbrzymy? Na litość boską!

Mick odwrócił się od Judda. Jego twarz skrywał mrok, ale w jego głosie slychać było głębokie przekonanie.

--Tak, uważam, że mówił prawdę.

--To absurd. To śmieszne. Nie...

Judd nienawidził w tej chwili Micka. Nienawidził jego naiwności, jego gotowości uwierzenia w każdą głupią, byle romantyczną historię.

--Nie -- powtórzył -- Nie. Nie. Nie.

Niebo było ciemnogrnatowe. Góry odcinały się smolistą czernią.

--Marzę, do kurwy nędzy -- odezwał się Mick w ciemności. -- Zostajesz tu, czy idziesz ze mną?

--Nie mamy chyba zamiaru tego szukać? -- wrzasnął Judd.

--Czeka nas daleka droga.

--Zapuszczamy się coraz dalej w góry.

--Rób co chcesz, ja idę.

Mick oddalił się. Wchłonęła go ciemność.

Noc była bezchmurna i przejmująco zimna. Szli skuleni z podniesionymi kołnierzami; byli bardzo zmęczeni i mieli poobcierane stopy. Nad nimi migotały tysiące gwiazd. Tysiące świecących punkcików, z których wyobraźnia może stworzyć mnóstwo wzorów i figur. Po jakimś czasie objęli się. Tak było cieplej i łatwiej.

Okolo jedenastej w nocy zobaczyli w dali światło w oknie.

Kobieta, która otworzyła im drzwi kamiennego domu nie uśmiechała się, jednak widziała w

jakim są stanie i pozwoliła im wejść. Wydawało się bez sensu tłumaczyć gospodyni lub jej kalekiemu mężowi, co dziś przeżyli. W domu nie było telefonu ani samochodu, więc nawet gdyby uwierzyli w ich opowieść, nic by to nie dało.

Gestami i minami dali do zrozumienia, że są wyczerpani i głodni. Próbowali również, raczej bezskutecznie, wytłumaczyć, że się zgubili. Wściekali się na siebie, że zostawili słownik w volkswagenie. Wyglądało na to, że kobieta nie pojęła zbyt wiele z ich gestykulacji. Posadziła ich jednak koło pieca i zaczęła grzać jedzenie.

Zjedli tłustą, niesioną zupę grochową i jaja. Uśmiechnęli się do gospodyni z wdzięcznością. Mężczyzna siedział po drugiej stronie pieca nie próbując nawiązać rozmowy. Nawet na nich nie patrzył.

Jedzenie było dobre. Poprawiło im samopoczucie.

Mogli zostać tu na noc i rano ruszyć z powrotem. Do rana ciała będą policzone, zidentyfikowane i oddane rodzinom. Ranne powietrze przepłoszy koszmary poprzedniego dnia. Pojawią się helikoptery, ciężarówki i ludzie organizujący porządkowanie terenu. Wszystkie rutynowe czynności towarzyszące katastrofom w cywilizowanym świecie.

Gdy o tym myśleli, odczuwali ulgę. Tragedia, oczywiście, ale jakby ucywilizowana i opanowana; wytłumaczalna. Wszystko będzie dobrze, tak, wszystko będzie dobrze. Poczekajmy do rana.

Senność ogarniała ich uparcie. Położyli głowy na stole, przy którym jedli. Okruchy chleba i plamy rozlanej zupy otaczały ich leżące na stole ręce.

Nic nie widzieli. O niczym nie śnili. Nic nie czuli.

Nagle rozległ się grzmot.

Dochodził z głębi ziemi, podobnie jak rano, rytmiczny i potężny, niczym stąpanie tytana. Zbliżał się coraz bardziej.

Kobieta obudziła męża. Zapaliła lampę i podeszła do drzwi. Niebo było pełne gwiazd, w dali jak zwykle czerniły się kontury gór.

Grzmot ciągle się rozlegał. Między jednym a drugim huknięciem mijало dokładnie pół minuty. Każdy następny odgłos dochodził z wyraźnej bliższej odległości.

Mąż i żona stali w drzwiach i słuchali echa tych gigantycznych stąpań; słyhać było tylko grzmot, nie było błyskawic.

Po prostu grzmot...

Grzmot...

Grzmot...

Ziemia drżała, tynk sypał się z sufitu i dzwoniły szyby w oknach.

Grzmot...

Grzmot...

Kobieta i mężczyzna nie wiedzieli, co się zbliża i jakie ma zamiary, ale wydawało im się, że nie ma sensu od tego uciekać. Tam gdzie stali, na progu swego skromnego domu, czuli się najbezpieczniej. Skąd mogliby wiedzieć, które drzewo w lesie ostatecznie się gromowi? Lepiej było czekać i obserwować.

Żona miała słabsze oczy i nie była pewna, czy widzi dobrze, gdy czarny kontur gór zmienił swój kształt i podniósłszy się przysłonił gwiazdy na niebie. Jednak jej mąż to zobaczył; widział nieprawdopodobnie ogromną głowę rysującą się coraz wyraźniej. Postać wydawała się

ogromna, nawet przy otaczających ją wzgórzach.

Mężczyzna padł na kolana i zaczął się modlić. Artretyczne nogi z ledwością go utrzymywały. Jego żona krzyknęła. Nie знаła ani słów, ani modlitw, które byłyby w stanie powstrzymać tego potwora.

Mick obudził się i szarpnąwszy ramionami niechęć zrzucił ze stołu lampę i talerze.

Obudził się Judd.

Krzyk na zewnątrz ustał. Postać kobiety stojącej dotychczas w drzwiach zniknęła.

Gospodyni pobiegła w stronę lasu. Wszystko było lepsze niż pozostawanie tutaj i obserwowanie potwora. Jej mąż nadal się modlił, wypowiadając prośby zdrętwiałymi wargami. Monstrum podniosło nogę, aby uczynić następny krok...

Grzmot...

Chata się zatrzęsała. Talerze wypadły z kredensu i rozbiły się o podłogę. Gliniana fajka spadła z półki i roztrzaskała się na tysiące kawałków.

Mick i Judd wiedzieli, co oznacza ten grzmot i trzęsienie ziemi.

Mick podskoczył do Judda i złapał go za ramię.

--Widzisz?! -- krzyknął. Jego zęby błysnęły w ciemności. -- Widzisz? Widzisz?

W jego głosie pobrzmiwała histeria. Podbiegł do drzwi, potykając się w ciemności o krzesło. Klnąc, wybiegł z chaty.

Grzmot...

Huk był ogłuszający. Szyby wypadły z ram. Jedna z belek podtrzymujących dach w sypialni załamała się. Na podłogę sypnął się gruz.

Judd pogonił za kochankiem. Stary człowiek leżał teraz zwrócony twarzą do ziemi. Wbił palce w piasek i nadal modlił się gorączkowo.

Mick patrzył w górę. Judd podążał za jego spojrzeniem. Coś przysłańiało gwiazdy. To gigantyczny człowiek, olbrzym zasłonił niebo. Jego głowa zdawała się sięgać chmur. Jego postać sprawiała wrażenie ruchliwego mrowiska. Kontur składał się z setek postaci. Jednak coś było z tym olbrzymem nie w porządku. Olbrzym był nieproporcjonalnie szeroki. Jego nogi były grube i krótkie, podobnie jak ręce, które wydawały się zbyt małe w porównaniu z resztą ciała.

Potwór uniósł olbrzymią nogę i zrobił krok w ich kierunku.

Grzmot...

Wstrząs spowodował, że zawalił się dach domu. Wszystko, co powiedział złodziej samochodu, było prawdą. Popolac był miastem i olbrzymem i odszedł w góry.

Ich oczy przywykły już do ciemności nocy. Rozróżniali coraz więcej szczegółów potwornej konstrukcji monstrum. To było arcydzieło -- człowiek stworzony z ludzi, lub raczej bezpłciowy olbrzym utworzony z kobiet, mężczyzn i dzieci. Obywatele Popolacu wili się i mocowali w ciele potwora. Ich mięśnie były bliskie zerwania, a kości złamania.

Widzieli całą strukturę olbrzyma, to, jak szaleni architekci Popolacu go skonstruowali. Widzieli jak obywatele kucali, aby obniżyć środek ciężkości. Jego nogi były grube dlatego, aby mogły utrzymać potworny ciężar torsu. Głowę osadzono głęboko między ramionami, aby zminimalizować problemy ze zbyt słabą szyją. Mimo tych defloracji, potwór żył. Powiązane razem ciała były nagie. Tors giganta lśnił w świetle gwiazd jak ogromny, spocony tors ludzki. Nawet kształt mięśni był dobrze odtworzony, choć, oczywiście, z pewnymi uproszczeniami. Widzieli jak ludzie napinają mięśnie, aby poruszać tym gigantycznym ciałem. W niektórych

miejskach ciała tworzące olbrzyma były powiązane w sposób, który sugerował, że ich właściciele muszą być doskonale wytrenowani, muszą posiadać niemal cyrkowe umiejętności.

Najbardziej niesamowity widok przedstawiała jednak twarz.

Policzki ulepione z ciał. Oczodoły, w których tkwiły głowy bystrookich: po pięć na każde oko. Szeroki, płaski nos i usta otwierające i zamykające się rytmicznie. Z tych ust, w których nagie dzieci udawały zęby, dobywał się teraz ogromny głos giganta. Ryk teraz był już o wiele słabszy niż poprzednio.

Popolac szedł i śpiewał.

Czy gdziekolwiek w Europie można było coś takiego zobaczyć?

Mick i Judd patrzyli jak monstrum robi kolejny krok w ich stronę.

Stary człowiek ze strachu zmoczył spodnie. Mrucząc i błagając wstał i chwiejnie pobiegł w stronę otaczających zrujnowaną chatę drzew.

Anglicy zostali i obserwowali zbliżające się do nich zjawisko. Wiedzieli, że nigdy już niczego podobnego nie zobaczą. Po fakcie będą mogli tylko wspominać. Zdecydowali się zostać i patrzeć, nawet jeśli to było śmiertelnie niebezpieczne. A jeśli potwór ich zabije, to sam jego widok był wart tej ceny.

Popolac był już o dwa kroki od chaty. Widzieli dokładnie jego konstrukcję. Widzieli już twarze poszczególnych obywateli. Blade, zmęczone i spocone. Kilka ciał zwisało martwo w uprzęży. Kolysały się miarowo w takt poruszeń Popolacu. Niektórzy, szczególnie dzieci, opuścili swe miejsca, nie mogąc już wytrzymać wysiłku. Ciało było przez to jeszcze bardziej zdeformowane i jakby owrzodzone. Jednak potwór nadal szedł, każdy krok był demonstracją niepowstrzymanej siły.

Grzmot...

Krok, który zmiażdżył chatę nastąpił szybciej niż się spodziewali. Mick zobaczył jak gigant unosi nogę, dostrzegł twarze ludzi, z których składała się kostka i goleń. Byli to potężni mężczyźni, których silne ciała były w stanie dźwigać ciężar Popolacu.

Stopa opadła z powrotem. W ułamku sekundy chata zmieniła się w pył.

Popolac całkowicie przysłonił gwiazdy. Na chwilę stał się całym światem, ziemią i niebem. Jego bliskość przytłaczała. Jego bliskość przyprawiała o szaleństwo, oczy panicznie starały się ogarnąć jego ogrom.

Wirujący kawałek kamienia z rozgniecionej chaty uderzył Judda w twarz. Usłyszał tylko krótki huk. Nie czuł bólu. Zgasł jak świeca zdmuchnięta potężnym oddechem wiatru. Jego przedśmiertny krzyk został zagłuszony przez rumor walącej się chaty.

Mick nie zauważył, że Judd padł. Patrzył zafascynowany na nogę miażdżącą dom. Potwór unosił drugą kończynę, aby zrobić następny krok. Mick wykorzystał szansę. Krzyknął, podbiegł do gigantycznej nogi, chcąc złapać się stopy olbrzyma. Wbiegł na zwalone kamienie, które niedawno były jeszcze domem i starał się złapać uprzęż, zanim olbrzym podniesie nogę i go zostawi. Mick zobaczył, jak mięśnie golenia napinają się. Skoczył do przodu, próbując się uchwycić sznura, rzemienia, kogoś za włosy. Chciał złapać. Chciał uczepić się czegokolwiek i dołączyć do marszu potwora, który już odchodził. Wolął pójść z olbrzymem, gdziekolwiek on szedł, wolął umrzeć, niż pozwolić mu odejść bez niego.

Złapał czyjąś stopę i znalazł jakieś oparcie dla własnej. Wrzeszcząc z zachwytem, poczuł jak monstrualna stopa unosi się w powietrze. Spojrzał w dół na ruiny chaty, na której przed

chwilą spoczęła noga Popolacu.

Ziemia gwałtownie malała. Załapał się na autostop do nieba! Całe dotychczasowe życie przestało mieć dla niego znaczenie. Chciał żyć z olbrzymem, dla niego, pragnął być jego częścią. Chciał go oglądać tak długo jak to możliwe. Krzyczał i wyl, zwisając z upręży, upajał się swym szczęściem. Nisko pod sobą zobaczył ciało Judda przysypane ziemią. Nie zainteresowało go to, miłość i litość odeszły, odeszły w zapomnienie jak jego imię, pleć czy ambicje.

To wszystko nie miało znaczenia. Żadnego znaczenia

Grzmot...

Grzmot...

Popolac szedł, kroczył niepowstrzymanie na wschód. Popolac szedł, jego głos się oddalał.

Następnego dnia powróciły ptaki, lisy, muchy, motyle i osy. Judd poruszył się. Oblazły go robaki. Larwy zaczęły się gnieździć w jego brzuchu, tworząc wrażenie życia. Potem już poszło szybko. Kości pożółkły i skruszały.

Ciemność, światło, ciemność, światło. Tak jak gdyby nigdy nie istniał żaden Judd.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[KRWAWA KSIĘGA](#)
[NOCNY POCIĄG Z MIĘSEM](#)
[YATTERING I JACK](#)
[BLUES ŚWIŃSKIEJ KRWI](#)
[SEKS, ŚMIERĆ I ŚWIATŁOGWIAZD](#)
[W GÓRACH I MIASTACH](#)
[2010-04-28](#)